

pożądana

A close-up, high-contrast portrait of a young woman with dark hair pulled back. She is looking slightly to the right with a subtle, enigmatic smile. Her mouth is slightly open, revealing sharp, white vampire fangs. The lighting is dramatic, highlighting her facial features against a dark background.

część 5

Wampirzych Dzienników

morgan rice

pożądana

(część 5 Wampirzych Dzienników)

morgan rice

przekład: Michał Głuszak

Wybrane komentarze Wampirzych Dzienników

– Rice udaje się wciągnąć czytelnika w akcję już od pierwszych stron, wykorzystując genialną narrację wykraczającą daleko poza zwykłe opisy sytuacji... PRZEMIENIONA to dobrze napisana książka, którą bardzo szybko się czyta,

- Black Lagoon Reviews (*komentarz dotyczący Przemienionej*)

Idealna opowieść dla młodych czytelników. Morgan Rice zrobiła świetną robotę budując niezwykle ciąg zdarzeń... Orzeźwiająca i niepowtarzalna. Skupia się wokół jednej dziewczyny... jednej niezwyklej dziewczyny! Wydarzenia zmieniają się w wyjątkowo szybkim tempie. Łatwo się czyta. Zalecany nadzór rodzicielski.

–*The Romance Reviews* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)

Zawładnęła moją uwagę od samego początku i do końca to się nie zmieniło... To historia o zadziwiającej przygodzie, wartkiej i pełnej akcji od samego początku. Nie ma tu miejsca na nudę.

–*Paranormal Romance Guild* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)

Kipi akcją, romanssem, przygodą i suspensem. Sięgnij po nią i zakochaj się na nowo.

– *vampirebooksite.com* (*komentarz dotyczący Przemienionej*)

Wspaniała fabuła. To ten rodzaj książki, którą ciężko odłożyć w nocy. Zakończona tak nieoczekiwanym i spektakularnym akcentem, iż będziesz natychmiast chciał kupić drugą część, tylko po to, aby zobaczyć, co będzie dalej.

–*The Dallas Examiner* (*komentarz dotyczący Kochany*)

Rywal ZMIERZCHU oraz PAMIĘTNIKÓW WAMPIRÓW. Nie będziesz mógł oprzeć się chęci czytania do ostatniej strony. Jeśli jesteś miłośnikiem przygody, romansu i wampirów to ta książka jest właśnie dla ciebie!

–Vampirebooksite.com (komentarz dotyczący Przemienionej)

Morgan Rice udowadnia kolejny już raz, że jest szalenie utalentowaną autorką opowiadań... Jej książki podobają się szerokiemu gronu odbiorców łącznie z młodszymi fanami gatunku fantasy i opowieści o wampirach. Kończy się niespodziewanym akcentem, który pozostawia czytelnika w szoku.

–The Romance Reviews (komentarz dotyczący Kochany)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (Księga 1 cyklu Vampire Journals), [ARENA ONE](#) (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#) (Księga 1 cyklu Krag Czarnoksiężnika) oraz [POWRÓT SMOKÓW](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie!

Książki autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIĘŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZEŚĆ #1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZEŚĆ #2)

KRĄG CZARNOKSIĘŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZEŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZEŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZEŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZEŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZEŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZEŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZEŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZEŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZEŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZEŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZEŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZEŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZEŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZEŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZEŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZEŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZEŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (Część Pierwsza)
KOCHANY (Część Druga)
ZDRADZONA (Część Trzecia)
PRZEZNACZONA (Część 4)

POŻĄDANA (Część 5)
ZARĘCZONA (Część 6)
ZAŚLUBIONA (Część 7)
ODNALEZIONA (Część 8)
WSKRZESZONA (Część 9)
UPRAGNIONA (Część 10)
NAZNACZONA (Część 11)

[Kliknij tutaj by pobrać książki Morgan Rice z Google Play!](#)

KINGS AND SORCERERS



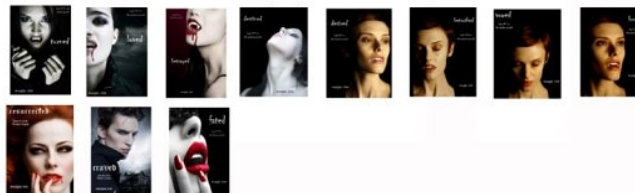
THE SORCERER'S RING



THE SURVIVAL TRILOGY



the vampire journals





Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Już dostępne na:

[Amazon](#)

[Audible](#)

[iTunes](#)

Copyright © 2012 Morgan Rice

Wszelkie prawa zastrzeżone. Poza wyjątkami dopuszczonymi na mocy amerykańskiej ustawy o prawie autorskim z 1976 roku, żadna część tej publikacji nie może być powielana, rozpowszechniana, ani przekazywana w jakiegokolwiek formie lub w jakikolwiek sposób, ani przechowywana w bazie danych lub systemie wyszukiwania informacji bez wcześniejszej zgody autora.

Niniejsza publikacja elektroniczna została dopuszczona do wykorzystania wyłącznie na użytek własny. Nie podlega odsprzedaży ani nie może stanowić przedmiotu darowizny, w którym to przypadku należy zakupić osobny egzemplarz dla każdej kolejnej osoby. Jeśli publikacja została zakupiona na użytek osoby trzeciej, należy zwrócić ją i zakupić własną kopię. Dziękujemy za okazanie szacunku dla ciężkiej pracy autorki publikacji.

Niniejsza praca jest dziełem fikcji. Wszelkie nazwy, postaci, miejsca i wydarzenia są wytworem wyobraźni autorki. Wszelkie podobieństwo do osób prawdziwych jest całkowicie przypadkowe i niezamierzone.

Na okładce: Jennifer Onvie. Fotograf: Adam Luke Studios, Nowy Jork. Makijaż: Ruthie Weems. Kontakt: Morgan Rice.

SPIS TREŚCI

[ROZDZIAŁ PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIESIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ JEDENASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUNASTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYNASTY](#)

[ROZDZIAŁ CZTERNASTY](#)

[ROZDZIAŁ PIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SZESNASTY](#)

[ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ OSIEMNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY](#)

[ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY](#)

FAKT:

Montmartre w Paryżu słynie z ogromnej Bazyliki Sacre-Coeur, świątyni zbudowanej w dziewiętnastym wieku. Tuż obok niej wznosi się na szczycie wzgórza mało komu znany kościół św. Piotra. Ten niewielki, anonimowy wręcz kościół jest o wiele starszy od swego sąsiada i datuje swoje powstanie na trzeci wiek naszej ery. Jego znaczenie również jest donośniejsze: to tu składano przysięgę, która doprowadziła do powstania Towarzystwa Jezusowego.

FAKT:

Mieszcząca się na niewielkiej wysepce w samym środku Paryża (nieopodal słynnej katedry Notre Dame) kaplica Sainte Chapelle została wzniesiona w trzynastym wieku i przez całe stulecie mieściła w sobie najcenniejsze relikty chrześcijaństwa, łącznie z Koroną Cierniową, Świętą Włóczęgą, fragmentami krzyża, na którym ukrzyżowano Jezusa. Relikty te spoczywały w wielkiej, bogato zdobionej, srebrnej skrzyni...

- Jakżeś ty jeszcze piękna! Mamże myśleć,
 Że bezcielesna nawet śmierć ulega
 Wpływowi miłości? że chudy ten potwór
W ciemnicy tej cię trzyma, jak kochankę?
 Bojąc się tego, zostanę przy tobie,
 I nigdy, nigdy już nie wyjdę z tego
 Pałacu nocy...-

—William Shakespeare, *Romeo i Julia*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Paryż, Francja

(lipiec, 1789)

Caitlin Paine przebudziła się w mroku.

Powietrze było ciężkie. Oddychała z trudem, próbując się poruszyć. Leżała na plecach, na twardej powierzchni. Wokół panowały chłód i wilgoć, a kiedy podniosła wzrok, dostrzegła maleńki promyk padającego na nią światła.

Miała ściśnięte ramiona, jednak zdołała z wysiłkiem wyprostować ręce. Wyciągnęła dłonie przed siebie i poczuła nad sobą płaską powierzchnię. Przesunęła po niej dłońmi, wyczuła rozmiary i zorientowała się, że została zamknięta w jakiejś skrzyni. W trumnie.

Serce zaczęło mocniej bić. Nienawidziła ciasnych pomieszczeń. Zaczęła dyszeć. Zastanawiać się, czy śniła, czy utknęła w jakiejś okropnej otchłani, czy też naprawdę przebudziła się w innych czasach, innym miejscu.

Ponownie podniosła obie dłonie i popchnęła ze wszystkich sił. Płyta poruszyła się o ułamek cala, wystarczająco jednak, by zdołała wcisnąć palec w szparę. Popchnęła ponownie, ze wszystek sił i ciężka, kamienna pokrywa zsunęła się dalej ze zgrzytem kamienia pocieranego o kamień.

Wcisnęła więcej palców w szerszy otwór i z całych sił naparła ponownie. Tym razem wieko odpadło.

Usiadła, oddychając ciężko i rozglądając się wokół. Płuca z wysiłkiem nabierały świeżego powietrza. Na widok światła spięła się, unosząc dłoń do oczu. Zastanawiała się, jak długo przebywała w mroku.

Siedząc i osłaniając oczy, nasłuchiwała, gotowa zareagować na każdy dźwięk, jakikolwiek ruch. Przypomniała

sobie, jak ciężko przeżyła swoje powstanie z grobu we Włoszech. Tym razem nie zamierzała ryzykować. Była przygotowana na każdą ewentualność, gotowa bronić się przed jakimikolwiek wieśniakami, czy wampirami – czymkolwiek tam jeszcze – co mogło czyhać na nią w pobliżu.

Tym razem jednak wszystko tonęło w ciszy. Powoli podniosła powieki i zauważyła, że rzeczywiście była sama. Kiedy jej wzrok dostosował się do światła, zobaczyła, że nie było tu wcale tak jasno. Była w przepastnym, kamiennym pomieszczeniu z nisko sklepionym stropem. Wyglądało to na kościelną kryptę. Wnętrze rozświetlała jedynie samotnie płonąca świeca. Zdała sobie sprawę, że musiała być noc.

Teraz, kiedy jej oczy przywykły do światła, rozejrzała się dokładniej. Miała rację: leżała w kamiennym sarkofagu, w narożniku kamiennej komnaty wyglądem przypominającej kościelną kryptę. Wewnątrz krypty nie było niczego poza kilkoma kamiennymi posągami i kolejnymi sarkofagami.

Wyszła z grobowca. Rozciągnęła się, sprawdzając wszystkie mięśnie. Dobrze było znów stanąć na nogach. Była wdzięczna, że tym razem, zaraz po obudzeniu, nie musiała walczyć. Przynajmniej miała chwilę ciszy dla siebie, mogła spokojnie się pozbierać.

Ale mimo wszystko nadal była zdezorientowana. Głowa ciążyła jej, jakby przebudziła się z tysiącletniego snu. Natychmiast też poczuła, jak żołądek ścisnął się z głodu.

Ponownie zaczęła się zastanawiać. *Gdzie jest? Który to rok?*

I najważniejsze, gdzie jest Caleb?

Była przybita, nie znalazłszy go u swego boku.

Zlustrowała pomieszczenie, szukając jakichkolwiek śladów. Ale niczego tam nie było. Wszystkie pozostałe sarkofagi były otwarte i puste. Nigdzie indziej nie mógłby się schować.

- Halo? – zawołała. – Caleb?

Przeszła kilka kroków niepewnie i zauważyła niskie, sklepienie drzwi, jedyne wejście i wyjście z tego

pomieszczenia. Podeszła do nich i nacisnęła klamkę. Niezamknięte na zamek drzwi ustąpiły z łatwością, otwierając się szeroko.

Zanim wyszła, rozejrzała się ponownie po swym otoczeniu, upewniając się, że nie zostawiła tu niczego potrzebnego. Sięgnęła dłonią do szyi i poczuła wiszący dokoła niej naszyjnik; zagłębiła dłonie w kieszeniach i uspokoiła się, czując swój dziennik i jeden wielki klucz. Tylko tyle pozostało jej na całym świecie i tylko tyle potrzebowała.

Kiedy wyszła na zewnątrz, podążyła długim, kamiennym, zwieńczonym łukiem korytarzem. Jediną rzeczą, o której potrafiła w tej chwili myśleć, było odszukanie Caleba. Z pewnością cofnął się w czasie razem z nią. Prawda?

A jeśli tak, to czy pamiętałby ją tym razem? Nie była w stanie nawet sobie wyobrazić, że musiałaby przechodzić przez to jeszcze raz. Szukać go, a potem przekonać się, że jej nie pamięta. Nie. Modliła się, żeby tym razem było inaczej. Zapewniała samą siebie, że nie umarł, i że razem cofnęli się w czasie. Tak po prostu *musiało* być.

Kiedy jednak pokonywała śpiesznie korytarz, potem wspięła się po kamiennych schodach, czuła, jak przyspiesza kroku, jak przepelnia ją złe przeczucie, że nie przybył tu z nią. Przecież nie obudził się u jej boku, nie trzymał jej dłoni. Nie było go tam, by dodać jej otuchy. Czy to znaczyło, że nie odbył podróży w czasie? Ucisk w żołądku jedynie się nasilił.

I co z Samem? Też tam przecież był. Dlaczego nie było po nim żadnego śladu?

W końcu dotarła na szczyt schodów, otworzyła kolejne drzwi i stanęła w miejscu zdumiona widokiem. Znajdowała się w głównej kaplicy niezwykłego kościoła. Nigdy jeszcze nie widziała tak wysokich stropów, tak wielu witraży, ani tak ogromnego, wymyślnego ołtarza. Rzędy ław ciągnęły się w nieskończoność sprawiając wrażenie, że świątynia mogła pomieścić tysiące wiernych.

Na szczęście nie było tu teraz nikogo. Wszędzie płonęły świece, ale najwyraźniej było już późno. Ucieszyło ją to –

pojawienie się przed rzeszą tysięcy gapiących się na nią ludzi było ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnęła.

Ruszyła powoli wzdłuż nawy wprost w kierunku wyjścia. Rozglądała się za Calebem, Samem, a może nawet księdzem. Kimś takim jak ten ksiądz w Asyżu, kto mógłby ją tu powitać i wyjaśnić wszystko. Kto mógłby powiedzieć jej gdzie jest, w jakich czasach i z jakiego powodu.

Ale nie było nikogo. Wydawało się, że Caitlin była tu zupełnie sama.

Sięgnęła do ogromnych, dwuskrzydłowych drzwi i przygotowała się na spotkanie tego, co mogło być za nimi.

Kiedy je otworzyła, gwałtownie wciągnęła powietrze. Noc rozświetlały wszechobecne, uliczne pochodnie, a przed sobą ujrzała tłum ludzi. Nie zamierzali wejść do kościoła. Raczej kłębili się bezładnie na wielkim, otwartym placu. Panował biesiadny, pełen zamieszania nastrój, a kiedy Caitlin poczuła żar powietrza od razu odgadła, że jest lato. Była zaszokowana widokiem tych wszystkich ludzi, ich staroświecką garderobą, ich odświętnością. Na szczęście nikt nie zwracał na nią uwagi. Ona zaś nie potrafiła odwrócić od nich oczu.

Miała przed sobą setki ludzi, w większości ubranych odświętnie i najwyraźniej pochodzących z innego stulecia. Wśród nich zauważyła konie, powozy, ulicznych handlarzy, artystów i śpiewaków. Scenerię letniej, tłumnej nocy, która całkowicie ją przytłoczyła. Zastanawiała się, który to może być rok i gdzie prawdopodobnie wylądowała. Co ważniejsze, kiedy już zlustrowała wszystkie dziwaczne i obce sobie twarze, przyszło jej na myśl pytanie, czy Caleb może czekać na nią wśród całej tej rzeszy ludzi.

Rozpaczliwie przeczesала wzrokiem cały tłum, mając nadzieję, starając się przekonać samą siebie, że Caleb, a może też Sam, są wśród tych ludzi. Rozglądała się na wszystkie strony, ale po kilku minutach uświadomiła sobie, że po prostu nie ma ich tam.

Odeszła kilka kroków, odwróciła się i stanęła naprzeciw świątyni, mając nadzieję, że być może rozpozna jej fasadę, że otrzyma jakąś wskazówkę, gdzie jest.

I tak się stało. Nie był z niej żaden specjalista od architektury, czy historii, ani kościołów, ale niektóre rzeczy były jej znane. Niektóre miejsca były tak oczywiste, tak wyryte w ludzkiej świadomości, że i ona je rozpoznawała. A miała przed sobą właśnie jedno z takich miejsc.

Stała u wrót katedry Notre Dame.

Była w Paryżu.

Miejscu, którego z żadnym innym nie mogłaby pomylić. Te ogromne potrójne drzwi ozdobnie rzeźbione; dziesiątki niewielkich posągów nad nimi; misterna fasada pnąca się setki stóp ku niebu. Była jednym z najlepiej rozpoznawanych miejsc na świecie. Widziała ją w Internecie wiele razy. Nie mogła uwierzyć: naprawdę była w Paryżu.

Zawsze chciała jechać do Paryża, ustawicznie błagała matkę, by ją tam zabrała. Raz, kiedy miała chłopaka w liceum, miała nadzieję, że to on ją tam zabierze. Zawsze marzyła o tym, by jechać do Paryża. Świadomość, że tu była, w innym stuleciu co prawda, zaparła jej dech w piersi.

Poczuła, że ludzie w gęstniejącym z każdą chwilą tłumie zaczęli ją potrącać. Spojrzała w dół, chcąc zreasumować swój ubiór. Z zażenowaniem stwierdziła, że wciąż miała na sobie proste więzienne okrycie, które dostała od Kyle'a w Koloseum, w Rzymie. Miała płócienną tunikę, której szorstki materiał obcierał jej skórę, o wiele na nią za dużą, obwiązaną liną dokoła jej tułowia i nóg. Włosy były potargane, niemyte, przyklejone do twarzy. Wyglądała jak więzienny uciekinier lub jakiś włóczęga.

Czując coraz większą obawę, znów zaczęła rozglądać się za Calebem, Samem, za jakąkolwiek znaną jej twarzą, kimkolwiek, kto mógłby jej pomóc. Nigdy jeszcze nie czuła się taka samotna. Niczego tak nie pragnęła, jak ujrzeć ich w tej chwili, przekonać się, że nie przybyła tu sama, że wszystko będzie w porządku.

Lecz nie rozpoznała nikogo.

Może jestem tą jedyną, pomyślała. Może naprawdę jestem znów sama.

Na myśl o tym poczuła, jakby ktoś wbił jej nóż w brzuch. Chciała zwinąć się w kłębek, poczłapać z powrotem i schować się w kościele, zostać wysłana w inne czasy, w jakieś inne miejsce – gdziekolwiek, gdzie po przebudzeniu ujrzałyby znajome sobie twarze.

Ale musiała zebrać się w sobie. Wiedziała, że nie ma odwrotu, żadnej opcji poza drogą na przód. Musiała po prostu być dzielna, odnaleźć siebie w tym miejscu i czasie. Nie miała po prostu innego wyboru.

*

Musiała wydostać się z tłumu. Musiała pobyć przez chwilę sama, odpocząć, nakarmić się i pomyśleć. Musiała zdecydować, dokąd pójść, gdzie szukać Caleba i czy w ogóle można go tu odnaleźć. Równie ważne było, by zorientować się, dlaczego pojawiła się w tym mieście i w tym czasie. Nie miała nawet pojęcia, który to rok.

Jakiś człowiek otarł się o nią, przechodząc obok. Chwyciła go za ramię pod wpływem nagłego impulsu, chęci poznania daty.

Odwrócił się i spojrzał na nią zaskoczony gwałtownym zatrzymaniem w miejscu.

- Przepraszam – powiedziała, uświadomiwszy sobie, jak bardzo zaschło jej w gardle i jak niechlujnie wyglądała w chwili, kiedy wypowiedziała pierwsze słowa – jaki mamy rok?

I natychmiast poczuła zażenowanie, zdawszy sobie sprawę, że musiała wydać się mu szalona.

- Rok? – spytał zdeorientowany mężczyzna.

- Hmm... Wybacz, ale jakoś... nie pamiętam.

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, powoli potrząsnął głową, jakby doszedł do wniosku, że coś było z nią nie tak.

- Tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty oczywiście. I jeszcze sporo czasu nam zostało do Sylwestra, więc naprawdę nie masz wymówki – powiedział, potrząsając głową drwiąco i poszedł w swoją stronę.

Tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty. Znaczenie tych liczb dotarło do niej w ułamku sekundy. Przypomniała sobie, iż ostatnio był rok tysiąc siedemset dziewięćdziesiąty pierwszy. Dwa lata. Niezbyt odległa data.

A jednak, była teraz w Paryżu, całkowicie innym świecie w odróżnieniu od Wenecji. Dlaczego tutaj? I dlaczego w tym roku?

Zaczęła głowić się, rozpaczliwie próbując przypomnieć sobie zajęcia z historii, co takiego działo się we Francji w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. Z zażenowaniem stwierdziła, że nic nie pamiętała. Zrugła się kolejny raz za swoją nieuwagę na zajęciach. Gdyby wiedziała wtedy, w liceum, że przyjdzie jej odbywać podróże w przeszłość, ślęczałaby do późnej nocy nad historią i zadała sobie trud nauczenia się wszystkiego na pamięć.

Teraz to już nie miało większego znaczenia. Teraz to ona stała się częścią historii. Miała okazję ją zmienić, jak również odmienić samą siebie. Zdała sobie sprawę, że przeszłość można było kształtować. Tylko dlatego, że jakieś wydarzenia zostały uwzględnione w książkach do historii nie znaczyło, że nie mogła ich zmienić, kiedy już cofnęła się w czasie. W jakiejś mierze już to zrobiła: jej pojawienie się w tych czasach miało wpływ na wszystko. A to z kolei, na swój nieznaczący sposób, zmieniło cały bieg historii.

Dzięki temu odczuła znaczenie swoich czynów jeszcze bardziej. Mogła kreować przeszłość na nowo.

Chłonąc całe to wytworne otoczenie, odprężyła się nieco, a nawet poczuła ożywienie. Przynajmniej wylądowała w urokliwym miejscu, przepięknym mieście i w idealnych czasach. Nie była to jednak epoka kamienia łupanego, ani też nie wylądowała pośród pustkowia. Wszystko wokół niej wyglądało tak nienagannie, ludzie ubrani byli ładnie, a brukowane ulice błyszczały od światła rzucanego przez pochodnie. Jedyną rzeczą, którą zapamiętała o Paryżu w osiemnastym wieku był fakt, że był to dla Francji okres przepychu, wielkiego bogactwa, w którym nadal rządy sprawowali królowie i królowe.

Caitlin zauważyła, że Notre Dame mieściła się na niewielkiej wysepce i poczuła potrzebę opuszczenia jej. Było tu po prostu zbyt tłoczno, a ona potrzebowała spokoju. Zauważyła kilka mostków wiodących na zewnątrz i ruszyła w kierunku jednego. Pozwoliła sobie żywić nadzieję, że być może intuicja prowadziła ją w jakimś konkretnym kierunku. Kiedy przekraczała most, zauważyła, jak piękna jest noc w Paryżu, rozświetlona pochodniami ciągnącymi się wzdłuż całej rzeki i blaskiem księżyca w pełni. Pomyślała o Calebie i żałowała, że nie ma go tu, by podziwiać widoki razem z nią.

Idąc przez most, spojrzała na wodę i powróciła do wspomnień. Myśli o Pollepel, o rzece Hudson nocą, o tym, jak księżyc rozświetlał rzekę. Odczuła nagle pragnienie, by skoczyć z mostu, przetestować swoje skrzydła, zobaczyć, czy nadal może latać i unieść się wysoko ponad to wszystko.

Ale czuła się słaba i głodna, a kiedy odchyliła się, w ogóle nie poczuła obecności skrzydeł. Zmartwiła się, że podróż w czasie wpłynęła jakoś na jej zdolności, na jej moce. Wcale nie czuła się taka silna jak kiedyś. W zasadzie była niemal jak człowiek. Słabowita. Bezradna. Nie spodobały jej się te uczucia.

Kiedy pokonała most, ruszyła bocznymi ulicami. Wałęsała się godzinami, beznadziejnie zagubiona. Szła wijącymi się uliczkami, coraz bardziej oddalając się od rzeki, coraz dalej na północ. Miasto wprawiało ją w zadumę. Pod niektórymi względami przypominało Wenecję i Florencję z roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Podobnie jak oba te miasta, Paryż również wydawał się niezmienny, nawet w stosunku do tego, jak przedstawiał się w dwudziestym pierwszym wieku. Nigdy tutaj nie była, ale widziała zdjęcia i była w szoku, rozpoznawszy tak wiele budynków i monumentów.

I tu ulice były w większości brukowane, wypełnione końmi z powozami i sporadycznie przejeżdżającymi jeźdźcami. Ludzie przechadzali się nieśpiesznie w szykownych strojach, jakby cały czas na świecie należał do nich. Podobnie też jak we Florencji i Wenecji, nie było tu żadnej kanalizacji. Caitlin nie mogła nie zauważyć odchodów walających się po ulicach,

ani też nie wzdrygnąć się z powodu smrodu unoszącego się w upalnym, letnim powietrzu. Żałowała, że nie miała już przy sobie jednej z tych sakiewek z potpourri, które otrzymała od Polly w Wenecji.

Jednakże, w odróżnieniu od tamtych miast, Paryż był światem samym w sobie. Ulice były tu szersze, budynki niższe i piękniej zaprojektowane. Miasto sprawiało wrażenie starszego, bogatszego i piękniejszego. Nie było też aż tak zatłoczone: im bardziej oddalała się od Notre Dame, tym mniej ludzi widziała. Być może powodem tego była późna pora nocy, ale i tak ulice wyglądały na niemal puste.

Szła i szła, czując coraz większe zmęczenie w nogach i stopach, zaglądając w każdy kąt w poszukiwaniu choćby śladu Caleba, jakiejś wskazówki, która mogłaby skierować ją w odpowiednią stronę. Ale niczego nie znalazła.

Okolica zmieniała się mniej więcej co dwadzieścia przecznic, a wraz z nią zmieniały się odczucia Caitlin. Idąc coraz dalej na północ, zaczęła wspinać się na wzgórze w nowej dzielnicy z wąskimi alejkami oraz kilkoma knajpami. Kiedy minęła jedną na rogu, zauważyła rozwalonego przed nią mężczyznę, opartego niezdarnie o mur, pijanego i nieprzytomnego. Ulica była całkowicie opustoszała i przez chwilę Caitlin aż skreśliło z głodu. Jakby ukłucie głodu rozdarło jej żołądek na pół.

Patrzyła na leżącego mężczyznę, z wyteżonym wzrokiem utkwionym w jego szyi, widząc, jak pulsuje mu krew. W tym jednym momencie poczuła niewysłowioną chęć rzucenia się na niego i wypicia krwi. Odczucie to wykraczało poza jakiegokolwiek pragnienie – przypominało raczej nakaz. Każda jej cząstka zmuszała ją niemal do zrobienia tego.

Resztkami siły woli zmusiła się, by odwrócić wzrok. Prędzej umarłaby z głodu, niż skrzywdziła człowieka.

Rozejrzała się wokół, zastanawiając się, czy gdzieś tu był jakiś las, miejsce, gdzie mogłaby zapolować. Widziała co prawda sporadyczne polne drogi i parki, jednak nic, co przypominałoby las.

Dokładnie w tym momencie otworzyły się gwałtownie drzwi knajpy i z jej wnętrza wypadł, potykając się, jakiś mężczyzna – w zasadzie został wyrzucony przez jednego z obsługi. Mężczyzna, najwyraźniej pijany, zaczął kłać i krzyczeć na nich.

Potem odwrócił się, a jego wzrok spoczął na Caitlin.

Był dobrze zbudowany, a z oczu mu źle patrzyło.

Caitlin spięła się. Znow zaczęła zastanawiać się, czy pozostały jej moce, jakiegokolwiek.

Odwróciła się i odeszła, przyspieszając kroku, ale wyczuła, że mężczyzna podążył za nią.

Zanim zdążyła się odwrócić, może sekundę później, mężczyzna chwycił ją od tyłu w niedźwiedzim uścisku. Był szybszy i silniejszy, niż sobie wyobrażała. Wyczuła też jego paskudny oddech dolatujący znad ramienia.

Oprych był jednak również pijany. Zataczał się, nawet trzymając ją w objęciu. Caitlin skupiła się, przypomniała sobie treningi, uchyliła się i zwała go z nóg, używając jednej z technik walki, których nauczył ją Aiden na Pollepel. Mężczyzna poleciał w dół i wylądował na plecach.

Nagle w Caitlin odżyło wspomnienie Rzymu, Koloseum, jej walki na arenie z wieloma napastnikami naraz. Było takie sugestywne, że przez chwilę zapomniała, gdzie się znajduje.

Doszła jednak do siebie w samą porę. Pijany mężczyzna zdołał wstać i ruszyć do ataku, slaniając się na nogach. Caitlin odczekała do ostatniej chwili, po czym zeszła mu z drogi i mężczyzna poleciał w przód, wprost na twarz.

Był zamroczony i zanim zdążył stanąć ponownie na nogi, Caitlin pospiesznie oddaliła się. Była zadowolona, że mimo wszystko poradziła sobie z nim, jednak wydarzenie to wstrząsnęło nią do głębi. Zmartwiła się, że nadal niepokoiły ją przeblyski pamięci o przygodach w Rzymie. Nie czuła też swoich nadludzkich mocy. Była równie słaba, jak zwykły człowiek. Myśl ta przeraziła ją ponad wszystko. Rzeczywiście musiała teraz radzić sobie sama.

Rozejrzała się dokoła, odchodząc od zmysłów z niepokojem, gdzie teraz powinna pójść, co robić. Nogi piekły ją od długiej wędrówki i zaczęła poddawać się rozpacz.

I wówczas to ujrzała. Podniosła wzrok i przed sobą zobaczyła ogromne wzgórze. Na jego szczycie wznosiło się wielkie, średniowieczne opactwo. Z jakiegoś powodu, którego nie potrafiła wytłumaczyć, czuła, że budowla przyciągała ją do siebie. Rozmiar wzgórza nie zachęcał do wspinaczki, ale nie miała innego wyboru.

Wspięła się na nie, czując zmęczenie ponad wszystko, czegokolwiek do tej pory doświadczyła, żalując, że nie może latać.

W końcu dotarła do frontowych drzwi opactwa i objęła wzrokiem masywne, dębowe podwoje. Miejsce wyglądało na antyczne. Nie mogła wyjść z podziwu, że kościół ten, chociaż był dopiero rok tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewięć, wyglądał, jakby stał tu od tysięcy lat.

Czuła, że coś, nie wiedząc co, przyciąga ją do niego. Nie wiedząc, gdzie indziej mogłaby się udać, zebrała się na odwagę i zapukała cicho.

Nie było żadnej odpowiedzi.

Spróbowała użyć klamki i ze zdziwieniem stwierdziła, że drzwi nie były zamknięte. Weszła do środka.

Antyczne wrota zaskrzypiały, otwierając się powoli. Minęła chwila, zanim oczy Caitlin przyzwyczyły się do ogromnej, zacienionej świątyni. Zlustrowała wnętrze. Jego rozmiary i panujący tu nastrój wywarły na niej silne wrażenie. Wciąż była jeszcze późna noc i ten prosty, surowy kościół, niemal w całości zbudowany z kamienia, ozdobiony witrażami, rozświetlały wszechobecne, wielkie, dopalające się świece. Na drugim, odległym końcu znajdował się prosty ołtarz, wokół którego umieszczono dziesiątki kolejnych świec.

Poza tym wszystkim, kościół zdawał się opustoszały.

Caitlin zastanowiła się, co ona w ogóle tu robi. Czy był jakiś wyjątkowy ku temu powód? Czy też jej umysł płatał figle?

Nagle otworzyły się boczne drzwi i Caitlin obróciła się na pięcie.

Ku swemu zaskoczeniu zobaczyła zakonnice – niską, słabowitą, ubraną w zwiewne białe szaty i biały kaptur – która ruszyła w jej kierunku. Kobieta podeszła powoli wprost do Caitlin.

Ściągnęła kaptur, spojrzała na nią i uśmiechnęła się. Miała ogromne, błyszczące niebieskie oczy i wyglądała na zbyt młodą, by być zakonnice. Kiedy jej uśmiech się powiększył, Caitlin poczuła emanujące od niej ciepło. Wyczuła również, że zakonnica należała do jej rodzaju: była wampirem.

- Siostra Paine – powiedziała cicho zakonnica. – To zaszczyt gościć cię tutaj.

ROZDZIAŁ DRUGI

Miała wrażenie, że wkroczyła w nierzeczywisty świat. Szła za zakonnica prowadzącą ją długim korytarzem przez opactwo. Miejsce to było przepiękne i najwyraźniej tętniło życiem. Wszędzie krzątały się zakonnice w białych szatach, tak jakby gotując się do porannych posług. Jedna z nich szła, wymachując przed sobą karafką i roztaczając wokół delikatną woń, podczas gdy inne cicho i śpiewnie recytowały poranne modły.

Po kilku minutach wędrówki w ciszy, Caitlin zaczęła się zastanawiać, dokąd zakonnica ją prowadziła. W końcu zatrzymały się przed pojedynczymi drzwiami. Zakonnica otworzyła je i ich oczom ukazał się niewielki, skromny pokój z widokiem na Paryż. Caitlin przypomniała sobie od razu izbę, w której spała, kiedy była w klasztorze w Sienie.

- Na łóżku znajdziesz przebranie – powiedziała zakonnica.
– Na dziedzińcu jest sadzawka, w której możesz się obmyć. I dodała, wskazując palcem – A to jest dla ciebie.

Caitlin podążyła wzrokiem za palcem i zauważyła niewielki, kamienny piedestał w rogu pomieszczenia, na którym spoczywał srebrny kielich wypełniony białym płynem. Zakonnica uśmiechnęła się do niej.

- Masz tu wszystko, czego potrzeba, by odpocząć i porządnie się wyspać. Później sama podejmiesz decyzję, co dalej.

- Decyzję? – spytała Caitlin.

- Powiedziano mi, że masz już jeden klucz. Będziesz musiała odszukać pozostałe trzy. Jednak decyzja o tym, czy podejmiesz się wypełnienia swojej misji i kontynuowania podróży zawsze należeć będzie do ciebie.

- To dla ciebie.

Wyciągnęła dłoń i wręczyła Caitlin cylindryczne pudełko wysadzone klejnotami.

- To list od twojego ojca. Przeznaczony tylko dla twoich oczu. Strzegłyśmy go od stuleci. Nigdy nie został otwarty.

Caitlin wzięła go ze zdziwieniem, czując jego ciężar na dłoni.

- Naprawdę ufam, że będziesz kontynuowała swoją misję – powiedziała cicho. – Potrzebujemy cię, Caitlin.

I nagle odwróciła się, gotowa odejść.

- Zaczekaj! – krzyknęła Caitlin.

Kobieta zatrzymała się.

- Jestem w Paryżu, zgadza się? W tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku?

Zakonnica uśmiechnęła się.

– Tak, zgadza się.

- Ale dlaczego? Dlaczego akurat tutaj? Dlaczego teraz? Dlaczego w tym mieście?

- Obawiam się, że sama musisz się tego dowiedzieć. Jestem jedynie zwykłą służką.

- Ale dlaczego akurat ten kościół zwabił mnie do siebie?

- Jesteś w opactwie św. Piotra. Na Montmartre – powiedziała kobieta. – Nasz klasztor stoi tu od setek lat. To bardzo święte miejsce.

- Dlaczego? – naciskała Caitlin.

- To tu spotykali się wszyscy, by złożyć przysięgę pieczętującą założenie Towarzystwa Jezusowego. To tutaj narodziło się chrześcijaństwo.

Caitlin wlepiła w nią wzrok i stała oniemiała. Zakonnica uśmiechnęła się do niej w końcu i powiedziała

– Witamy.

To powiedziawszy, ukłoniła się nieznacznie i odeszła, delikatnie zamykając za sobą drzwi.

Caitlin odwróciła się i zlustrowała wnętrze. Była wdzięczna za gościnę, za odzież, w którą mogła się przebrać, za możliwość wzięcia kąpieli, za wygodne łóżko stojące w rogu. Wydawało się jej, że nie da rady zrobić już chociażby jednego kroku. W gruncie rzeczy, była tak zmęczona, że mogłaby zasnąć na wieki.

Trzymając wysadzone drogimi kamieniami puzderko w dłoni, podeszła do narożnika i odstawiła je. Zwój mógł poczekać. Jej głód nie.

Podniosła przelewający się niemal kielich i przyjrzała mu uważnie. Wyczuła już, co zawierał: to była biała krew.

Przyłożyła do ust i zaczęła pić. Była słodsza od zwykłej krwi i łatwiej spływała do gardła – i szybciej też krążyła w jej żyłach. Po chwili czuła się, jak nowo narodzona, silniejsza niż kiedykolwiek. Mogłaby pić ją już zawsze.

W końcu odstawiła pusty kielich i zabrała srebrne puzderko ze sobą do łóżka. Położyła się i zorientowała, jak bardzo obolałe były jej nogi. Już samo położenie się do łóżka przyniosło jej wielką ulgę.

Odchyliła się, oparła głowę o niewielką, prostą poduszkę i zamknęła oczy, tylko na chwilę. Była zdecydowana otworzyć je w następnej sekundzie i przeczytać list od ojca.

Jednak w chwili, kiedy jej oczy się zamknęły, ogarnęło ją niewiarygodne zmęczenie. Nie była w stanie otworzyć ich znowu, nawet gdyby spróbowała. Po sekundzie spała już głębokim snem.

*

Stała na arenie Rzymskiego Koloseum w pełnym bojowym rynsztunku z mieczem w dłoni. Była gotowa zmierzyć się z każdym napastnikiem, jaki by się nadarzył – naprawdę czuła chęć podjęcia walki. Kiedy jednak obróciła się wokół, spojrzała we wszystkie strony, zauważyła, że arena była pusta. Podniosła wzrok na rzędy siedzeń i zobaczyła, że całe to miejsce było opustoszałe.

Zamrugnęła powiekami, a kiedy otworzyła oczy, nie była już w Koloseum, ale w Watykanie, w Kaplicy Sykstyńskiej. Nadal

dzierżyła miecz, tym razem jednak przyodziana była w szatę. Rozejrzała się po sali i zobaczyła setki wampirów ustawionych w idealnych rzędach, ubranych w białe szaty, spoglądających swymi błyszczącymi, niebieskimi oczyma. Stali cierpliwie wzdłuż ścian, w ciszy, idealnie na baczność.

Caitlin upuściła miecz w pustej komnacie i broń wylądowała ze szcęką na ziemi. Podeszła powoli do głównego kapłana, wyciągnęła dłoń i wzięła od niego srebrny kielich wypełniony białą krwią. Zaczęła pić, a płyn przelał się i pociekł jej po policzkach.

Nagle znalazła się na pustyni. Całkiem sama. Szła, brodząc gołymi stopami w prażącym piachu, w piekącym słońcu, a w dłoni trzymała ogromny klucz. Ale był on tak wielki – tak nienaturalnie duży – że jego ciężar przytłaczał ją do ziemi.

Szła i szła, łapiąc ciężko powietrze w tej spiekocie, aż w końcu dotarła do ogromnej góry. Na jej szczycie zauważyła stojącego mężczyznę, który spoglądał w dół i uśmiechał się do niej.

Wiedziała, że to ojciec.

Ruszyła pędem, biegnąc ze wszystkich sił, starając się wbiec na górę, zbliżając się coraz bardziej i bardziej do niego. W tej samej chwili słońce weszło wyżej na nieboskłon i zaczęło prażyć dotkliwiej, dusić ją. Mogłoby wydawać się, że świeci wprost zza jej ojca. Jakby on sam był słońcem, a ona biegła wprost ku niemu.

Wchodząc coraz wyżej, czuła, jak gorąc rośnie z każdą chwilą. Im bliżej była, tym trudniej było jej zaczerpnąć tchu. Ojciec zaś stał z otwartymi ramionami i czekał, by wziąć ją w objęcia.

Ale wzgórze stało się zbyt strome, a ona była po prostu już bardzo zmęczona. Nie mogła zrobić kolejnego kroku i osunęła się na ziemię tam, gdzie stała.

Zamrugnęła powiekami, a kiedy otworzyła oczy, zobaczyła swego ojca stojącego nad nią, pochylonego, z ciepłym uśmiechem na twarzy.

- Caitlin – powiedział. – Córko moja. Jestem z ciebie taki dumny.

Spróbowała wyciągnąć dłoń i chwycić go, ale klucz spoczywał teraz na niej i był zbyt ciężki, przygniatał ją do ziemi.

Podniosła wzrok na ojca, próbując przemówić, lecz jej usta były spierzchnięte, a gardło zbyt suche.

- Caitlin?

- Caitlin?

Poderwała się ze snu, całkiem zdezorientowana.

Podniosła wzrok i zauważyła mężczyznę siedzącego przy jej łóżku, spoglądającego w dół na nią i uśmiechającego się do niej.

Wyciągnął rękę i delikatnie odsunął jej włosy z oczu.

Czy to nadal był sen? Czuła zimny pot na czole, jego dotyk na swoim nadgarstku i modliła się, żeby to jednak nie był sen.

Ponieważ ujrzała przed sobą, uśmiechającego się do niej, miłość swego życia.

Caleba.

ROZDZIAŁ TRZECI

Sam poderwał się ze snu. Przed oczami miał niebo i pień ogromnego dębu. Zamrugał powiekami, zastanawiając się, gdzie jest.

Czuł coś miękkiego pod plecami, coś, dzięki czemu było mu bardzo wygodnie. Obejrzał się i zorientował, że leżał na kępie mchu, na leśnej wyściółce. Podniósł wzrok ponownie i dostrzegł dziesiątki wysokich drzew kołyszących się na wietrze. Usłyszał szum wody, a kiedy się odwrócił, zobaczył strumyk powoli płynący kilka stóp od jego głowy.

Usiadł i rozejrzał się wokół, spoglądając we wszystkie strony i chłonąc każdy szczegół otoczenia. Znajdował się w gęstym lesie, był sam, a jedynym źródłem światła były promienie słoneczne przedzierające się przez konary drzew. Popatrzył na siebie i zobaczył, że wciąż miał ten sam bitewny strój, który założył w Koloseum. Wokół panowała cisza, zakłócana jedynie odgłosami strumyka, ptaków i jakichś zwierząt w oddali.

Zdał sobie sprawę, że podróż w czasie na szczęście się udała. Najwyraźniej był w innym miejscu i czasie – chociaż nie miał pojęcia ani gdzie, ani kiedy.

Powoli zbadał całe ciało i stwierdził, że nie odniósł większych obrażeń i że był w jednym kawałku. Poczuł okropny głód, ale mógł z tym jeszcze poczekać. Najpierw musiał zorientować się, gdzie jest.

Sięgnął rękoma w dół, chcąc sprawdzić, czy ma przy sobie jakąś broń.

Niestety, nic nie przetrwało podróży w czasie. Mógł znowu polegać tylko na sobie, a jego jedynymi narzędziami były gołe dłonie.

Zaczął zastanawiać się, czy nadal ma w sobie wampirze moce. Wyczuwał niezwykłą siłę krążącą w żyłach i miał

wrażenie, że nadal je posiada. Jednakże, nie mógł do samego końca być pewien.

A koniec nadszedł wcześniej, niż przypuszczał.

Usłyszał trzask gałęzi, odwrócił się i ujrzał wielkiego niedźwiedzia sunącego niezdarnie w jego stronę, powoli, wyzywająco. Znieruchomiał. Zwierzę łypało na niego spode łba, obnażyło kły i zaryczało.

W następnej sekundzie rzuciło się do biegu, nacierając bezpośrednio na Sama.

Sam ani nie miał już czasu na ucieczkę, ani też, dokąd uciekać. Nie miał wyboru. Zdał sobie sprawę, że mógł jedynie zmierzyć się ze zwierzęciem.

Co dziwne, zamiast strachu, poczuł gniew, szal, który zawładnął całym jego ciałem. Był wściekły na zwierzę. Nie podobało mu się, kiedy ktoś atakował go zanim zdołał chociażby ogarnąć się trochę. Dlatego też rzucił się również na niedźwiedzia bez namysłu, gotowy stoczyć z nim walkę w ten sam sposób, w jaki rozprawiłby się z człowiekiem.

Starli się w połowie drogi. Niedźwiedź rzucił się do przodu, Sam wycofał się gwałtownie. Czuł moc krążącą w żyłach, czuł, jak podpowiadała mu, że jest niezwyciężony.

Kiedy starł się z niedźwiedziem w powietrzu, zrozumiał, że miał rację. Chwycił niedźwiedzie łapy, zamachnął się i cisnął zwierzę w powietrze. Niedźwiedź poleciał w tył między drzewami kilkanaście stóp i grzmotnął o drzewo.

Stojąc w miejscu, Sam zaryczał dziko, głośniejszy nawet od niedźwiedzia. Poczuł, jak jednocześnie napęczniały mu mięśnie i żyły.

Zwierz wstał powoli na nogi i chwiejąc się, spojrzał na Sama z wyrazem szoku. Zaczął kuśtykać, a po kilku niepewnych krokach odwrócił się i rzucił do ucieczki.

Lecz Sam nie miał zamiaru tak łatwo go puścić. Był wściekły i czuł, że nic w świecie nie byłoby w stanie ostudzić jego gniewu. Był też głodny. Niedźwiedź musiał dostać za swoje.

Zerwał się do biegu i wkrótce z zadowoleniem zauważył, że był szybszy od zwierzęcia. W kilka chwil dogonił go, skoczył w powietrze i wylądował na jego grzbiecie. Nachylił się, po czym zatopił kły głęboko w jego karku.

Niedźwiedź zawył z bólu, zaczął rzucać się na wszystkie strony, ale Sam nie puścił. Zatopił kły jeszcze głębiej i po chwili poczuł, jak niedźwiedź osunął się pod nim na kolana. W końcu przestał się poruszać.

Sam leżał na nim, pijąc, czując, jak życiodajna siła zaczyna krążyć w jego żyłach.

W końcu odchylił się i oblizał usta, po których ściekała krew. Nigdy jeszcze nie czuł się tak orzeźwiony. Dokładnie takiego posiłku było mu trzeba.

Wstawał właśnie na nogi, kiedy usłyszał kolejny trzask gałązki.

Obejrzał się i zobaczył stojącą nieopodal na polanie, młodą dziewczynę, na oko siedemnastoletnią, ubraną w cienki, biały materiał. Stała tak, trzymając kosz, i wpatrywała się w Sama zszokowana. Jej skóra była biała i półprzezroczysta, a jej długie, jasne włosy oplatały twarz o wielkich, błękitnych oczach. Była piękna.

Patrzyła na Sama równie jak on zaskoczona.

Zdał sobie sprawę, że musiała bać się, że i ją zaatakuje; Uświadomił sobie, jak paskudnie musiał wyglądać, leżąc na niedźwiedziu, z krwią na ustach. Nie chciał jej wystraszyć.

Zeskoczył zatem ze zwierzęcia i podszedł do niej kilka kroków.

Ku jego zdziwieniu, dziewczyna ani wzdrygnęła się ani też nie próbowała uciekać. Raczej nadal mu się przyglądała, bez jakiegokolwiek obawy.

- Nie martw się – powiedział. – Nie zrobię ci nic złego.

Uśmiechnęła się. Czym go zadziwiła. Nie tylko była piękna, ale również rzeczywiście się go nie bała. Jak to w ogóle było możliwe?

- Oczywiście, że nie – odparła. – Jesteś jednym z nas.

Sama znów ogarnęło zdziwienie. Jednak już w chwili, kiedy to powiedziała, wiedział, że to prawda. Wyczuł coś, kiedy tylko ją zobaczył, a teraz zrozumiał całą resztę. Była taka, jak on. Była wampirem. I dlatego nie było w niej lęku.

- Niezły chwyt – powiedziała, wskazując na niedźwiedzia.
– Nieco niechlujny, prawda? Dlaczego nie zapolować na jelenia?

Sam uśmiechnął się. Nie tylko była piękna – do tego jeszcze zabawna.

- Może następnym razem tak zrobię – odparł.

Uśmiechnęła się.

- Czy mogłabyś powiedzieć mi, który jest rok? – zapytał. – Albo przynajmniej wiek?

Dziewczyna uśmiechała się tylko, potrząsając głową.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak sam się tego dowiesz. Gdybym ci powiedziała, zepsułabym całą zabawę, nie sądzisz?

Spodobała się mu. Była seksowna. I czuł się swobodnie w jej towarzystwie, jakby znał ją od zawsze.

Podeszła bliżej i wyciągnęła dłoń. Sam chwycił ją i zakochał się w jej gładkiej, przezroczystej skórze.

- Jestem Sam – powiedział, potrząsając dłonią, trzymając ją nieco za długo.

Uśmiechnęła się szerzej.

- Wiem – powiedziała.

Sam był skonsternowany. Skąd niby mogła to wiedzieć? Czy spotkali się już gdzieś wcześniej? Nie mógł sobie przypomnieć.

- Wysłano mnie po ciebie – dodała.

Nagle odwróciła się i zaczęła iść leśnym szlakiem.

Sam ruszył za nią, chcąc ją dogonić, przypuszczając, że właśnie tego od niego oczekiwała. Nie patrząc pod nogi szedł za nią i wkrótce potknął się o gałąź. I usłyszał jej chichot.

- A więc? – powiedział zachęcającym tonem. – Nie powiesz mi swego imienia?

Znów zachichotała.

- Cóż, mam oficjalne imię, ale rzadko je używam – odparła.

Po czym odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem, czekając, aż się z nią zrówna.

- Jeśli już musisz wiedzieć, wszyscy wołają na mnie Polly.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Caleb przytrzymał ogromne, średniowieczne drzwi i Caitlin wyszła z opactwa, stawiając pierwsze kroki we wczesnym, porannym słońcu. Mając Caleba u boku, spojrzała w kierunku, gdzie wstawał właśnie świt. Tu, wysoko na szczycie wzgórza Montmartre mogła rozejrzeć się i zobaczyć cały, rozpościerający się przed nią Paryż. To piękne rozległe miasto było mieszaniną klasycznej architektury i zwyczajnych domostw, brukowanych ulic i polnych dróg, terenów zalesionych i miejskich. Niebo mieniło się setkami kolorów sprawiając, że miasto wyglądało jak żywe. Było cudowne.

Jeszcze cudowniejsza była dłoń, która objęła jej dłoń. Obejrzała się i zobaczyła stojącego obok niej Caleba, który również rozkoszował się widokiem. Nie mogła uwierzyć, że to działa się naprawdę. Nie mogła uwierzyć, że to rzeczywiście był on, że naprawdę byli tu razem oboje. Że wiedział, kim ona jest. Że pamiętał ją. Że ją znalazł.

Kolejny raz zaczęła zastanawiać się, czy aby na pewno zbudziła się już ze snu, czy aby wciąż nie spała.

Stojąc tak, poczuła jak ścisnął jej dłoń jeszcze mocniej. Wiedziała już, że była w pełni przebudzona. Nigdy jeszcze nie była tak niezmiernie szczęśliwa. Tak długo brnęła, cofnęła się w czasie o całe stulecia, przebyła całą tę drogę tylko po to, by z nim być. Tylko po to, by upewnić się, że żyje. Kiedy we Włoszech stwierdził, że jej nie pamięta, zdruzgotało ją to doszczętnie.

Teraz jednak, kiedy już tu był, cały i żywy i ją pamiętał – i należał tylko do niej, sam, bez Sery w pobliżu – jej serce wzbierało nowym uczuciem i nową nadzieją. Nigdy, w najśmielszych marzeniach nie wyobrażała sobie, że wszystko tak idealnie się ułoży, że *rzeczywiście* tak będzie. Była taka wzruszona. Nie wiedziała, od czego zacząć lub co powiedzieć.

Caleb odezwał się zanim zdążyła przemówić.

- Paryż – powiedział, odwracając się do niej z uśmiechem na ustach. – Z pewnością jedno z piękniejszych miejsc, by spędzić wspólne chwile.

Uśmiechnęła się.

- Całe życie pragnęłam je zobaczyć – odparła.

Chciała dodać *z kimś, kogo kocham*, ale się powstrzymała. Miała wrażenie, że upłynęło dużo czasu, od kiedy ostatni raz była u jego boku, że w zasadzie znów zaczął ją onieśmielać. Pod niektórymi względami czuła, jakby spędziła z nim całą wieczność – a nawet dłużej – jednak z drugiej strony odnosiła wrażenie, jakby znowu spotykała go po raz pierwszy.

Wyciągnął rękę dłonią skierowaną ku górze.

- Zechcesz zwiedzić je razem ze mną? – spytał.

- To długa droga w dół – powiedziała, spoglądając w dół stromego wzgórza, wiele mil spadzistej nawierzchni prowadzącej do Paryża.

- Myślałem raczej o bardziej widokowym rozwiązaniu – odparł. – Polecimy.

Rozsunęła łopatki, chcąc sprawdzić, czy jej skrzydła się rozwiną. Czuła się odmłodzona, taka ożywiona po tym napoju, po białej krwi – ale wciąż nie była pewna, czy może latać. A nie była skora, by rzucić się z wysokości w nadziei, że jej skrzydła złapią wiatr.

- Sądzę, że nie jestem jeszcze na to gotowa – powiedziała.

Spojrzał na nią ze zrozumieniem.

- Polec ze mną – powiedział i dodał z uśmiechem – jak za starych czasów.

Uśmiechnęła się, podeszła do niego od tyłu i objęła jego ramiona. Tak miło było poczuć jego muskularne ciało.

Nagle wzbił się w powietrze tak szybko, że ledwie zdążyła przytrzymać się go.

Zanim zdążyła się zorientować, już lecieli, ona trzymając się jego, opierając głowę na jego łopatce. Przeszył ją znajomy

dreszczyk, kiedy mknęli w dół, nisko nad powierzchnią miasta o wschodzie słońca. Aż zaparło jej dech w piersiach.

Nic z tego jednak nie było aż tak oszałamiające jak to, że znów była w jego ramionach, obejmowała go, po prostu z nim była. Upłynęła zaledwie godzina, a ona już zaczęła się modlić, by nigdy więcej się nie rozstali.

*

Paryż, nad którym lecieli, ten z tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego roku, na wiele sposobów przypominał Paryż, który widziała na obrazkach w dwudziestym pierwszym wieku. Rozpoznawała wiele budynków, kościoły, iglice, pomniki. Mimo, że miały już setki lat, wyglądały niemal dokładnie tak samo jak w dwudziestym pierwszym wieku. Podobnie jak w przypadku Wenecji i Florencji, niewiele się zmieniło przez tych kilkaset lat.

Jednak pod niektórymi względami różnił się i to znacznie. Nie był tak rozbudowany. Choć niektóre drogi były brukowane, było też wiele zwykłych, przypominających polne. Nawet w przybliżeniu nie był tak zagęszczony, a między budynkami widniały kępy drzew, jakby miasto zbudowano w lesie. Zamiast samochodów, po ulicach poruszały się konie i powozy, ludzie spacerowali lub pchali fury. Wszystkiemu towarzyszył większy spokój, większa swoboda.

Caleb zniżył lot tak, że lecieli kilka stóp nad budynkami. Kiedy minęli ostatni, nagle niebo otworzyło się przed nimi i ujrzeli rzekę Sekwanę, przepływającą przez sam środek miasta. Mieniła się żółto we wczesnym, porannym słońcu. Caitlin zaparło dech w piersi.

Caleb ponownie zanurkował w powietrzu, a Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla piękna tego miasta, jego romantycznej aury. Przelecieli nad niewielką wyspą Ile de la Cite i Caitlin rozpoznała leżącą poniżej katedrę Notre Dame, jej ogromna iglicę wznoszącą się wysoko ponad wszystko inne.

Caleb zniżył lot jeszcze bardziej, szybując tuż nad powierzchnią wody. Wilgotne powietrze utrzymujące się nad

rzeką schłodziło ich ciała w ten gorący lipcowy poranek. Caitlin rozglądała się, kiedy przelatywali nad i pod rozlicznymi, niewielkimi, łukiem zwieńczonymi mostkami spinającymi obydwie brzozy rzeki. W pewnej chwili Caleb podleciał ku jednemu z nich i wylądował łagodnie za wielkim drzewem, z dala od spojrzeń jakichkolwiek przechodniów.

Rozejrzała się i zauważyła, że zabrał ją do ogromnego, wytworzonego parku z ogrodem, który zdawał się rozpościerać na dziesiątki mil tuż przy brzegu rzeki.

- Tuilerie – powiedział Caleb. – Dokładnie takie samo, jak w dwudziestym pierwszym wieku. Nic się nie zmieniło. Nadal najbardziej romantyczne miejsce w Paryżu.

Wyciągnął rękę z uśmiechem i chwycił jej dłoń. Zaczęli iść niespiesznie jedną ze ścieżek wijących się przez cały ogród. Nigdy jeszcze nie była taka szczęśliwa.

Tak bardzo paliła się, by spytać go o tyle rzeczy. Nie mogła doczekać się, by powiedzieć mu wszystko. I nie wiedziała, od czego zacząć. Ale od czegoś musiała, więc pomyślała, że wspomni o tym, co ostatnio przyszło jej na myśl.

- Dziękuję – powiedziała – za to, co zrobiłeś w Rzymie. W Koloseum. Za uratowanie mi życia. Gdybyś nie pojawił się w tamtej chwili, nie wiem, co mogłoby się stać.

Odwróciła się i spojrzała na niego, nagle zdjeta niepewnością.

- Pamiętasz? – spytała z niepokojem.

Zwrócił się w jej stronę, spojrzał na nią i skinął głową. Wiedziała, że pamiętał. Poczula ulgę. Przynajmniej, wreszcie zgadzali się co do tego. Ich wspomnienia powróciły. I samo to znaczyło dla niej najwięcej na całym świecie.

- Ale przecież to nie ja ciebie uratowałem – powiedział. – Sama dałaś sobie radę beze mnie i to całkiem niezłe. A nawet przeciwnie, to ty ocaliłaś mnie. Już sama twoja obecność – nie wiem, co bym zrobił bez ciebie.

Kiedy ścisnął jej dłoń, poczuła, jak jej świat odżył w niej na nowo.

Przechadzając się po ogrodzie, przyglądała się z zachwytem różnorodnym kwiatom, fontanom, posagom... Było to jedno z najbardziej romantycznych miejsc, w jakich była.

- I przepraszam – dodała.

Spojrzał na nią, a ona bała się to powiedzieć.

- Za twojego syna.

Jego twarz pociemniała, a kiedy odwrócił wzrok, zobaczyła, jak przemknął po niej wyraz głębokiego smutku.

Ale głupia, pomyślała. Dlaczego zawsze musisz wszystko zepsuć? Dlaczego nie mogłaś poczekać z tym do jakiejś innej okazji?

Caleb przełknął i skinął głową, owładnięty zbyt wielkim smutkiem, by cokolwiek powiedzieć.

- I przepraszam za Serę – dodała Caitlin. – Nigdy nie zamierzałam stawać między wami.

- Nie przejmuj się – odparł. – Nie miałaś z tym nic wspólnego. To dotyczyło jedynie jej i mnie. Nigdy nie mieliśmy być razem. Od samego początku była to zła decyzja.

- Cóż, chciałabym też wreszcie powiedzieć ci, że przykro mi z powodu tego, co stało się w Nowym Jorku – dodała, czując ulgę, że w końcu wyrzuciła to z siebie. – Nigdy nie wbiłabym miecza, gdybym wiedziała, że to ty. Przysięgam. Myślałam, że to kto inny, że zmienił kształt. Nigdy w życiu nie pomyślałabym, że to naprawdę ty.

Poczuła rozdzierający ból na samą myśl o tym.

Zatrzymał się, spojrzał na nią i chwycił ją w ramiona.

- Nic z tego nie ma już znaczenia – powiedział szczerze. – Cofnęłaś się w czasie, by mnie ocalić. I wiem, że zrobiłaś to ogromnym kosztem. Mogło wcale się nie udać. A ty poświęciłaś dla mnie swoje życie. I dla mnie porzuciłaś nasze dziecko – powiedział i znów spuścił wzrok w przypiływie smutku. – Kocham cię bardziej, niż mógłbym to wyrazić – powiedział ze wzrokiem wciąż utkwionym w ziemi.

Spojrzał na nią oczyma pełnymi łez.

I wówczas pocałowali się. Czują, jak topnieje w jego ramionach, jak jej cały świat ogarnia spokój, a ich pocałunek trwał zdawałoby się wieczność. Była to najwspanialsza ze wszystkich chwil, które z nim spędziła, i w jakiejś mierze miała wrażenie, że dopiero teraz zaczęła tak naprawdę go poznawać.

W końcu odsunęli się powoli, spoglądając sobie głęboko w oczy.

Potem oboje odwrócili wzrok, niby ze skromności, chwycili się za ręce i ruszyli dalej, spacerując ogrodem wzdłuż rzeki. Patrzyła na piękno Paryża, na jego romantyzm i zdała sobie sprawę, że właśnie spełniały się jej wszystkie marzenia. Tego właśnie zawsze chciała od życia. Być z kimś, kto ją kocha – kto naprawdę darzy ją miłością. Być w tak pięknym mieście, tak romantycznym miejscu. Czuć, jakby miała przed sobą całe życie.

Wyczuła w kieszeni wysadzane klejnotami puzderko i ogarnęło ją niezadowolenie. Nie chciała go otwierać. Bardzo kochała ojca, ale nie chciała czytać listu od niego. Wiedziała już, że nie chce ciągnąć dalej swojej misji. Nie chciała ryzykować kolejnej podróży w czasie, ani też szukać jakichkolwiek kluczy. Chciała jedynie być tu, w tym miejscu i czasie, razem z Calebem. Chciała spokoju. Żadnych zmian. Była zdecydowana uczynić wszystko, by strzec ich drogocennych wspólnych chwil, by rzeczywiście zatrzymać ich przy sobie. I czuła po części, że oznaczało to zaniechanie kontynuowania jej misji.

Odwróciła się i zmierzyła go wzrokiem. Była podenerwowana, ale czuła, że musiała mu o tym powiedzieć.

- Caleb – powiedziała. – Nie chcę już więcej szukać. Zdaję sobie sprawę, że mam wyjątkową misję do spełnienia, że muszę pomóc innym, że muszę odszukać Tarczę. I że może to, co powiem zabrzmie egoistycznie. Wybacz, jeśli tak będzie. Ale chcę tylko być z tobą. Tylko to się dla mnie teraz liczy. Pozostać w tych czasach, w tym miejscu. Przeczuwam, że jeśli dalej będziemy szukać, skończymy w innym stuleciu i innym

miejscu. I że następnym razem możemy nie być już razem... Przerwała, uświadomiwszy sobie, że płacze.

Odetchnęła głęboko w otaczającej ciszy. Zastanawiała się, co on teraz o niej myślał. Miała nadzieję, że nie potępił jej za to.

- Potrafisz to zrozumieć? – zapytała niepewnie.

Wpatrywał się w horyzont, jakby z niepokojem, po czym w końcu odwrócił się i spojrzał na nią. Teraz ona poczuła zaniepokojenie.

- Nie chcę czytać listu od mojego taty, ani znajdować kolejnych wskazówek. Pragnę jedynie, abyśmy byli razem. Chcę, by wszystko pozostało takie, jakie jest w tej chwili. Nie chcę żadnych zmian. Mam nadzieję, że mnie za to nie znienawidzisz.

- Nigdy bym cię nie znienawidził – powiedział cicho.

- Ale nie popierasz tego? – naciskała. – Sądysz, że powinnam kontynuować misję?

Odwrócił wzrok. Nic nie powiedział.

- O co chodzi? – spytała. – Martwisz się o innych?

- Myślę, że powinienem – odparł. – I tak jest. Ale ja również kieruję się egoistycznymi pobudkami. Wydaje mi się... gdzieś w zakamarkach umysłu wciąż mam nadzieję, że jeśli znajdziemy Tarczę, to w jakiś sposób zwróci mi syna. Jade'a.

Caitlin ogarnęło okropne poczucie winy, kiedy uświadomiła sobie, że przyrównał jej rezygnację z misji z rozstaniem się z synem już na wieczność.

- Ale nie o to w tym chodzi – powiedziała. – Nie wiemy, czy jeśli odnajdziemy Tarczę, jeśli ona w ogóle istnieje, to czy zwróci ci to syna. Wiemy natomiast, że jeśli nie będziemy szukali, będziemy mieli ten czas dla siebie. Tu chodzi o nas. Tylko to się dla mnie liczy. Zawahała się przez moment. – Czy i tobie na tym tak zależy?

Spojrzał na horyzont i skinął głową. Na nią jednak nie popatrzył.

- A może kochasz mnie tylko dlatego, że mogę pomóc ci odszukać Tarczę? – spytała.

Zaszokowała samą siebie. Że też miała odwagę wymówić to pytanie. Pytanie, które prześladowało ją od momentu, kiedy pierwszy raz się spotkali. Czy kochał ją tylko dlatego, że mogła go gdzieś doprowadzić? Czy może kochał ją dla *niej samej*? I teraz, nareszcie, wydusiła je z siebie.

Serce waliło jej mocno w oczekiwaniu na odpowiedź.

W końcu odwrócił się i utkwiał wzrok głęboko w jej oczach. Podniósł dłoń i powoli pogłaskał ją po policzku.

- Kocham cię dla ciebie samej – powiedział. – Od zawsze. A jeśli bycie z tobą oznacza rezygnację z poszukiwań Tarczy, to właśnie tak postąpię. Ja również chcę być z tobą. Owszem, chcę jej szukać. Ale teraz to ty jesteś dla mnie najważniejsza.

Caitlin uśmiechnęła się. Poczuła w sercu coś, czego jeszcze nigdy nie doświadczyła. Czuła spokój, stabilizację. Nic nie mogło stanąć im teraz na drodze.

Odsunął włosy z jej twarzy i uśmiechnął się.

- Zabawne – powiedział. – Mieszkałem tu już kiedyś. Wieki temu. Nie w Paryżu. Na wsi. W niewielkim zamku. Nie wiem, czy nadal tam stoi, ale możemy sprawdzić.

Uśmiechnęła się, a Caleb nagle podźwignął ją na plecy i wzbił się powietrze. Po chwili lecieli już wysoko nad Paryżem, kierując się poza miasto, w poszukiwaniu jego domu.

Ich domu.

Caitlin nigdy jeszcze nie była tak szczęśliwa.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Sam z trudem dotrzymywał tempa Polly. Mówiła tak szybko, nieustannie przeskakując z jednej myśli do drugiej. Wciąż był oszołomiony po podróży w czasie. Odurzony tym miejscem – musiał wszystko przemyśleć.

Ale szli już tak od pół godziny, on wciąż potykał się o kolejne gałęzie, spiesząc za nią idącą przez las dziarskim krokiem, a ona ani na chwilę nie przestawała mówić. Ledwie zdołał wtrącić jakieś słowo. Wciąż mówiła i mówiła – o pałacu i o dworze, o członkach jej klanu, o nadchodzącym koncercie i kimś o imieniu Aiden. Nie miał pojęcia, o co jej chodzi, ani też dlaczego go szukała, czy choćby dokąd prowadziła. Postanowił poznać kilka odpowiedzi.

- ... oczywiście nie są to tylko tańce – kontynuowała Polly – ale mimo to i tak będzie to zadziwiające wydarzenie. Ale nie jestem pewna, co założyć na siebie. Jest tyle różnych możliwości, a nic wystarczająco dobrego na tak oficjalną okoliczność–

- *Proszę!* – powiedział w końcu Sam do podskakującej beztrzesko po lesie Polly. – Wybacz, że się wtrącam, ale mam do ciebie kilka pytań. I proszę. Muszę znać odpowiedzi.

W końcu umilkła, a on odetchnął z ulgą. Spojrzała na niego z pewnym zdziwieniem, jakby w ogóle nie była świadoma tego, że przez ten cały czas mówiła.

- Musisz jedynie zapytać! – powiedziała radośnie. Po czym dodała ze zniecierpliwieniem, jeszcze za nim zdążył zareagować – Więc? O co chodzi?

- Powiedziałaś, że zostałeś po mnie wysłana – powiedział Sam. – Przez kogo?

- To proste – odparła. – Przez Aideną.

- A kim on jest? – spytał Sam.

Zarżała. – Ojej, musisz się jeszcze wiele dowiedzieć, nieprawdaż? Aiden jest mentorem naszego klanu od tysięcy lat. Nie jestem pewna, dlaczego zainteresował się akurat tobą, ani też dlaczego wysłał mnie w ten piękny dzień, bym włączyła się po lesie, szukając ciebie. Na moje, sam w końcu odnalazłbyś drogę. Nie wspominając już o tym, że miałam tysiące własnych spraw na głowie, łącznie z rozglądaniem się za nową sukienką i–

- Proszę – powiedział Sam, starając się pamiętać, o co chciał ją zapytać, zanim znów wyleci mu z głowy. – Naprawdę doceniam to, że po mnie przysłałaś i w ogóle. Nie chcę być niegrzeczny, ale dokądkolwiek idziemy, naprawdę nie mam na to czasu. Zrozum, cofnąłem się w czasie, przybyłem tu z konkretnego powodu. Muszę pomóc swojej siostrze. Muszę ją odszukać – i nie mam czasu na jakieś wycieczki.

- Cóż, nie nazwałabym tego wycieczką – powiedziała Polly. – Aiden cieszy się największym zainteresowaniem na dworze. Jeśli zainteresował się tobą, to nie należy tego lekceważyć. I kimkolwiek jest osoba, której szukasz, jeśli ktokolwiek może wskazać ci do niej drogę, to z pewnością będzie to Aiden.

- W takim razie gdzie idziemy? I jak daleko jeszcze?

Zrobiła jeszcze kilka kroków w leśnej gęstwinie, a on pospieszył za nią, chcąc ją dogonić i zastanawiając się, czy w ogóle zareaguje, czy da mu jakąś prostą odpowiedź – kiedy nagle las skończył się.

Zatrzymała się, a on obok niej, zdumiony.

Przed nimi rozpościerała się ogromna, otwarta przestrzeń, u której krańców, w oddali, widniały wspaniałe, wytworne ogrody z trawą przyciętą do wymyślnych kształtów i rozmiarów. Były piękne niczym żywe dzieło sztuki.

A jeszcze bardziej oszałamiające było to, co leżało za ogrodami. Pałac okazałszy od wszelkich budowli, jakie Sam kiedykolwiek widział. Cały budynek był zbudowany z marmuru i rozciągał się we wszystkie strony, daleko, jak okiem sięgnąć. Zbudowany według klasycznego, formalnego projektu, miał dziesiątki potężnych okien i szerokie,

marmurowe schody wiodące do jego wejścia. Sam wiedział, że gdzieś już widział ilustracje tej budowli, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie.

- Wersal – powiedziała Polly, jakby czytała w jego myślach.

Spojrzał na nią, a ona uśmiechnęła się do niego.

- To tu mieszkamy. Jesteś we Francji, w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku. I jestem pewna, że Aiden zgodzi się, abyś przyłączył się do naszego klanu, zakładając, że Maria na to pozwoli.

Sam spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Maria? – spytał.

Uśmiechnęła się szerzej, potrząsając głową. Odwróciła się i w podskokach ruszyła w kierunku pałacu. W tej samej chwili zawołała ponad ramieniem.

- Maria Antonina oczywiście!

*

Szedł u boku Polly, wspinając się po nieskończonych marmurowych schodach do pałacu. Jednocześnie chłonał otaczające go widoki. Rozmiar i proporcje tego miejsca wprawiały w osłupienie. Wokół przechadzali się ludzie, którzy w jego mniemaniu należeli do królewskiej rodziny, ubrani w jedne z najwspanialszych strojów, jakie widział. Nie mógł wyjść z podziwu. Gdyby ktoś powiedział mu teraz, że śnił, z łatwością by mu uwierzył. Nigdy jeszcze nie był w kręgach rodziny królewskiej.

Polly nie przestawała mówić, a Sam starał skupić się na jej słowach. Lubił być przy niej, czerpał przyjemność z jej towarzystwa, nawet jeśli tak trudno było uważać na to, co mówiła. Uważał również, że była śliczna. Ale było w niej jeszcze coś, co sprawiało, że nie był pewien, czy rzeczywiście zadrzył się w niej, czy tylko polubił ją jak przyjaciela. W przypadku jego byłych dziewczyn, zawsze było to pożądanie od pierwszego wejrzenia. Z Polly przypominało to raczej koleżeństwo.

- Jak widzisz, mieszka tu rodzina królewska, ale i my również. Požadają naszej obecności. Jesteśmy w zasadzie ich najlepszą ochroną, jaką mają. Żyjemy ze sobą w czymś, co można by nazwać harmonią. I wzajemnie na tym korzystamy. Możemy bez ograniczeń polować w tym przepastnym lesie, mieszkać we wspaniałym miejscu i towarzystwie. W zamian chronimy królewską rodzinę. Nie wspominając już o tym, że niektórzy jej członkowie i tak należą do naszego rodzaju.

Sam spojrział na nią ze zdziwieniem.

- Maria Antonina? – spytał.

Polly skinęła nieznacznie, jakby chciała zachować to w tajemnicy, ale nie mogła się oprzeć.

- Ale nie mów nikomu – powiedziała. Kilka innych osób również. Jednak większość rodziny królewskiej pozostaje ludźmi. Chętnie wstąpiłoby w nasze szeregi, ale istnieją tu surowe zasady i jest to zabronione. Jesteśmy my i oni i nie wolno nam przekroczyć tej linii. Nie chcemy też, by niektórzy członkowie rodziny królewskiej zdobyli zbyt dużą władzę. Maria również na to nalega.

- W każdym razie, jest to po prostu najwspanialsze miejsce pod słońcem. Nie potrafię nawet wyobrazić sobie, że kiedykolwiek mogłoby przestać istnieć. Co chwilę odbywają się tu przyjęcia, tańce, bale, koncerty... A najwspanialszy będzie już w tym tygodniu. W zasadzie będzie to opera. I mam już wybrany strój.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, kilka sług podbiegło, by je przed nimi otworzyć. Złote wrota były masywne i kiedy przez nie wchodzili, Sam patrzył oniemiały z wrażenia.

Polly pomaszerowała wprost wielkim, marmurowym korytarzem, jakby całe to miejsce należało do niej. Sam popędził za nią, chcąc dotrzymać jej kroku. Rozglądał się wokół, nie mogąc nadziwić się temu przepychowi. Szli niezliczonymi, marmurowymi korytarzami z wielkimi, nisko zawieszonymi, kryształowymi żyrandolami odbijającymi światło dziesiątek połączanych luster. Słoneczne światło wlewało się do środka i rozpraszało po całym wnętrzu.

Przechodzili przez kolejne drzwi, aż w końcu weszli do ogromnego salonu z marmuru, z kolumnami stojącymi dookoła. Kiedy Polly weszła, kilku strażników stanęło na baczność.

Polly zachichotała jedynie, najwidoczniej obojętna na ich zachowanie.

- I możemy tu również trenować – dodała. – Mają najlepszą bazę treningową. A Aiden każe nam ściśle przestrzegać harmonogramu. Jestem zaskoczona, że pozwolił mi przerwać ćwiczenia i kazał pójść po ciebie. Musisz być ważny.

- Więc, gdzie on jest? – spytał Sam. – Kiedy będę mógł go poznać?

- Ojej, ale jesteś niecierpliwy, co? Jest bardzo zajęty. Może nawet nie chce spotkać się z tobą przez jakiś czas. Ale może też wezwać cię do siebie od razu. Nie martw się. Będiesz wiedział, kiedy zechce się z tobą zobaczyć. Bądź cierpliwy. W międzyczasie, poproszono mnie, abym odprowadziła cię do twojego pokoju.

- Mojego pokoju? – spytał Sam ze zdziwieniem. – Chwileczkę. Nie powiedziałem, że tu zostanę. Jak już wspomniałem, naprawdę muszę odszukać siostrę – zaczął protestować, ale w tej samej chwili otworzyły się przed nim ogromne dwuskrzydłowe drzwi.

Do sali weszła nagle królewska świta, otaczając kobietę niesioną na królewskim tronie.

Opuszczono ją na dół. Polly ukłoniła się nisko i skinęła na Sama, by zrobił to samo. I zrobił.

Kobieta, która mogła być jedynie Marią Antoniną, zeszła powoli z podwyższenia, podeszła kilka kroków w ich kierunku i zatrzymała się tuż przed Samem, dając mu znak, by powstał.

Obrzuciła Sama spojrzeniem od stóp do głów, jakby był jakimś przedmiotem zainteresowania.

- A więc, to ty jesteś tym nowym chłopcem – powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. Jej zielone oczy płonęły z siłą,

jakiej jeszcze nigdy nie widział i rzeczywiście wyczuł, że była jedną z nich.

W końcu, po chwili zdającej się trwać wieczność, skinęła głową.

- Interesujące.

To powiedziawszy, przeszła obok nich, a jej świta ruszyła za nią.

Jedna osoba jednak pozostała w miejscu, najwyraźniej członkini rodziny królewskiej. Wyglądała na siedemnaście lat i miała na sobie królewską, błękitną, atłasową suknię, zakrywającą ją od stóp do głów. Miała najjaśniejszą skórę, jaką Sam kiedykolwiek widział, zestawioną z długimi, kędzierzawymi blond włosami i świdrującymi, niebieskimi oczyma. Skupiła się na Samie, utkwivszy wzrok w jego oczach.

Jej spojrzenie sprawiło, że poczuł się bezradny. Nie był w stanie odwrócić od niej oczu.

Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widział.

Po kilku sekundach podeszła o krok i zajrzała mu w oczy jeszcze głębiej. Wysunęła rękę do przodu, dłonią w dół, najwyraźniej oczekując, że ją ucałuje. Poruszała się powoli, dumnie.

Sam chwycił jej dłoń i poczuł dreszcz, kiedy dotknął jej skóry. Przyciągnął koniuszki palców do siebie i złożył pocałunek.

- Polly? – powiedziała dziewczyna. – Nie przedstawisz nas sobie?

Nie było to pytanie. Raczej polecenie.

Polly odchrząknęła, jakby z ociąganiem.

- Kendro, to Sam – powiedziała. – Samie, to Kendra.

Kendra, pomyślał Sam, gapiąc się w jej oczy, zbity z tropu jej nachalnym spojrzeniem, jakby już był jej własnością.

- Sam – powtórzyła niczym echo. – Nieco zwyczajnie. Ale
podoba mi się.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kyle przebił się przez kamienny sarkofag jednym uderzeniem pięści, a kamień rozpadł się na wiele kawałków. Wyszedł ze stojącej trumny, gotowy do działania.

Obrócił się na pięcie i rozejrzał wokół, zdecydowany zaatakować każdego, kto się zbliży. W zasadzie miał nawet nadzieję, że nadarzy się ktoś, z kim będzie mógł walczyć. Ta cała podróż w czasie była wyjątkowo nieznośna i chętnie wylądowałby na kimś swój gniew.

Kiedy jednak się rozejrzał, zauważył, ku swemu rozczarowaniu, że komnata była pusta. Był sam.

Jego gniew powoli zelżał. Przynajmniej wylądował w odpowiednim miejscu. Wyczuwał też, że i czasy się zgadzały. Wiedział, że był bardziej wytrawnym podróżnikiem w czasie niż Caitlin i potrafił dokładniej zlokalizować miejsce i czas swego przybycia. Rozejrzał się wokół i z zadowoleniem stwierdził, że był dokładnie tam, gdzie chciał: w Pałacu Inwalidów.

Uwielbiał to miejsce od zawsze. Miało istotne znaczenie dla złowrogiej części jego gatunku. Zbudowane w formie mauzoleum, głęboko pod ziemią, w całości z marmuru, pięknie zdobione, z sarkofagami wzdłuż ścian dokoła. Budynek miał cylindryczny kształt, a jego strop piał się na sto stóp w górę i był zwieńczony kopułą. Panował w nim ponury nastrój, idealnie nadający się na miejsce spoczynku całej elity francuskiej armii. Kyle wiedział również, że pewnego dnia pochowają tam też Napoleona.

Ale nie szybko. Był dopiero tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewiąty rok i Napoleon, ta kanalia niskiego wzrostu, wciąż żył jeszcze. Był ulubieńcem Kyle'a, przedstawicielem jego własnej rasy. Kyle zdał sobie sprawę, że Napoleon mógł mieć teraz około dwudziestu lat i stać u progu swojej kariery. Musiało minąć jeszcze trochę czasu

zanim pochowają go w tym miejscu. Oczywiście, ponieważ Napoleon był jednym z nich, jego pogrzeb służył jedynie jako podstęp, by masy ludzkie myślały, że cesarz był taki, jak wszyscy.

Kyle uśmiechnął się na myśl o tym. Oto był tutaj, w miejscu ostatecznego spoczynku Napoleona, zanim ten jeszcze „umarł”. Nie mógł doczekać się, aby zobaczyć go ponownie, wspominać stare czasy. Był przecież jednym z niewielu przedstawicieli jego rasy, których Kyle darzył połowicznym szacunkiem. Był też aroganckim, mizernym łajdakiem. Kyle musiał przywołać go do porządku.

Przeszedł wolnym krokiem po marmurowej posadzce. Jego kroki rozbrzmiewały echem po całym wnętrzu. Rzucił okiem na siebie. Z pewnością pamiętał lepsze czasy. Stracił oko za sprawą okropnego dzieciaka, syna Caleba, a jego twarz nadal była zniekształcona dzięki temu, co zrobił mu Rexus w Nowym Jorku. Jakby tego nie było dość, miał również wielką ranę w policzku zadaną przez włócznię, którą cisnął w niego Sam w Koloseum. Przypominał wrak i dobrze o tym wiedział.

Ale w zasadzie mu się to podobało. Był twardy. Przeżył i nikt nie zdołał go powstrzymać. I był wściekły, jak nigdy przedtem. Był zdecydowany powstrzymać Caitlin i Caleba przed odszukaniem Tarczy, ale też był zdeterminowany sprawić, by oboje zapłacili mu za wszystko. Mieli cierpieć, tak samo jak on. Sam również dostał się na jego listę. Cała trójka – nie zamierzał spocząć dopóki nie podda ich powolnym torturom. W kilku skokach pokonał marmurowe schody i dostał się na górną kondygnację grobowca. Zatoczył koło, podszedł ku krańcowi kaplicy, pod ogromną kopułą i wcisnął dłoń za ołtarz. Poczł wapienną ścianę i zaczął przeszukiwać szczelinę.

W końcu znalazł to, czego szukał. Nacisnął ukrytą zasuwę i otworzył skrytkę. Sięgnął dłonią i wyjął długi, srebrny miecz z rękojeścią inkrustowaną klejnotami. Podniósł go do światła i obejrzał z zadowoleniem. Dokładnie takim go zapamiętał.

Przewiesił go przez plecy, odwrócił się i skierował ku korytarzowi, do frontowych drzwi. Odchylił się i jednym potwornym kopniakiem wyrwał ogromne, dębowe drzwi z

zawiasów, które padły z hukiem na ziemię, odbijając się echem w pustym budynku. Kyle poczuł satysfakcję, że tak szybko odzyskał pełnię sił.

Zauważył, że nadal była noc. Uspokoił się nieco. Gdyby zechciał, poleciałby nocnym niebem, wprost do swego celu – ale zależało mu na tym, by rozkoszować się każdą chwilą. Paryż w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewiątym roku był szczególnym miejscem. Nierząd, alkoholizm, hazard i przestępczość nadal szerzyły się tu w najlepsze. Mimo wspaniałych pozorów i architektury, istniała też gorsza strona, jak Paryż długi i szeroki. Podobało mu się to. Całe miasto miało na wyciągnięcie ręki.

Zamknawszy oczy, uniósł podbródek i zaczął nasłuchiwać, wczuwać się w otoczenie. Czuł wyraźnie obecność Caitlin w tym mieście. I Caleba. Co do Sama nie był już taki pewny, ale wiedział, że przynajmniej ta dwójka tu była. To dobrze. Pozostało mu jedynie ich znaleźć. Zamierzał wziąć ich z zaskoczenia i zabić oboje bez trudu. Przynajmniej tak to sobie wyobrażał. Paryż był o wiele przystępniejszym miejscem. Nie było tu Wielkiej Rady wampirów, jak w Rzymie, przed którą musiałby się tłumaczyć. A nawet lepiej, żył tu potężny klan wampirów, któremu przewodził Napoleon. A Napoleon był mu coś winien.

Kyle zdecydował, że pierwszym punktem jego planu było wysledzenie tego mizeroty i zmuszenie go, by spłacił swój dług. Miał zamiar zwerbować wszystkich żołnierzy Napoleona, by zrobili, co w ich mocy, i odszukali Caitlin i Caleba. Wiedział, że ludzie Napoleona potrafili być użyteczni, gdyby natrafił na jakiś opór. Tym razem nie miał zamiaru ryzykować.

I wciąż miał czas. Mógł najpierw się nakarmić, stanąć obiema nogami pewnie na ziemi. Oprócz tego, jego plan już został wprowadzony w życie. Zanim opuścił Rzym, wysledził Sergeia, swojego starego sługusa, i wysłał go tutaj przed sobą. Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Sergei już tu był i ciężko pracował nad wykonaniem misji, infiltrując klan Aideny. Kyle uśmiechnął się szeroko. Nic nie sprawiało mu

takiej radości, jak zdrajca, mała gnida pokroju Sergeia. W jego rękach stał się bardzo użyteczną marionetką.

Kyle zeskoczył po małych stopniach niczym sztubak, pełen radości, gotowy rzucić się na miasto, wziąć, na co przyszlaby mu ochota.

Kiedy ruszył jedną z miejskich ulic, podszedł do niego uliczny artysta z płótnem i pędzlem w dłoniach, gestami dając do zrozumienia, by pozwolił mu namalować jego wizerunek. Jeśli istniało coś, czego Kyle nienawidził, to był to człowiek chcący namalować jego portret. Był jednak w tak dobrym nastroju, że postanowił darować mu życie.

Kiedy jednak mężczyzna nie ustępował, idąc za Kylem nachalnie, niemal wciskając mu płótno, Kyle wyciągnął rękę, chwycił pędzel i wbił go dokładnie między oczy mężczyzny. Sekundę później człowiek padł martwy.

Kyle wziął płótno i rozdarł je nad trupem.

I poszedł dalej, całkiem z siebie zadowolony. Noc zapowiadała się wspaniale.

Skręcił w brukowaną alejkę i ruszył w kierunku dzielnicy, którą tak dobrze pamiętał. Po chwili wszystko zaczęło wyglądać znajomo. Na ulicach stały ladacznice, zachęcając go gestami. W pewnej chwili z knajpy wytoczyło się dwóch wielkich drabów, najwyraźniej pijanych, i zderzyło się z nim mocno, nie patrząc, gdzie szli.

- Hej, ty cymbale! – wrzasnął na niego jeden z nich.

Drugi odwrócił się do Kyle'a. – Hej, jednooki! – wrzasnął. – Patrz, gdzie idziesz!

Wielkolud sięgnął ręką w kierunku Kyle'a, zamierzając uderzyć go w pierś i popchnąć mocno. Jednak, kiedy jego pchnięcie nie zadziało, otworzył oczy szeroko z niedowierzania. Kyle nie drgnął nawet o cal. Jakby próbować pchnąć kamienny mur.

Kyle potrząsnął głową powoli, zdumiony głupotą dwójki mężczyzn. Zanim zdążyli zareagować, sięgnął za siebie, wy dobył miecz i jednym szybkim ruchem odrąbał im głowy w ułamku sekundy.

Obserwował z zadowoleniem, jak ich głowy potoczyły się na dół, a ich ciała zaczęły osuwać na ziemię. Odłożył miecz na miejsce, po czym sięgnął po bezgłowe ciało i przyciągnął do siebie. Zatopił długie kły w otwartej gardzieli i zaczął chleptać gwałtownie tryskającą wokół krew.

Usłyszał jak ulicznice podniosły nagle wrzask, kiedy zobaczyły, co się stało. Zaraz potem rozległ się trzask zamykanych drzwi i okiennic.

Uświadomił sobie, że obawiało się go już całe miasto.

Dobrze, pomyślał. Uwielbiał takie powitanie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Caitlin i Caleb oddalali się coraz bardziej od Paryża, szybując wczesnym rankiem nad francuskim wiejskim krajobrazem. Caitlin trzymała się mocno Caleba, który mknął, przecinając powietrze. Czowała się już silniejsza, czuła, że gdyby zechciała w tym momencie pofrunąć, udałoby się jej to. Ale nie chciała wypuszczać go z objęcia. Uwielbiała czuć jego ciało. Chciała jedynie trzymać go, poczuć, jak to jest być znowu razem. Obawiała się – wiedząc, że to szalone – iż po tak długiej rozłące, mógłby odlecieć już na zawsze, gdyby puściła go tylko na chwilę.

Krajobraz poniżej zmieniał się ustawicznie. Miasto szybko zniknęło za widnokretem, a pojawiły się gęste lasy pokrywające bezkresne wzgórza. W pobliżu miasta zdarzały się sporadyczne domostwa i gospodarstwa. Im dalej jednak lecieli, tym bardziej teren pustoszał, Mijali pola, ciągnące się łąki, sporadyczne gospodarstwa, owce pasące się nieopodal. Z kominów unosił się dym. Zgadywała, że ludzie zapewne właśnie coś gotowali. Na trawnikach na rozciągniętym sznurze wisały prześcieradła. Otaczały ich sielankowe sceny, a lipcowa temperatura spadła na tyle, że chłodniejsze powietrze, zwłaszcza na tej wysokości, przyniosło im orzeźwienie.

Po wielu godzinach lotu, kiedy minęli kolejny zakręt, nowy widok zaparł Caitlin dech w piersiach: w oddali na horyzoncie połyskiwało morze, mieniąc się żywym błękitem. Jego fale rozbijały się o bezkresne, nieskazitelne brzegi. Kiedy zbliżyli się bardziej, ziemia wzniosła się i wzgórzami ciągnęła się aż do morskiego brzegu.

Wśród tych wzgórz, spoczywała strzelista budowla. Wyróżniając się na tle horyzontu, stał wspaniały, średniowieczny zamek, zbudowany z wapienia, ozdobiony rzeźbami i gargulcami. Znajdował się wysoko na wzgórzu, z którego rozpościerał się widok na morze. Jak okiem sięgnąć, otaczały go pola pełne kwiatów. Widok tak piękny, że zapierał

dech w piersi, sprawił, że Caitlin odniosła wrażenie, iż znalazła się w pocztówce.

Jej serce zabiło mocniej z podekscytowania, kiedy pojawiła się nadzieja, marzenie, aby właśnie to miejsce należało do Caleba. I w jakiś sposób czuła, że tak było.

- Tak – zawołał, przekrzykując szum wiatru, czytając jak zwykle w jej myślach. – To tu.

Jej serce zabiło mocniej z zachwytu. Była taka rozentuzjasmowana. Czuła też w sobie siłę. Była gotowa polecieć dalej o własnych siłach.

Nagle zeskokczyła z Caleba i poleciała, szybując w powietrzu. Przez moment poczuła strach, że jej skrzydła się nie rozwiną. W następnej jednak chwili rozwinęły się, dając jej oparcie w powietrzu.

Uwielbiała uczucie, kiedy napierało na nie powietrze. Wspaniale było znowu je mieć, być niezależną. Wzlatywała i opadała, pikując tuż przy uśmiechającym się do niej Calebem. Nurkowali i wzlatywali razem, wchodząc co rusz sobie w drogę, stykając się czasami koniuszkami skrzydeł.

Zanurkowali razem w powietrzu jak na komendę, opadając w pobliżu zamku. Wyglądał wiekowo, sprawiał wrażenie wysłużonego, ale nie w negatywnym znaczeniu. Caitlin od razu poczuła się tu jak w domu.

Chłonąc te wszystkie widoki: krajobraz, rozległe wzgórza, odległy ocean, pierwszy raz od niepamiętnych czasów poczuła spokój. Nareszcie poczuła się, jak w domu. Oczami wyobraźni zobaczyła własne życie spędzone tutaj u boku Caleba, może nawet ponowne założenie rodziny, jeśli to było możliwe. Byłaby tak bardzo szczęśliwa, dożywszy swych dni w tym miejscu razem z Calebem – i rodziną. Nareszcie nie dostrzegła niczego, co mogłoby stanąć im na drodze.

*

Wylądowali razem przed zamkiem. Dębowe wrota pokrywała gruba warstwa kurzu i morskiej soli. Najwyraźniej nie były otwierane od wielu lat. Spróbował użyć klamki. Były zamknięte na klucz.

- Minęły setki lat – powiedział Caleb. – Jestem mile zaskoczony, że nadal tu stoi, że uniknął dewastacji, że nawet wciąż jest zamknięty. Tu gdzieś był klucz...

Sięgnął ręką wysoko nad framugą i wyczuł szczelinę za kamiennym łukiem. Przesunął palcami w górę i w dół, wzdłuż szpary, aż w końcu zatrzymał się i wyjął podłużny, srebrny, zwyczajny klucz.

Wsunął go do otworu. Klucz pasował idealnie. Caleb obrócił go ze szczękiem.

Odwrócił się i uśmiechnął do Caitlin, ustępując jej z drogi.

- Czyń honory – powiedział.

Caitlin popchnęła ciężkie, średniowieczne drzwi, które otworzyły się powoli ze skrzypieniem. Skorupa soli zaczęła odpadać od nich całymi grudkami.

Weszli razem do wnętrza. Komnata wejściowa tonęła w mroku i niezliczonych pajęczynach. Powietrze zastygło w bezruchu przepelnionym wilgocią. Sprawiało wrażenie, że od stuleci nikt tu nie zawitał. Spojrzała w górę, na wysoko sklepione mury, potem na kamienną posadzkę. Na wszystkim spoczywała gruba warstwa kurzu, łącznie z oszklonymi oknami, blokując znaczną ilość światła, dzięki czemu było tu ciemniej niż w rzeczywistości.

- Tędy – powiedział Caleb.

Chwycił jej dłoń i poprowadził wąskim korytarzem, który skończył się wejściem do okazałej sali z wysokimi oknami po obu stronach. Było tu znacznie widniej, pomimo tego całego kurzu. Pozostały też jakieś meble: długi, dębowy, średniowieczny stół otoczony zdobionymi, drewnianymi krzesłami. Na środku tkwił ogromny, marmurowy kominek, jeden z największych, jakie Caitlin do tej pory widziała. Był niewiarygodny. Caitlin poczuła, jakby weszła do klasztoru.

Zleciłem jego budowę w dwunastym wieku – powiedział, rozglądając się wokół. W tamtych czasach właśnie taka była moda.

- Mieszkałeś tu? – spytała Caitlin.

Skinął głową.

- Jak długo?

Namyślił się.

- Jakieś sto lat – odparł. – Może dwieście.

Caitlin nie mogła wyjść z podziwu dla ogromu czasu, w jakim funkcjonował świat wampirów.

Nagle jednak zmartwiła się, gdy do głowy przyszła jej pewna myśl: czy mieszkał tu z inną kobietą?

Aż bała się zapytać.

- Nie – odparł. – Mieszkałem tu sam. Zapewniam cię. Jesteś pierwszą kobietą, którą kiedykolwiek tu zabrałem.

Caitlin poczuła ulgę, aczkolwiek również zażenowanie, że odczytał jej myśli.

- Chodź – powiedział. – Tędy.

Poprowadził ją w górę po spiralnych schodach, które wily się aż do drugiego piętra. Było tu o wiele jaśniej. Wielkie, sklepione okna wychodziły na wszystkie strony, wpuszczając promienie słońca odbijające się od odległego morza. Komnaty były tu mniejsze, bardziej intymne. Było też więcej marmurowych kominków. Przechadzając się między komnatami, Caitlin odkryła w jednej z nich wielkie łoże z baldachimem. W innych komnatach stały szezlongi i krzesła wyściełane aksamitem. Nie zauważyła żadnych chodników, jedynie gołe podłogi. Miejsce to tchnęło surowością, ale jednocześnie było piękne.

Poprowadził ją przez jedną komnatę ku ogromnym, szklanym drzwiom. Były pokryte tak grubą warstwą kurzu, że w ogóle ich nie zauważyła. Podeszedł do nich, szarpnął, mocując się z zamkiem i klamką, aż wreszcie ustąpiły z trzaskiem i chmurą kurzu.

Wyszedł na zewnątrz, a Caitlin poszła za nim.

Wyszli na ogromny, kamienny taras zdobiony marmurami i blankami w kształcie kolumn. Podeszli razem do muru i wyjrżeli na zewnątrz.

Roztaczał się stąd widok na cały krajobraz i ocean. Caitlin słyszała rozbijające się fale, czuła zapach morza niesiony przesyconymi nim podmuchami wiatru. Odniosła wrażenie, że oto znalazła się w niebie.

Jeśli kiedykolwiek miałyby wymarzyć sobie swój dom, to właśnie tak zdecydowanie by wyglądał. Wszędobylski kurz wymagał kobiecej dłoni, ale Caitlin wiedziała, że mogłaby zaprowadzić tu porządek, przywrócić niegdysiejszy stan. Czuła, że rzeczywiście było to miejsce, które mogliby nazwać swoim domem.

- Myślałem o tym, co powiedziałaś – powiedział – przez cały lot tutaj. O tym, że moglibyśmy spędzić tu nasze życie. Bardzo tego pragnę.

Objął ją ramieniem.

- Chciałbym, abyś tu ze mną zamieszkała. Abyśmy tutaj zaczęli wspólne życie od nowa. Właśnie tu. Jest tak cicho, spokojnie i bezpiecznie. Nikt nie zna tego miejsca. Nikt nas tu nigdy nie znajdzie. Nie widzę powodu, dla którego nie moglibyśmy tu spędzić naszego życia jak normalni ludzie. Oczywiście, czeka nas sporo pracy, ale jestem na to gotów, jeśli i ty tego chcesz.

- Z wielką ochotą – odparła. – Chcę jedynie być już zawsze z tobą.

Jej serce zabiło mocniej, kiedy zbliżyli się i zwarli w pocałunku na tle szumiących fal i podmuchów morskiej bryzy.

Nareszcie cały jej świat był znów idealny.

*

Caitlin nigdy jeszcze nie była taka radosna. Przechadzała się po komnatach ze ścierką w dłoni. Caleb opuścił ją, odleciał na polowanie, przejęty zadaniem zdobycia obiadu dla nich obojga. Caitlin była zachwycona, gdyż dzięki temu miała trochę czasu, by zwiedzić dom, zapoznać się z nim całym, spojrzeć kobiecym okiem i ocenić, jak zaprowadzić porządek i stworzyć tu ich wspólny dom.

Pokonywała pokoje, otwierając okna i wpuszczając oceaniczne powietrze. Znalazła wiadro i ścierkę, z którymi

poszła do strumienia, który zauważyła, przebiegając przez podwórze i wróciła z wiadrem pełnym wody. Moczyła ścierkę w strumieniu tak długo, aż była możliwie najczystsza. Potem znalazła wielką skrzynkę, przystawiała do kolejnych okien, wchodziła na nią, otwierała ogromne, średniowieczne skrzydła i myła szyby. Kilka okien było dla niej zbyt wysokie. Wówczas użyła skrzydeł. Podfrunęła i umyła je, zawisnąwszy wysoko w powietrzu.

Była zdumiona natychmiastową zmianą, jaka zaszła w komnatach. Ginące do tej pory w mroku wnętrza, całkowicie zalało światło. Na szybach, po obu stronach, musiał nagromadzić się wielowiekowy kurz i sól. Już samo otwarcie okien było nie lada wyczynem. Musiała użyć wszystkich sił, by oswobodzić je z narosłego brudu.

Przyglądała się im uważnie i z podziwem dla kunsztu ich wykonania. Każda szyba miała kilka cali grubości i swój niepowtarzalny kształt. Niektóre wypełniały witraże, inne były przezroczyste, a jeszcze inne były zabarwione najdelikatniejszymi odcieniami farby. Kiedy kończyła wycierać kolejne okno, niemal czuła wdzięczność domostwa, które powoli, cal po calu wracało do życia.

Kiedy skończyła, zlustrowała wzrokiem swoje dzieło. Była w szoku. To, co przedtem było mrocznym, niezbyt zachęcającym pokojem, stało się niewiarygodnym, pełnym słonecznego blasku wnętrzem, z którego rozpościerał się widok na ocean.

Następnie zajęła się podłogami. Opadła na kolana i szorowała posadzkę. Z zadowoleniem obserwowała, jak odrywały się od niej sterty brudu, spod którego zaczęły połyskiwać wielkie, piękne kamienie.

Później skierowała się do ogromnego, marmurowego kominka. Zaczęła ścierać z gzymsu latami narosły kurz. Następnie zajęła się wiszącym nad nim ogromnym, ozdobnym lustrem. Wycierała je tak długo, aż zaczęło lśnić. Była przybita faktem, że nadal nie mogła ujrzeć w nim swego odbicia – wiedziała jednak, że nic na to nie mogła poradzić.

Następnie zajęła się żyrandolem. Przetarła każdy, wysadzany kryształami świecznik. Później jej wzrok spoczął na łożu. Wytarła po kolei każdy z czterech słupków, całą ramę, powoli zwracając życie pradawnemu drewnu. Chwyciła wiekowe, będące w niezłym stanie narzuty, wyszła z nimi na taras i wytrzeptała ze wszystkich sił, wytrząsając chmury kurzu na wszystkie strony.

Wróciła do pokoju, jej przyszłej sypialni i zlustrowała wzrokiem: prezentowała się teraz wspaniale. Błyszczała jasno jak każda inna w jakimkolwiek zamku. Nadal tchnęła duchem średniowiecza, ale teraz przynajmniej była czysta i kusząca. Na myśl o zamieszkaniu tutaj poczuła, jak jej serce zabiło mocniej.

Spuściła wzrok i zauważyła, że woda w wiadrze jest czarna. Zeskoczyła po stopniach i wyszła z wiadrem przez drzwi z zamiarem ponownego napełnienia go czystą wodą ze strumienia.

Uśmiechnęła się na myśl, jak zareaguje Caleb po powrocie. Będzie zdziwiony, pomyślała. Zamierzała wyczyścić następnie jadalnię. Spróbować stworzyć intymną atmosferę, w której mogliby spożyć swój pierwszy posiłek w nowym domu – pierwszym z wielu. Przynajmniej miała taką nadzieję.

Kiedy przybyła nad brzeg strumienia i stanęła po kolana w miękkiej trawie, opróżniając wiadro i napełniając je ponownie, nagle poczuła jak jej zmysły wyostrzyły się, ostrzegając przed czymś. Usłyszała szelest, całkiem niedaleko, i wyczuła zbliżające się zwierzę.

Obróciła się szybko, a to, co zobaczyła, zaskoczyło ją.

Kilka stóp dalej ujrzała wilcze szczenię, które podchodziło do niej powoli. Pokryte było białym futrem, z jedną szarą smugą ciągnącą się wzdłuż czoła i grzbietu. To, co uderzyło w nią Caitlin najbardziej, to jego oczy: wpatrywały się w nią, jakby dobrze ją znały. Co więcej, były takie same jak u Róży.

Czuła, jak mocno biło jej serce. Miała wrażenie, że oto Róża powróciła do niej ze świata umarłych, że odrodziła się w innym zwierzęciu. To spojrzenie, ten wyraz twarzy. Barwa

futra była inna, lecz równie dobrze mogła to być odrodzona Róża.

Wilczę było również zaskoczone jej widokiem. Zatrzymało się, wpatrując wciąż w jej twarz, po czym podeszło do niej ostrożnie. Caitlin rozejrzała się wokół, lustrując okoliczny las, szukając wzrokiem innych wilcząt, czy też jego matki. Nie chciała, by skończyło się to walką.

Lecz nigdzie w zasięgu wzroku nie było żadnego zwierzęcia.

Kiedy przyjrzała się szczenięciu, zrozumiała dlaczego. Utykało mocno, a z jego łapy ciekła krew. Wyglądało na ranne. I prawdopodobnie, Caitlin uświadomiła sobie dopiero teraz, porzucone przez matkę na pewną śmierć.

Szczenie spuściło łepki i podeszło powoli wprost do Caitlin. Potem, ku jej zdumieniu, złożyło głowę na jej kolanach i, kwiląc cicho, zamknęło oczy.

Serce Caitlin zabiło mocno. Tak bardzo tęskniła za Różą, a teraz odniosła wrażenie, że ta do niej wróciła.

Postawiła wiadro na ziemi, sięgnęła rękoma i wzięła szczenie w ramiona. Przytuliła do siebie, płacząc, rozpamiętując wszystkie chwile spędzone z Różą. Wbrew sobie poczuła, jak po policzkach pociekły jej łzy. Wilczek spojrzał nagle na nią, jak gdyby wyczuł jej nastrój, odchylił się i zlizął łzy z jej twarzy.

Caitlin nachyliła się i pocałowała szczenie w czoło. Trzymała je mocno, tuląc do swej piersi. Nie było mowy o tym, żeby je teraz puściła. Zamierzała zrobić wszystko, by pomóc zwierzęciu, wyleczyć rany i przywrócić je do życia. I, gdyby wilczę tylko zechciało, zatrzymać je przy sobie.

- I jak mam cię nazwać? – spytała. – Druga Róża nie będzie pasować... Może... Ruth?

Szczenie polizało ją nagle po policzku, jakby w odpowiedzi na to imię. Była to najlepsza odpowiedź, o jaką Caitlin mogłaby prosić.

I tak już zostało. Ruth.

*

Caitlin, z Ruth u boku, skończyła właśnie sprzątać jadalnię, kiedy zauważyła coś ciekawego pod ścianą. Tuż obok kominka leżały dwa długie srebrne miecze. Podniosła jeden, wytarła z kurzu i z podziwem przyjrzała się inkrustowanej klejnotami rękojeści. Była to piękna broń. Odłożyła ścierkę i wiadro i nie mogła oprzeć się wypróbowaniu go. Zamachnęła się mieczem na oślep, w lewo i prawo, zmieniając dłoń, wymachując nim w olbrzymim pomieszczeniu. Wspaniałe uczucie.

Zaczęła zastanawiać się, ile innej broni Caleb tu przetrzymał. Mogłaby potrenować z nią na otwartej przestrzeni.

- Widzę, że znalazłaś broń – powiedział Caleb, wchodząc nagle przez drzwi. Caitlin odłożyła miecz natychmiast. Była zażenowana.

- Wybacz, nie zamierzałam wściubiać nosa w twoje sprawy.

Caleb zaśmiał się.

- Mój dom jest też twoim – powiedział i wszedł do pokoju, niosąc dwie okazałe sztuki sarniny przewieszane przez bark. – Cokolwiek posiadam, należy do ciebie. Poza tym, właśnie takie dziewczyny lubię. Sam również wypróbowałbym te miecze – powiedział i mrugnął okiem.

Ruszył przez pokój, niosąc zdobycz, kiedy nagle zatrzymał się i obrócił, reagując z opóźnieniem.

- No! No! – zawołał zszokowany. – Ten pokój wygląda teraz jak nowy!

Stał, gapiąc się szeroko otwartymi oczyma. Caitlin zauważyła, że rzeczywiście był pod wrażeniem i była szczęśliwa. Rozejrzała się wokół i stwierdziła, że istotnie wewnątrz przeszło przemianę. Teraz mieli już wyborną jadalnię, wyposażoną w stół i krzesła, gotową na ich pierwszy posiłek.

Nagle Ruth zaskomlała – Caleb spuścił wzrok i pierwszy raz ją zobaczył. Wyglądał na jeszcze bardziej zdumionego.

Caitlin poczuła obawę, czy aby Caleb nie będzie miał nic przeciwko trzymaniu tu szczenięcia.

Ale z ulgą zauważyła, jak jego oczy otworzyły się szeroko z zachwytu.

- Nie wierzę – powiedział, gapiąc się wciąż. – Te oczy... wygląda dokładnie jak Róża.

- Możemy ją zatrzymać? – Caitlin zapytała z wahaniem.

- Z przyjemnością – odparł Caleb. – Uściskałbym ją, ale mam ręce zajęte zwierzyną.

Ruszył dalej przez pokój i korytarz. Caitlin z Ruth podążyły za nim i zobaczyły, jak złożył sarninę w niewielkim pokoju, na wielkiej kamiennej płycie.

- Ponieważ tak naprawdę nie gotujemy – powiedział – pomyślałem, że odsączę dla nas krew. Będziemy mogli wypić ją razem, na obiad. Pomyślałem, że zajmę się brudną robotą tutaj, abyśmy mogli zasiąść przed kominkiem i napić się kulturalnie.

- Tak będzie cudownie – odparła Caitlin.

Ruth usiadła Calebowi niemal na piętach, spojrzała na niego w górę i zaskowyczała, kiedy on kroił mięso. Roześmiał się, odciął niewielki kawałek, pochylił się i podał jej do pyszczka. Chwyciła skwapliwie kęs i natychmiast zaskomlała o jeszcze.

Caitlin wróciła do jadalni, aby powycierać kielichy, które tam wcześniej zauważyła. Przy kominku spoczywała sterta futer. Zebrała je wszystkie, wyniosła na taras i wytrzepała.

Czekając na Caleba, aż skończy przygotowywać posiłek, spojrzała na zachodzące na horyzoncie słońce. Słyszała szum fal, oddychała słonawym powietrzem i czuła się swobodnie, jak jeszcze nigdy w życiu. Stojąc tak, zamknęła oczy nieświadoma mijającego czasu.

Kiedy je otworzyła, było już niemal ciemno.

- Caitlin? – usłyszała wzywający ją głos.

Odwróciła się i pospiesznie weszła do środka. Caleb czekał już tam na nią, niosąc dwa wielkie kielichy sarniej krwi. Zapalał właśnie świece w całym pogrążonym w cieniu pomieszczeniu. Podeszła i przyłączyła się do niego, odkładając futra na miejsce.

Po kilku chwilach pomieszczenie jaśniało światłem bijącym od płonących wszędzie świec. Spoczęli razem na futrach, przed kominkiem, a Ruth podbiegła i usadowiła się tuż obok. Okna były otwarte i do środka wpadał lekki wietrzyk, schładzając powietrze w pokoju.

Siedzieli razem, patrząc sobie w oczy i wznosząc toast. Płyn sprawiał przyjemne uczucie. Piła i piła, podobnie zresztą jak i on. Nigdy jeszcze nie czuła się tak ożywiona. Czuła niewiarygodny wręcz przypływ energii.

Caleb również wyglądał na ożywionego. Jego oczy i skóra błyszcząły. Odwrócili się ku sobie.

Caleb podniósł rękę i powoli dotknął jej policzka grzbietem dłoni.

Serce Caitlin zaczęło mocno bić. Zdała sobie sprawę, że się denerwuje. Miała wrażenie, że minęła wieczność od chwili, kiedy ostatni raz z nim była. Tyle razy wyobrażała sobie tę chwilę, a kiedy już nadeszła, czuła, jakby miał to być jej pierwszy raz z nim, jakby wszystko zaczynało się od początku. Widziała, że jego dłoń trzęsła się, że on również się denerwował.

Było tyle rzeczy, które chciała mu powiedzieć, tyle pytań, które chciała mu zadać. Widziała też, że i w nim gotowało się od niewypowiedzianych pytań. Jednak w tej chwili nie ufała sobie na tyle, aby przemówić. I najwidoczniej on również.

Pocałowali się namiętnie. Kiedy jego usta spotkały jej, poczuła jak ogarnia ją uczucie, które żywiła do niego.

Zamknęła oczy, kiedy zbliżył się, kiedy spleł się w namiętnym uścisku. Przetoczyli się na futra, a ona poczuła, jak jej serce przepelnia szczęście.

Wreszcie należał do niej.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Polly podążała zamaszystym krokiem korytarzami Wersalu, wybijając obcasami rytm na marmurowej posadzce, pędząc przez nieskończenie długi korytarz ze strzelistymi sklepieniami, figurami, marmurowymi kominkami, ogromnymi lustrami, z nisko wiszącymi żyrandolami. Wszystko wokół niej lśniło.

Ale ona ledwie zwracała na to uwagę; nic innego nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Mieszkając tu już tyle lat, nie potrafiła po prostu wyobrazić sobie innego życia.

Coś jednak zwracało jej uwagę – i to bardzo – a mianowicie Sam. Taki przybysz jak on nie mieścił się w żadnej mierze w ramach codziennej rutyny – i w rzeczy samej, był niezwykły. Rzadko gościli u siebie inne wampiry i to przybywające z innych czasów, a kiedy już do tego dochodziło, Aiden zdawał się w ogóle tym nie przejmować. Zdała sobie sprawę, że Sam musiał być bardzo ważny. Zaintrygował ją. Wydawał się nieco młody i jakby trochę się telepał.

Ale jednocześnie miał coś takiego w sobie, coś, czego nie potrafiła określić. Miała wrażenie, że spotkała go już wcześniej, lub, że był związany z kimś, kto był dla niej ważny.

I to właśnie było takie dziwne. Jeszcze wczorajszej nocy przyśnił jej się sen, jeden z tych najbardziej sugestywnych. O dziewczynie zwanej Caitlin. Widziała jej twarz, jej oczy, włosy, nawet w tej chwili. We śnie dowiedziała się, że ta dziewczyna była jej najlepszą przyjaciółką, taką do końca życia, i przez cały sen miała wrażenie, że połączyła je przyjaźń na wieki. Obudziła się z przekonaniem, że wydarzyło się to naprawdę, że było to raczej spotkanie, nie sen. Nie potrafiła tego zrozumieć, lecz obudziła się, pamiętając każdy szczegół dotyczący tej dziewczyny, każdą chwilę razem z nią spędzoną.

Nie miało to sensu, gdyż wiedziała, że nigdy nie była w tych miejscach. Zastanawiała się, czy w jakiś sposób nie zaglądała do przyszłości? Wiedziała, że wampiry odwiedzały się wzajemnie we snach i że sporadycznie obdarzone były mocami zaglądania w przyszłość i przeszłość. Moce te jednak były nieprzewidywalne. Mógł to być również jedynie świat iluzji. Nigdy nie było wiadomo: czy widziałeś przyszłość, przeszłość, czy może był to tylko sen?

Zbudziwszy się, Polly zaczęła szukać Caitlin, jakby naprawdę ją знаła. Poczula, jak za nią tęskni, kiedy przemierzała sale. Istne szaleństwo. Tęsknić za dziewczyną, której nigdy nawet nie spotkała.

I wtedy pojawił się ten chłopiec. Sam. I z jakiegoś szalonego powodu, Polly poczuła, że jego energia łączyła się z nią. W jaki sposób – tego nie potrafiła powiedzieć. Może i to tylko sobie wyobrażała?

Poza tym wszystkim, uświadomiła sobie, że czuła coś do Sama. Nie powiedziałaaby, że zawrócił jej w głowie. Ale też nie był jej obojętny. Miał coś takiego w sobie. Nie była w nim zakochana. Raczej... zaintrygowana. Chciała wiedzieć o nim więcej.

To sprawiło, że poczuła się jeszcze bardziej poruszona, kiedy Kendra uważnie mu się przyglądała. Niekoniecznie chciała go dla niego samego. Na to, by być tego pewną, było jeszcze o wiele za wcześnie. Ale bardziej dlatego, że wydawał się taki niewinny, naiwny, taki łatwowierny. A Kendra była sępem. Była członkiem królewskiej rodziny, nigdy nie usłyszała głosu sprzeciwu, i w magiczny sposób dostawała wszystko, czego chciała, od kogokolwiek.

Polly zawsze wyczuwała, że Kendra kierowała się złowrogimi zamiarami. Od lat próbowała namówić wszystkie wampiry w jej klanie, by ją przemieniły. Oczywiście, było to zakazane i nikt nie wyświadczył jej tej przysługi. Teraz jednak Polly czuła, że na cel wzięła Sama. Przybyła świeża krew i Kendra była zdecydowana spróbować ponownie.

O tak, to był dla niej wyjątkowy dzień. W jej głowie kotłowały się różne myśli. Idąc dalej, zorientowała się, że była

już spóźniona. Nowy śpiewak, o którym wszyscy tyle rozmawiali, dawał właśnie prywatny koncert dla Marii i jej świty. Ów śpiewak był już tu od tygodni i wszystkie dziewczęta rozprawały nie tyle o jego głosie, co o wyglądzie. Miała wielką ochotę zobaczyć go na własne oczy. Nie mogła się tego doczekać i teraz była podwójnie poirytowana, przychodząc na samą końcówkę koncertu.

Kiedy wpadła do kolejnego korytarza, pomyślała, że cały szkopał leżał w tym miejscu. Było po prostu zbyt duże. Nie sposób było dotrzeć gdziekolwiek na czas.

Przyspieszyła tempa i w końcu dotarła do końca kolejnego korytarza. Dwóch strażników otworzyło dla niej wielkie, dwuskrzydłowe drzwi. Weszła od razu do środka, a kiedy zamknęły się za nią, poczuła zażenowanie.

Cała sala odwróciła się i spojrzała na nią, podczas gdy śpiewak kontynuował swój występ. Uświadomiła sobie, że przerwała koncert. Zaczerwieniła się i osunęła na krzesło w tyle sali, pośród swoich przyjaciół.

Powoli wszyscy odwrócili spojrzenia. Wówczas rozsiadła się wygodnie i zdała sobie sprawę, że koncert dobiegł niemal końca.

Podniosła wzrok i zaczęła przyglądać się artyście, a kiedy ujrzała jego twarz po raz pierwszy, wpadła w osłupienie. Był cudowniejszy, niż w opisach wszystkich tych ludzi. Miał ciemną karnację, ciemne oczy oraz ciemne, falujące włosy. Jego twarz miała idealne wręcz rysy. Był ubrany po królewsku od stóp do głów, mając na sobie czarny, krótki, aksamitny surdut, białe pończochy i lśniąco czarne buty. Stał pośrodku niewielkiej sceny i wyglądał na pewnego siebie, jakby wszystko miał pod kontrolą. Wyglądało na to, że prawdopodobnie był... Rosjaninem.

Mimo tego miał hipnotyzujący głos. Kiedy śpiewał, Polly czuła się, jak sparaliżowana. Była całkowicie na nim skupiona, bezradna, mogła jedynie słuchać go i patrzeć.

Kiedy skończył śpiewać, Polly była wciąż poruszona, gapiała się na niego, wsłuchując w ostatnie dźwięki. Pozostali zaś wstawali z miejsc, klaskali i podchodzili do niego.

Otoczyli go tłumnie, podczas gdy śpiewak stał pośrodku, uśmiechając się i pławiąc w blasku sławy.

Polly powoli przedostała się przez tłum. Zauważyła uwielbienie, z jakim traktowały go pozostałe dziewczęta i podeszła bliżej, by mu się przyjrzeć. Odwrócił się i spojrzał na nią, zatrzymując wzrok na jej oczach. Wydawało się, że patrzył na nią z lekką pogardą, bezczelnym, aroganckim spojrzeniem, jakby sugerując, że powinna go podziwiać.

- Ja... podobał mi się twój koncert – powiedziała, uświadomiwszy sobie, że się denerwuje.

- Oczywiście, że tak – powiedział. – Dlaczego by nie?

Pozostałe dziewczęta zachichotały i Polly pomyślała, że jego odpowiedź była nieco niegrzeczna. Mimo to, nadal nie potrafiła odwrócić wzroku.

- Cóż, jeśli zamierzasz tylko gapić się w ten sposób, mogłabyś również powiedzieć mi swoje imię – odparł.

Polly zająknęła się zbита z tropu. Nikt nigdy nie mówił do niej w ten sposób. Jakaś część swego serca poczuła, że powinna odejść; inna część jednak nie pozwalała jej na to.

- Polly – powiedziała jednym tchem.

- Polly – powtórzył, naśladując ją i śmiejąc się jednocześnie. – Jak ten ptaszek.

Polly poczerwieniała na twarzy, a reszta dziewcząt zachichotała. Polly nie wiedziała, czy była zakochana w nim, czy też go nienawidziła. Jak mógł być taki arogancki?

- Cóż, Polly – powiedział z lekkim akcentem. – Poznaj i ty moje imię.

Powoli wyciągnął dłoń, bladą i miękką, jak u dziewczyny.

- Sergei – oświadczył dumnie, jak gdyby powinna przyjąć to do wiadomości z zachwytem.

Chwyciła jego dłoń, gapiąc się wciąż, nie potrafiąc oderwać wzroku.

- Sergei – powtórzyła bez tchu.

I wbrew sobie, pomimo, że nagle odwrócił się od niej i zaczął rozmawiać z pozostałymi dziewczynami, pomimo wszystkich czerwonych flag, które pojawiły się przed jej oczyma i krzyczały, by odeszła, wiedziała, że była w nim beznadziejnie zakochana.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Caitlin obudziła się łagodnie, powoli otwierając oczy, czując się całkowicie wypoczęta i zrelaksowana. Pierwszy raz od niepamiętnego czasu przespała całą noc, nie śniąc o ojcu – w zasadzie nic jej się nie śniło. Była to też pierwsza noc, z której nie wybudziło jej coś raptownie i mogła pospać do woli.

Obudziła się pośród promieni słonecznych i dźwięków rozbijających się fal, wpadających przez otwarte okna. Czowała świeży zapach oceanu rozciągający się w całej komnacie.

Obejrzała się i zorientowała, że spała z głową wspartą na klatce piersiowej Caleba. Oboje byli rozebrani, leżeli pod narzutami, a ona spała w jego objęciach.

Podniosła wzrok i zauważyła, że oczy Caleba były wciąż zamknięte. Nadal mocno spał.

Pierwszy raz, od kiedy tylko sięgała pamięcią, czuła całkowity spokój. Tu, w tym miejscu, w tej chwili, w objęciach Caleba czuła, że nic złego nie może się już nigdy wydarzyć. Chciała zatrzymać tę chwilę tylko dla siebie. Nareszcie odnosiła wrażenie, że nic groźnego nie czaiło się za horyzontem, nie zbliżało się nic, co mogłoby zmienić jej życie.

Rozejrzała się po pokoju. W oko wpadła jej srebrne puzderko z listem od ojca, wciąż nieprzeczytanym. Kiedy spojrzała na nie, ogarnęła ją obawa: czuła, że gdyby je otworzyła, gdyby przeczytała list, wszystko uległoby zmianie. Odwróciła wzrok, zdecydowana bardziej niż kiedykolwiek, by go nie otwierać.

Wstała z łoża i przeszła przez pokój, czując w bosych stopach przyjemny chłód kamiennej podłogi, chwyciła puzderko i schowała za zasłonę. Nie chciała go widzieć. Nie chciała, by cokolwiek się zmieniło. Była zdeterminowana zachować wszystko tak, jak jest, bez jakiegokolwiek zmiany.

Ubrała się powoli w nowy strój otrzymany od zakonnicy. Wyprała go poprzedniego wieczora w strumieniu i powiesiła na zewnątrz, na krawędzi gargulca. Była zdumiona, jak szybko wysechł, jak świeżo wyglądał, kiedy nałożyła go z powrotem na siebie. Była gotowa stawić czoło nowemu dniu.

Musiała znaleźć sposób, by zmienić swoją garderobę. Teraz, kiedy w końcu osiadła w jakimś miejscu – w zamku z nieskończone wielką przestrzenią na ubrania – była pewna, że coś wymyśli. Gdyby zaszła taka potrzeba, była gotowa zająć się szyciem, robótkami na drutach – czymkolwiek, co byłoby niezbędne. Biorąc pod uwagę te wszystkie owce pasące się wkoło, była pewna, że gdzieś w pobliżu musiał mieszkać gospodarz, który sprzedawał jakąś odzież. Nie byłoby to krzykiem dwudziestopierwszowiecznej mody, ale też nie tego oczekiwała. Chciała wtopić się w tło, stać się częścią tych czasów, tego miejsca i tych ludzi. Ponad wszystko jednak, chciała tutaj zamieszkać, uczynić z tego miejsca swój dom. Jakkolwiek się ubierali, z chęcią była gotowa to założyć.

Otworzyła ogromne, dwuskrzydłowe szklane drzwi i wyszła na patio. Spalone słońcem kamienie sprawiały miłe wrażenie. Podniosła głowę i poczuła, jak ogrzewa ją słońce. Zakonnica ofiarowała jej świeże okłady na skórę i świeże krople do oczu, więc słońce w żadnej mierze jej nie dokuczało. Wprost przeciwnie, sprawiało teraz przyjemność.

Podeszła do krawędzi muru, wsparła się rękoma i objęła horyzont wzrokiem. Oceaniczna bryza pieściła jej skórę, kiedy tak wpatrywała się w bezkresny błękit nieba, daleko poza rozległymi wzgórzami i podziwiała rozbijające się morskie fale. Plaża była pusta. To miejsce wydawało się tak odległe, że zaczęła zastanawiać się, czy w ogóle ktoś je odwiedzał.

- Tu jesteś – dobiegł ją głos.

Odwróciła się i z zachwytem zauważyła Caleba, już ubranego i zmierzającego w jej kierunku.

Podszedł do niej z szerokim uśmiechem na twarzy. Caitlin również się uśmiechnęła. Podeszła do niego i spotkali się w długim pocałunku, po którym zastygli w objęciach.

Czuła się tak dobrze w jego ramionach, zwłaszcza na samym początku dnia.

Powoli odsunęli się od siebie i spojrzeli sobie w oczy.

- Śniłaś mi się – powiedział.

- Mam nadzieję, że dobrze.

Uśmiechnął się jeszcze bardziej.

– Oczywiście.

Była ciekawa, o czym śnił, ale niczym więcej się nie podzielił, a ona nie chciała być wścibska. Taki już był Caleb – potrafił zamilknąć zagadkowo i trudno było odczytać jego myśli. Oczywiście, obydwójce dysponowali mocą odczytywania myśli sobie nawzajem, lecz zauważyła, paradoksalnie, że im bardziej się do siebie zbliżali, tym trudniej było jej usłyszeć, co myśli. Wyglądało to tak, że im bardziej byli w sobie zakochani, tym bardziej te moce były zagłuszone. Jakby niektóre rzeczy z góry miały pozostać w ukryciu.

Rozpaczliwie pragnęła dowiedzieć się wszystkiego, o czym teraz myślał, lecz jego myśli były wciąż niewyraźne.

Chwyciła jego dłoń i razem poszli na balkon rozejrzeć się po okolicy.

- Uwielbiam to miejsce – powiedziała. – Już mam wiele pomysłów, jak moglibyśmy to wszystko zagospodarować.

Wymawiając te słowa, zauważyła, że wyraz jego twarzy zrzedł nieco, niemal niezauważalnie. Zaszła subtelna zmiana, lecz Caitlin była blisko na tyle, by ją zauważyć. Poczowała również, jak uścisk jego dłoni zelżał nieznacznie, odrobinę jedynie. Mogła czytać w jego myślach, ale jako kobieta wyczuła w nim drobny opór.

Dlaczego? przyszło jej do głowy.

- Byłoby wspaniale – odparł.

Jednak coś w tonie jego głosu, jakaś subtelna zmiana, którą zdołała wyłowić, podpowiedziała jej, że był czymś zmartwiony. Że coś go trapiło.

A może to sobie wyobraziła?

Zacząła się zastanawiać. *Co poszło nie tak? Czy zmienił zdanie co do nas?*

Wpatrywała się w jego oczy, które spoglądały na horyzont, próbując rozszyfrować jego myśli.

- Cieszysz się, że tu wróciłeś? – spytała, delikatnie go sondując.

- Tak, bardzo – odparł.

Chciała powiedzieć: *To dlaczego z twoich oczu wyczyta smutek? Czy to przeze mnie? Nie kochasz mnie na tyle, na ile ci się zdawało?*

Lecz obawiała się zadać te pytania. I nie chciała go od siebie odpychać.

Zamiast tego umilkła. Ale czuła, jak jej serce zaczyna powoli pękać.

Wróciła myślami do ich związku, do wszystkich miejsc, w których razem byli. Nowego Jorku. Bostonu. Edgartown. Wenecji. Rzymu. Zawsze przed czymś uciekali; nigdy nie mieli czasu, by pobyć ze sobą w ciszy. By nacieszyć się swoim towarzystwem jako para.

Teraz nadeszła odpowiednia pora. Być może teraz, kiedy nie oddzielały ich od siebie żadne przeszkody, kiedy nic nie stało im na drodze, ich związek nie był dla niego już taki emocjonujący. Może ta bliskość go odstraszała. Bała się, że może jedyną rzeczą, z powodu której ją kochał, były te wszystkie okoliczności, świadomość, że nie mogli być ze sobą.

Może teraz, kiedy już byli razem, nie wiedział co robić.

I czy był mężczyzną, którego stać było na życie w domowych pieleszach, a nie w ciągłym ruchu, gotowego na każdą bitwę? Czy zadowoliliby się siedzeniem w domu i spędzaniem w ten sposób swego żywota?

Zacząła się martwić. Może nie był taki. Wystarczyło spojrzeć tylko, w jaki sposób spędził ostatni tysiąc lat swego

życia. Jakżeby mógł to wszystko teraz porzucić? Tylko dla niej?

Albo, pomyślała, jej własny umysł płatał jej figle? Może wyobrażała sobie to wszystko? Może rozdmuchiwała to ponad wszelką miarę? Może była przewrażliwiona, widziała coś, co tak naprawdę nie istniało? Przecież powiedział, że byłoby wspaniale. Czy naprawdę o to mu chodziło?

Wiedziała, że musi dotrzeć do sedna sprawy. Nie mogła żyć w kłamstwie. Jeśli z jakiegokolwiek powodu nie był już nią zainteresowany, musiała to wiedzieć. Po prostu *musiała*.

Czuła, jak powoli zaczyna się trząść, kiedy zebrała się w sobie, by zadać to pytanie.

- Caleb – zaczęła po cichu. W gardle jej zaschło i głos zaczął się załamywać. – Czy wszystko w porządku?

Spojrzał na nią, jakby nieco zdziwiony.

- Wydajesz się... smutny – powiedziała. – Jakbyś nie był do końca szczęśliwy.

- Ja... zaczął, po czym zamilkł. Powstrzymał się i odetchnął ze smutkiem. – Jestem bardzo szczęśliwy, będąc tu z tobą.

Tyle tylko zdołał powiedzieć. I zabrzmiało to w jej uszach, jakby zmusił się do wypowiedzenia tych słów.

- Wybaczysz mi na chwilę? – spytał uprzejmie.

Caitlin skinęła potakująco głową, zbyt zdenerwowana, by cokolwiek powiedzieć.

I po tych kilku słowach odwrócił się i opuścił patio, znikając z pola widzenia.

Gdzie poszedł? Dlaczego tak nagle ją opuścił?

Nie miała pojęcia, ale potwierdziło to jej podejrzenia. Nie potrafił tak normalnie stać tuż obok niej i cieszyć się widokiem. Coś działo się w jego sercu. Coś na tyle silnego, że odwrócił się i odszedł.

Powoli poczuła, jak jej świat rozpada się na kawałki.

Cóż to mogło być?

Wówczas do niej dotarło. Sera. Ostatni raz, kiedy go spotkała, był jej poślubiony. Może ta sprawa była jeszcze zbyt świeża? Może wciąż żywił do niej jakieś uczucia? Może właśnie teraz myślał o niej? Może ich wspólnie spędzona noc przypomniawszy mu o jego uczuciach do niej?

Uświadomiła sobie, że o to właśnie musiało chodzić. Nie potrafiła wymyśleć żadnej innej przyczyny. Caleb musiał tęsknić za Serą. Żyła wciąż w jego myślach. Być może próbował zebrać się w sobie, by powiedzieć jej, że musi odejść, musi odszukać Serę.

Caitlin nie mogła odczytać jego myśli, ale przecież była kobietą. I jak każda inna kobieta w takiej sytuacji czuła, jak jej serce rozpada się na milion kawałków.

*

Caleb zszedł pospiesznie na dół, pokonując kolejne komnaty swego zamku, poruszony do głębi. Wbrew sobie, nie potrafił zapomnieć o swoim synu Jadzie. Nie mógł pozbyć się z głowy widoku jego martwego ciała na swoich rękach.

Kiedy wszedł do kolejnego pomieszczenia, wybuchnął płaczem. Nie mógł pozwolić, by Caitlin zobaczyła go w takim stanie. Musiał jak najszybciej ją opuścić.

Tak bardzo kochał Jade'a. Chłopiec przypominał go pod tyloma względami, wyrastał na wspaniałego wojownika, ale również wspaniałego młodego mężczyznę. Caleb nigdy nawet w wyobraźni nie pomyślał, że mógłby spędzić życie bez niego.

Teraz poczuł, jak ciężar smutku po utracie syna nagle przytłoczył go jeszcze bardziej. Kiedy Jade odszedł, Caleb nie miał żadnych oporów, by cofnąć się w czasie. Wręcz przeciwnie, cieszył się, że uwolnił się od Sery, z którą tak naprawdę nie łączyło go nic bliskiego. Był też zachwycony, że wrócił do Caitlin. Z wielkim entuzjazmem wykorzystał okazję i ruszył jej na ratunek w Koloseum. Był zachwycony, że mógł być teraz u jej boku. W zasadzie, jedynie to sprawiało, że nadal chciało mu się żyć.

Znalazł się w samym centrum licznych wydarzeń, zaangażował się w poszukiwania jej i sprowadzenia jej do tego miejsca i aż do tej chwili nie miał czasu, by naprawdę odczuć stratę Jade'a. Teraz jednak dopadło go to ni stąd, ni zowąd, kiedy najmniej się tego spodziewał, i całkowicie go przytłoczyło. Z tego powodu opuścił Caitlin w takim pośpiechu. Był to jej pierwszy dzień w tym miejscu, właśnie spędzili ze sobą wyjątkową noc i chciał, by była szczęśliwa. Nie chciał, by dzieliła jego smutek.

Przeszedł do kolejnej komnaty, potem przez ukryte drzwi wiodące do wąskich, krętych schodów. Wszedł po nich, wijących się w górę wzdłuż niewielkiej wieżyczki, na trzecią i najwyższą zamkową kondygnację. Tu, na szczycie, znajdował się salonik na otwartym powietrzu, niczym kamienna altana, z której korzystał, gdy coś go trapiło. Usiadł na kamiennym występie, w wyrobionym już porządnie wyżłobieniu i spojrzał na ocean.

Zaczął zastanawiać się nad swoim życiem. Był szczęśliwy, że trafił tu, w te czasy i to miejsce. Był szczęśliwy ponad wszelkie wyobrażenie, mogąc ponownie dzielić życie z Caitlin. Nękał go smutek z powodu Jade'a, ale im dłużej siedział i wsłuchiwał się w ciszę, tym bardziej czuł, że Jade był nadal przy nim, nawet w tej chwili. Wiedział, że nie mógł przenieść się do przyszłości. Wiedział też, że już nigdy go nie zobaczy. Zdał sobie sprawę, że po prostu musi zaakceptować rzeczywistość, musi pozwolić mu odejść. Odetchnął głęboko, powoli czując się lepiej.

Im więcej się nad tym zastanawiał, tym bardziej chciał mieć kolejne dziecko. Tym razem z Caitlin. Dziecko, którego nigdy nie mieli. Wiedział, że wampiry nie mogły mieć ze sobą dzieci, że było to niemożliwe. Jednak może istniał jakiś sposób.

Od chwili, kiedy ujrzał ją ponownie, próbował znaleźć odpowiedni moment, by powiedzieć jej, jak mu na niej zależało. Że chciał spędzić z nią resztę swego życia.

Już miał poruszyć ten temat w Paryżu, nad rzeką, ale w ostatniej chwili puściły mu nerwy i nie był w stanie zebrać się na odwagę, by jej o tym powiedzieć.

Teraz jednak, kiedy był tu, w tym miejscu, pora wydała mu się odpowiednia.

Przeszukał ściany kamiennej altanki, szukając skrytki, o której istnieniu właśnie sobie przypomniał. Przesunął palcami po kamieniu i w końcu ją znalazł. Popchnął dźwignię i w kamieniu pojawiła się niewielka szpara. Pociągnął koniuszkami palców za występ i obluzował kamień.

Sięgnął dłonią do środka i znalazł to, czego szukał. Umieścił to w tej skrytce setki lat temu. Małe, srebrne, inkrustowane klejnotami puzderko. Wewnątrz spoczywała ślubna obrączka jego matki.

Ofiarowała mu ją kiedyś ze słowami, by wręczył ją kobiecie, którą kochał prawdziwie, takiej, z którą chciał być już na zawsze. A będąc przedstawicielem swojej rasy wiedział, że słowo wieczność przybierało całkiem nowe znaczenie.

Nigdy nie ofiarował jej Serze, pomimo tego, że wzięli ślub. Coś w nim samym powstrzymało go przed tym. Nawet wtedy wiedział, że ich związek nie miał przetrwać próby czasu.

W przypadku Caitlin było całkiem inaczej. Chciał, by miała tę obrączkę. Był pewien, że chciał spędzić z nią resztę życia. I teraz, w końcu czuł, że jest gotowy.

Nadeszła chwila, by się jej oświadczył.

Powoli otworzył puzderko, mając nadzieje, że obrączka nadal tam była.

I była. Była tak wspaniała, jaką ją zapamiętał: ogromny, sześciokaratowy szafir, idealnie cięty, osadzony na obrączce ozdobionej błyszczącymi rubinami i diamentami.

Poczuł, jak obezwładniają go emocje, kiedy pomyślał o matce, Jadzie i teraz o Caitlin.

O rodzinie, którą pewnego dnia mogli stworzyć.

Teraz miał już tylko nadzieję, że Caitlin odpowie Tak.

*

Caitlin przemierzała ponownie cały dom, szukając Caleba. Była skonsternowana nie wiedząc, gdzie mógł się podziać.

Właśnie wtedy usłyszała skrzypienie drzwi i zauważyła go schodzącego po spiralnych schodach. Nie wiedziała nawet, że one istniały. Uświadomiła sobie, że schodził z dachu i zaczęła się zastanawiać po cóż takiego tam wszedł.

I wówczas to do niej dotarło. Nie było powodu by to robił, chyba że chciał oddalić się od niej. Pobyć w samotności. Zdała sobie sprawę, że jej obecność mu przeszkadzała. Chciał się od niej zdystansować, być może nawet przygotować się, by powiedzieć jej coś, czego usłyszeć nie chciała. Że zmienił zdanie co do ich wspólnego życia. Jakby miał prosić ją, by odeszła.

Miała złe przeczucie, kiedy Caleb podszedł do niej i zauważyła na jego twarzy wyraz zatroskania. Czowała, że przygotowywał się, by z nią zerwać. Że zamierzał jej powiedzieć, iż zaprosił tu ją zbyt pochopnie, że tak naprawdę nie przemyślał tego. Że to wszystko stało się za szybko. Że nie nadawał się do życia w domowych pieleszach. Że chciał, by odeszła.

Kiedy podszedł bliżej, dostrzegła jego zaczerwienione oczy i serce zabiło jej mocniej. Czyżby płakał? Zatem nie miała już wątpliwości. Zbierał się w sobie, by powiedzieć jej coś, czego nie chciała usłyszeć.

Czuła jak z nerwów zaczęła się trząść.

- Caitlin – powiedział cicho ze spuszczoneym wzrokiem.

Nie potrafił nawet spojrzeć jej w oczy. To mogło oznaczać tylko jedno.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak zasmucona. Gdzie miałyby teraz pójść?

- Caitlin— zaczął znowu.

Ale podniosła dłoń i powstrzymała go. Cokolwiek zamierzał powiedzieć, nie chciała usłyszeć tych słów. Nie chciała, by jego odmowa już na wieki odbijała się echem w jej umyśle.

- Wiem, co zamierzasz powiedzieć – powiedziała trzęsącym się głosem.

Otworzył oczy szeroko ze zdumienia.

- Wiesz? – spytał.

Caitlin skinęła głową.

- I nie chcę tego słyszeć.

Caleb spojrział na nią z rozczarowaniem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego. Oszczędzała mu kłopotu, nie musiał z nią zrywać.

- Przykro mi, że to wszystko potoczyło się tak szybko – powiedziała. – Może, gdyby wydarzenia przybrały wolniejszy obrót, wszystko ułożyłoby się lepiej.

Caleb wyglądał na zdziwionego.

- Nie martw się – powiedziała. – Odchodzę w tej chwili.

To powiedziawszy, wymaszerowała z komnaty.

- Caitlin! – zawołał za nią.

Ale nie chciała go słuchać. Nie chciała usłyszeć, że ją kochał, ale że Serę kochał jeszcze bardziej. Nie mogłaby znieść tych słów.

Rozpłakała się, przechodząc przez główną salę, potem przez frontowe drzwi jego domu, który tak szybko zdołała pokochać.

Spuściła wzrok i zauważyła przy swej nodze skomlącą Ruth. Podniosła ją i przytuliła mocno, pocałowała, a po jej policzkach cały czas ciekły łzy.

Caleb wybiegł za nią.

- Caitlin, poczekaj, błagam!

Ale nie mogła. Wzięła rozbieg i wzniosła się w powietrze, z Ruth w ramionach i kilka chwil później leciała, byle jak najdalej od tego miejsca.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Kyle kroczył dumnie środkiem brukowanego bulwaru, późną, nocną porą, pokonując centrum Paryża. Był stosunkowo zadowolony, opuściwszy właśnie dzielnicę domów publicznych, w której nasycił się krwią kilku kolejnych prostytutek. Nadal czuł ją wirującą w żyłach. Powoli zaczynał wracać do siebie. Nienawidził podróży w czasie. Naprawdę. I nienawidził Caitlin za to, że go do nich zmuszała. Pomyślał o całej zabawie, jaka go omijała w Nowym Jorku, o szalejącej wojnie – jego własnej wojnie – i aż zagotowało się w nim ze złości. Zaczął fantazjować, w jaki sposób zemści się na niej. Stopniowo jego humor się poprawił.

Przemierzał aleje, czujnym okiem wypatrując kolejnych ofiar, jednak ulice świeciły pustkami. Zaczęło już niemal świtać i wydawało się, że większość ludzi poszła spać. Nasycił się już wystarczająco. Jeśli przyszłoby mu zabić jakieś inne ofiary, to zrobiłby to wyłącznie dla przyjemności.

Cofnął się myślami o setki lat, kiedy wraz z druhami polował na ludzi dla rozrywki. Cóż to były za wspaniałe dni. Przypomniał sobie czasy, kiedy zaścielali ulice trupami, nie zwracając sobie głowy karmieniem. Tak dobrze się bawili, patrząc jak umierają. Była to jedna z jego ulubionych rozrywek.

Obecnie wampiry stały się mocno konserwatywne. Zabijały tylko po to, by jeść. I jadły tylko tyle, ile potrzebowały. Wszystko się zmieni, kiedy już zabije Caitlin i znajdzie sposób, by wrócić do przyszłości. Ponownie uczyni zabijanie ludzi ulubionym zajęciem wampirów.

Skreślił w kolejną ulicę i znalazł to, czego szukał, masywny, okrągły budynek z ogromnymi, kamiennymi kolumnami i marmurowymi schodami. Miał wspaniałą kopułę i wyglądał na wielowiekową budowlę. W zasadzie nie różnił się wyglądem tak bardzo od rzymskiego Panteonu. Co było równie trafną nazwą, gdyż i to był Panteon. Tyle że paryski.

Dobrze pamiętał tę budowlę. Była ważnym miejscem dla jego klanu, miejscem, w którym byli od zawsze. I różniła się znacznie od Panteonu w Rzymie: tutejsze wampiry były znacznie bardziej zdeorganizowane, pogrążone w chaosie, bardziej demokratyczne. W Nowym Jorku, czy Rzymie, gdyby któryś wampir wyłamał się z szeregu, lider klanu wkroczyłby natychmiast i rozkazał go zabić na miejscu. Tutaj zaś, na czele klanów stały komitety wykonawcze. Z jednej strony Kyle szanował to, gdyż nienawidził zwierzchnictwa. Z drugiej zaś czerpał też przyjemność z karania tych, którzy wyszli przed szereg, zlecenia ich śmierci w swojej obecności.

Kyle pomyślał o dawnym przyjacielu Napoleonie. Zgadywał, że już dawno przejął kontrolę nad tutejszym klanem. Wszyscy prawdopodobnie znajdowali się teraz w środku, tocząc zażarte dyskusje na jakiś temat. Byli jednym kłótliwym towarzystwem.

Kyle skoczył po marmurowych stopniach, pokonując trzy na raz, nie mogąc się doczekać, by ich zobaczyć, by pokazać, kto tu rządzi. Napoleon dysponował mocą, ale nawet w połowie nie tak potężną jak Kyle. Wszak Kyle przeżył już tysiące lat, podczas gdy Napoleon wciąż był jeszcze dzieckiem.

Otworzył kopniakiem masywne drzwi i wmaszerował dumnie do środka.

Zgodnie z podejrzeniami jego rodzaj wypełniał ogromną, marmurową salę po brzegi. Panował chaos. Ogromna, marmurowa sala miała kształt okręgu, a na jej końcach stały wielkie kolumny. Podłoga również była marmurowa, a strop piał się strzeliście ku górze, zwieńczony oculusem. Było tu równie wytwornie co w Panteonie w Rzymie.

Z wyjątkiem tego, że tutaj wampiry przekrzykiwały się wzajemnie, popychały i potraçały. Tak jak podejrzewał, zastał je w środku zajadłej dyskusji.

A po środku tłumu, na podniesieniu stał Napoleon, wrzeszcząc, by go słuchali.

Kyle przepchnął się przez tłum, rozpychając wszystkich łokciami na boki, przedzierając się wprost ku środkowi

pomieszczenia.

W miarę, jak szedł coraz dalej, zgromadzeni zaczęli zauważać jego obecność. Był taki wysoki, że górował nad wszystkimi, o stopę ponad tłumem, a jego przerażająca twarz zamykała wszystkim usta. Powoli zebrani zaczęli odwracać się w jego stronę.

Kyle nie zamierzał czekać, aż przyjdzie jego kolej. Miał pilną sprawę. Plan, którego musiał się trzymać. A Napoleon wraz z jego ludźmi mogli mu się przysłużyć.

Zrobił dwa wielkie kroki i skoczył na podwyższenie. W tej samej chwili uniósł ręce, chwycił Napoleona i podniósł go na tyle, by zrównał się z nim wzrokiem.

Tłum wydał z siebie okrzyk zdumienia i zamilkł zszokowany.

Kyle zwrócił się do Napoleona oszepeconą twarzą, spojrzał na niego jednym zdrowym okiem i dostrzegł w nim przeblysłk rozpoznania i strachu.

- Kyle – wyszeptał przestraszony.

Kyle wykrzywił się w uśmiechu. Ucieszył go widok starego druha. Nie potrafił nie podziwiać jego zuchwałości.

- Łajdaku jeden – odparł Kyle.

Po czym cisnął nim jednym szybkim ruchem w zgromadzony tłum.

Na sali rozległ się stłumiony okrzyk, a kilku strażników rzuciło się, by ochronić Napoleona przed upadkiem. Złapali go i spojrzeli na Kyle'a w szoku, zastanawiając się, kto u licha miał na tyle czelności, by zrobić coś takiego ich przywódcy.

Kyle uśmiechnął się.

- Powróciłem – powiedział.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Caleb stał u wejścia do swego zamku, obserwując, jak Caitlin odlatuje w dal. Był absolutnie zaskoczony. Nie mógł zrozumieć, dlaczego tak nagle go opuściła, ani też, co złego uczynił. Sądził, że poprzednia noc była taka udana, a ona wydawała się szczęśliwa, będąc tutaj. Skąd u niej ta nagła zmiana? Zaczął głowić się, próbując pojąć powód jej zachowania.

Może wini mnie – pomyślał – za to, że musiała cofnąć się dla mnie w czasie. Za to, że straciła dziecko, to z dwudziestego pierwszego wieku. Gdyby nie ja, nie musiałaby wracać do przeszłości, byłaby cała i zdrowa w dwudziestym pierwszym wieku, w otoczeniu wszystkich, których znała, w dobrze znanych sobie miejscach, razem z tamtym dzieckiem.

A może nadal winiła go za to, że ją przemienił. Prosiła go o to, błagała, by ją przemienił, a on nalegał, by tego nie robić. Ale uległ jej. Czy miała mu to teraz za złe? Za życie skazane na nieśmiertelność?

A może po prostu już mnie nie kocha? A przynajmniej nie tak, jak poprzednio? Może podobałem się jej, lecz rzeczywistość, świadomość pozostania tutaj ze mną, ustawkowania się przy moim boku – może to wszystko ją odstraszyło?

Bez względu na powód, Caleb musiał się tego dowiedzieć. Nie mógł tak tego zostawić, przynajmniej dopóki nie otrzymał odpowiedzi.

Pozostawił za sobą dom zdecydowany znaleźć Caitlin, odkryć powody jej odejścia i zrobić wszystko, co w jego mocy, by naprawić wyrządzone zło. Pod niektórymi względami wyglądało to tak, jakby sposobił się do bitwy. W zasadzie nawet wolałby iść teraz na bitwę. Zdał sobie sprawę, że to, co go czekało było trudniejsze. Że miłość, troska o

czyjeś dobro, potrafiły czasami przybrać formę najtrudniejszej z walk.

*

Caitlin szła boso po piasku, wzdłuż rozbijających się obok fal, z Ruth u boku. Zachmurzyło się, a silny wiatr zwał jej włosy do tyłu. Nigdy jeszcze nie czuła takiego smutku. Właśnie w chwili, kiedy sądziła, że nareszcie odnalazła spokój, prawdziwą miłość, odkryła, że nie kochał jej tak naprawdę, nie darzył uczuciem, o które go podejrzewała. Jaka była głupia. Przez cały ten czas żyła w ułudzie.

Tylko co teraz? Bez Caleba w jej życiu poczuła się tak, jakby nie miała przed sobą żadnego celu. Nie miała pojęcia, w którą stronę się zwrócić, ani dokąd pójść. Mogła z powrotem zająć się poszukiwaniami ojca, ale nie widziała w tym sensu. Nawet gdyby go odnalazła, gdyby znalazła Tarczę, wciąż brakowałoby jej Caleba.

Mogła wyruszyć na poszukiwania Sama. Jednakże, bez Caleba, nic tak naprawdę nie miało dla niej większego znaczenia.

Spojrzała na fale i pomyślała, dlaczego życie musiało być aż tak okrutne. Czuła się całkowicie i bezapelacyjnie beznadziejnie.

Nagle usłyszała jakiś dźwięk i odwróciła się.

Zaskoczona, zauważyła idącego w jej kierunku Caleba.

Szedł boso po piasku, a w rękę trzymał linę, na której prowadził dwa piękne, białe wierzchowce.

Na jego twarzy gościł niewielki, pełen nadziei uśmiech.

Serce zabiło jej mocno w piersi; co też takiego się stało. Czyżby zmienił zdanie?

Po chwili stanął kilka stóp od niej. Ruth podbiegła do nich, podniosła wzrok i zaskomlała. W odpowiedzi, konie uniosły łby, a następnie opuściły je powoli.

Caitlin nie potrafiła powstrzymać śmiechu.

- Nie jestem pewien, co tam zaszło, ani nie wiem, co takiego powiedziałem, że cię uraziłem – powiedział – ale cokolwiek to jest, przepraszam.

- Nie chodzi o to, co powiedziałaś, ale o to, czego *nie* powiedziałaś.

Caleb spojrział na nią z konsternacją.

- Chyba... – dodała – ... zdałam sobie sprawę, że twoje serce było gdzie indziej.

Wyglądał na jeszcze bardziej zdziwionego.

- Co masz na myśli?

Caitlin przyjrzała się mu uważnie, zastanawiając się, czy był z nią szczery. I zrozumiała, że mówił prawdę.

Teraz, to ona miała mętlik w głowie.

- Ja... wiem, że nadal chcesz z nią być – powiedziała, nie będąc już tak pewna siebie. – Że żałujesz, że ją opuściłeś. Serę.

Caleb wybuchnął śmiechem.

- Czy naprawdę tak pomyślałaś? – spytał. – Ja natomiast sądziłem, że wściekłaś się na mnie za to, że cię przemieniłem.

Tym razem to Caitlin poczuła konsternację.

- Twierdzisz, że nie jesteś już nią zainteresowany?

Caleb roześmiał się ponownie.

- Ani trochę – powiedział. – Nigdy nie czułem się tak wolny, jak teraz, kiedy jest tak daleko. W gruncie rzeczy nawet nie przyszła mi na myśl.

- Więc o co chodziło? – spytała. – Zauważyłam, jak zmienił ci się wyraz twarzy. Posmutniałeś tak nagle. Wiem, że mi się to nie przywidziało. Pomyślałam, że nie chciałeś już więcej ze mną być.

Caleb spuścił wzrok na chwilę i spochmurniał na twarzy.

- Myślałem o Jadzie – powiedział ponuro. – Nadal bardzo za nim tęsknię.

Caitlin poczuła niewysłowioną ulgę, poczuła, jak jej ciało się rozluźniło, jak jej serce powoli wróciło do życia. Była taka głupia. Dlaczego tak szybko go osądziła? Dlaczego nie mogła uwierzyć mu na słowo?

Była na siebie wściekła. Myślała, że już dorosła po tak długim czasie, po tylu nieporozumieniach. Nadal była jednak tą samą Caitlin, nieustraszoną w obliczu bitwy, ale owładniętą strachem, kiedy w grę wchodziła miłość i kiedy miała oznajmić, co jej w duszy grało.

- Czy to o to w tym wszystkich chodziło? – spytał Caleb? – Sądziłem, że byłaś na mnie zła z powodu naszego dziecka.

Caitlin spojrzała na niego z konsternacją.

- Myślałem, że żałowałaś, iż pozostawiłaś je w dwudziestym pierwszym wieku – kontynuował dalej – i że żałowałaś, bo musiałaś porzucić to wszystko by powrócić w czasie do mnie.

Nagle zrozumiała. Zupełnie źle pojął jej zachowanie. Tak samo, jak i ona jego.

Potrząsnęła głową.

- Rzeczywiście tęsknię za tym dzieckiem, kimkolwiek się stanie – powiedziała. – Ale nie żałuję, że po ciebie wróciłam, ani przez chwilę.

Podeszli do siebie i pocałowali się. Zastygli w długim, podnoszącym na duchu pocałunku, a kiedy skończyli, oboje się uśmiechnęli.

Ruth podbiegła do nich i zaskomlała. Oboje spuścili na nią wzrok i roześmieli się. Nareszcie zeszło z nich napięcie i atmosfera się oczyściła.

- Cóż – uśmiechnął się. – Przypomniałem sobie Edgartown i pomyślałem, że przyprowadzę te konie, w razie gdybyś zechciała pojeździć na nich ze mną.

- Zechciała? – spytała Caitlin. – Niczego innego bardziej nie pragnę.

- Chciałbym zabrać cię w pewne miejsce – powiedział Caleb. – Moglibyśmy tam polecieć, ale myślę, że będzie

romantyczniej pojechać tam konno i pójść piechotą.

Caitlin uśmiechnęła się szeroko. Już nie mogła się doczekać.

Dosiedli koni w tym samym momencie. Wsiadając na swego wierzchowca, Caitlin chwyciła Ruth i ruszyli kłusem wzdłuż plaży.

Wokół nich rozbijały się fale i Caitlin nie mogła się oprzeć wspomnieniom z Edgartown. Z innego czasu, innego kontynentu, innego stulecia i innego życia. Mimo to, nadal wydawało się, że to wszystko było ze sobą powiązane, jakby to było tutaj, jakby to wszystko wydarzyło się dopiero wczoraj.

Jechali plażą przez dłuższą chwilę, raz w falach, raz po suchym piasku. Nie było ani jednej osoby w zasięgu wzroku.

W końcu zrobiło się późno. Słońce wyjrzało wreszcie zza chmur i skąpało ich w świetle cudownego zachodu.

Caleb objechał zakręt, po czym skręcił, prowadząc ich do podstawy wzgórza. Zatrzymał się i Caitlin podjechała do niego.

Zsiedli z koni, które natychmiast puściły się galopem.

Caitlin obserwowała je z z troskaniem.

- Nie martw się – powiedział Caleb. – Są dzikie. Zawsze jednak wracają, kiedy je zawołam. Od tego miejsca zaś nie będą nam już potrzebne.

Chwycił jej dłoń i poprowadził z plaży na wąski szlak pnący się po wzgórzu. Wędrowali wśród cudownych wydmowych traw rozświetlonych promieniami słońca, z Ruth depczącą im po piętach. Caitlin zaczęła się zastanawiać, dokąd ją prowadzi.

Idąc w ciszy, myślała o wielu sprawach, o które chciała go zapytać. W tej chwili jednak wystarczyło jej jego towarzystwo. Tak przyjemnie było u jego boku czuć, jak życie z powrotem nabiera sensu.

W końcu dotarli na szczyt i Caitlin oniemiała z wrażenia.

Z miejsca, w którym się zatrzymali, wysoko na szczycie wzgórza, trawiastego płaskowyzu, roztaczał się widok na setki mil. Caitlin ujrzała ocean ciągnący się aż po horyzont, a po drugiej stronie bezkresne wzgórza i kwieciami pokryte pola.

Caleb usiadł na trawie, a Caitlin obok niego. Ruth podbiegła i również spoczęła przy nich.

Położyli się na ziemi i wpatrzyli w niebo. Caitlin wsparła głowę na jego ramieniu. Nastąpiła ta magiczna chwila, kiedy dzień zaczął ustępować nocy, a niebo było tak błękitne, jak jeszcze nigdy w całym jej życiu.

Straciła poczucie czasu, leżąc tak w ciszy i chłonąc każdą cząstkę wszechświata.

Caleb podniósł się w końcu powoli i Caitlin zrobiła to samo.

Spojrzał na nią z powagą i stanowczością, które ją przeraziły, jakby zamierzał powiedzieć za chwilę coś bardzo ważnego.

Odchrząknął, a jej przez moment wydało się, że Caleb był nieco podenerwowany.

- Caitlin – zaczął. I zamilkł. – Chcę tylko ci powiedzieć, jak dużo dla mnie znaczysz. Nigdy tak naprawdę nie miałem okazji, będąc sam na sam z tobą, by przyjrzeć się temu co nas spotkało i wysnuć jakieś wnioski. Chcę tylko byś wiedziała, że pomimo wszystko, nawet gdybyśmy nie spotkali się w ten sam sposób, ja i tak zakochałbym się w tobie tak bardzo.

Caitlin poczuła, jak wezbrało w niej uczucie. Jak miło było usłyszeć te słowa, wiedzieć, że kochał ją tak samo, jak ona jego. Teraz, z nim u swego boku, czując to samo, miała wrażenie, że mogliby dokonać wszystkiego. Nic w całym świecie nie byłoby w stanie ich powstrzymać.

Caleb odchrząknął ponownie, a Caitlin pomyślała, że wyglądał na coraz bardziej zdenerwowanego. Nie mogła zrozumieć, dlaczego.

- Caitlin – powiedział, ponownie odchrząkując. – Jest coś, o co chciałbym ciebie poprosić.

Caitlin zastanowiło, dlaczego po prostu nie powiedział, o co mu chodziło. Znali się już przecież wystarczająco długo. Dlaczego robił takie ceregiele? Dlaczego aż tak się denerwował?

Otworzył usta, by ponownie przemówić i w tej samej chwili sięgnął ręką po coś w kieszeni.

Nagle, dokładnie w tym momencie, niebo rozdarł niesamowity pisk i oboje podnieśli wzrok.

Wprost nad ich głowami pojawił się ogromny sokół, który zatoczył krąg i runął dokładnie w ich kierunku.

Sfrunął tak szybko, nurkując najwyraźniej w stronę ich głów, że oboje musieli schylić się w ostatniej sekundzie, by uniknąć jego szponów. Ptak wylądował kilka stóp dalej na trawie.

Odwrócił się i spojrzał na nich wyzywająco.

Po czym, po chwili, nagle poderwał się w powietrze, młóćąc ogromnymi skrzydłami tak blisko ich twarzy, że ponownie musieli się schylić.

Oboje wstrząśnięci, spojrzeli na siebie, a ptak uleciał w stronę horyzontu.

Odwrócili się i spojrzeli na trawę, w której przysiadł ptak. Zauważyli, że coś tam zostawił.

Jakiś zwój. Zapewne wiadomość, pomyślała Caitlin.

I kiedy przyjrzała się temu bliżej, jej serce nagle stanęło.

Na zewnętrznej stronie, napisana delikatnym, kobiecym pismem widniała inskrypcja: Dla Caleba. Mojej miłości.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Idąc wraz z Kendrą i mijając kolejne marmurowe, złocone sale Wersalu, Sam z wielkim trudem próbował się skupić. Po tym, jak się spotkali, a Polly ich opuściła, zostali sam na sam ze sobą. Kendra nic już nie powiedziała, ale obserwowała go w taki sposób, że Sam pomyślał, iż zachęcała go, by z nią został.

Kiedy zatem odwróciła się bez słowa i zaczęła powoli odchodzić, odniósł wrażenie, że powinien jej towarzyszyć. Ruszył pospiesznym krokiem, by ją dogonić i szedł przy niej od tamtej chwili. Nie wyglądała na zdziwioną, iż tak postąpił, ani też nie poprosiła, by dał jej spokój. Jednocześnie, nie zachęcała go też do tego, by został.

Była zagadkowa, ciężko było ją rozgryźć. Sam dziwił się, jak ta kobieta – jeśli w ogóle mógł nazwać ją w ten sposób, miała przecież siedemnaście lat – mogła mieć na niego taki wpływ. Po tym, jak zahipnotyzowała go swoimi oczyma w kolorze jasnego, tajemniczego błękitu, zadurzył się w niej i nie był w stanie myśleć o niczym innym. Jakby posiadała obezwładniającą moc.

Mimo to, wyczuwał, że nie należała do jego rodzaju. Była zwykłym człowiekiem. Jak mogła posiadać taką moc?

Wyczuwał w niej również roszczeniowe podejście do życia. Było jasne, że należała do królewskiej rodziny. Można to było rozpoznać po sposobie, w jaki się poruszała, jak zadzierała nosa, jak się zachowywała. Była najwyraźniej tego rodzaju osobą, która od narodzin była przyzwyczajana do wydawania ludziom rozkazów. On również czuł, że w jej obecności był w stanie wyłącznie wykonywać polecenia.

Ale nie miał nic przeciwko temu. Jego serce zabiło mocniej, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy i już nie miał ochoty znaleźć się gdziekolwiek indziej. Było dosłownie tak, jakby uderzył go piorun. Nie mógł zrozumieć, w jaki sposób udało

jej się zwrócić na siebie jego uwagę tak szybko. Nawet jej nie znał. I aż do tej chwili nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia.

Wrócił myślami do chwili, kiedy pierwszy raz spotkał Samanthę, do tego, co wówczas poczuł. Ona również mu się spodobała. Lecz jego uczucia były wtedy inne. W przypadku Kendry było to coś głębszego, silniejszego.

A i chwila była dziwaczna, gdyż zanim jeszcze spotkał Kendrę, zaczął smalić cholewki do Polly, bo uderzyła go jej uroda. Jednak nie była aż tak zachwycająco piękna jak Kendra, nie miała również na niego tak hipnotyzującego wpływu. I kiedy Kendra się pojawiła, nie potrafił skupić myśli na czymkolwiek innym.

Kiedy tak szli, wybijając obcasami rytm niesiony echem w przepaścistych, marmurowych korytarzach, mijając okna pnące się od ziemi aż po sufit, z których roztaczał się widok na przepyszne ogrody Wersalu, Sam wreszcie zaczął dochodzić do siebie. Zaczął się zastanawiać, dokąd szli. Będąc w pobliżu Kendry, z trudem przypominał sobie, dlaczego był akurat tutaj, czy chociażby, jaką miał misję do spełnienia i dlaczego w ogóle cofnął się w czasie.

W pewnej chwili dotarła do niego woń jej perfum i jeszcze bardziej zakręciło mu się w głowie. Zmusił się, by jasno myśleć. By sobie przypomnieć.

Caitlin. Chciał ją odszukać. Pomóc jej.

Aiden. Polly przyprowadziła go tu, by spotkał się z Aidenem.

Kiedy jednak minęli kolejny zakręt i ruszyli kolejnym korytarzem, wszystkie jego myśli odpłynęły jakby na krańce jego umysłu. W jakiś sposób nic z tego nie było już takie pilne. Co dziwne, odniósł wrażenie, że na wszystko miał jeszcze czas. I że jego obecność u boku Kendry była najważniejsza na świecie.

W miarę jak panująca między nimi cisza przeciągała się, Sam zaczął się zastanawiać, czy nie powinien czegoś powiedzieć. Odchrząknął więc.

- Gdzie idziemy? – zapytał.

Przeszli kilka kolejnych kroków w ciszy i Sam pomyślał, że Kendra może w ogóle nie zada sobie trudu i mu nie odpowie.

- *Ja* idę na królewski dwór – powiedziała powoli i wyniośle.

Sam poczuł zażenowanie. Czyżby się narzucił? Czy źle zinterpretował jej sygnały? Czy powinien dać jej spokój i pójść sobie?

- Chcesz, żebym poszedł z tobą? – spytał.

Obserwował wyraz jej twarzy i zauważył w kącikach ust niewielki cień uśmiechu.

– Jak wolisz – powiedziała.

Nie wiedział, co to miało oznaczać, ale zdecydował, że uzna to za Tak. Nie był gotów opuścić jej tak nagle, a przynajmniej dopóki wyraźnie nie kazała mu odejść.

- Cóż, więc, kim jesteś? – zapytał.

Szli w ciszy, a ona nie kwapiła się mu odpowiedzieć. W końcu Sam uznał, że powinien ująć to inaczej.

- Znaczący, więc, mieszkasz tu? Skąd znasz Polly? Nigdy tu nie byłem – powiedział. Wiedział, że kiepsko to zabrzmiało, ale nie miał pojęcia, co innego mógłby powiedzieć.

- Oczywiście – powiedziała, kiedy nagle zatrzymała się przed drzwiami.

Spojrzała na Sama wyczekująco, ze zniecierpliwieniem.

Nie miał pojęcia, na co czekała.

Wtem uświadomił to sobie. Drzwi. Oczekiwała, że je dla niej otworzy.

Podbiegł niezdarnie do przodu i otworzył je jednym szarpnięciem.

Odwróciła się i przeszła bez chociażby słowa dziękuję.

Sam wpadł przez drzwi i pospieszył za nią, chcąc iść tuż obok.

Byli na zewnątrz, idąc wśród idealnie utrzymanych ogrodów. Dzień był piękny, choć bardzo słoneczny i gorący.

Sam poczuł coś w dłoni i spojrzął w dół. Zauważył, że wręczyła mu podłużną, wąską, czarną parasolkę.

Nie mógł pojąć, dlaczego podała mu parasol, skoro nie padało, ale po chwili uświadomił to sobie. Oczekiwała, że otworzy go dla niej. Dla ochrony przed słońcem.

Załoczył, że oczekiwała, iż potrzyma go nad jej głową i tak zrobił. Ona zaś szła dalej, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Sam zaczynał czuć się jak jej służący.

- Odpowiadając na twoje pytanie – powiedziała powoli pełnym godności tonem – tak, pochodzę z królewskiego rodu. Jestem kuzynką Marii. Młodsza od niej oczywiście, mimo to właściwie razem się wychowałyśmy. W istocie, jeśli nic nie ulegnie zmianie, mam równe prawo do korony co ona. Lecz, z oczywistych względów, to jej przypada cała chwała.

Sam spojrzął na nią w innym świetle. Niczym na potencjalną królową. To wszystko wyjaśniało. Z pewnością poruszała się jak królowa.

Jednakże, nawet gdyby się tego nie dowiedział, nawet gdyby ona nie była arystokratką, nadal w jego oczach zdawała się na równi atrakcyjna, co przedtem.

- Tutejsze życie potrafi być arcynudne – powiedziała i westchnęła. – Owszem, są bale i zabawy, bywają tu goście i dostojnicy. Ale również pełno tu formalności, protokołów, otepiałających przyjęć i ceremoniałów. Wolalabym bardzo być teraz gdzie indziej. Jeździć konno, tak jak robią to mężczyźni. W dzieciństwie podobało mi się łucznictwo, lecz teraz zostało mi to zabronione. Żyjąc tutaj, kobieta napotyka wiele ograniczeń. Naszą najlepszą szansą jest znalezienie sobie mężczyzny. Oto, do czego sprowadzają się nasze ambicje. Taki banał, jeśli by ktoś pytał mnie o zdanie. W istocie, sądzę, że powinno być na odwrót. Myślę, że wszelkie ambicje powinny znaleźć odzwierciedlenie w poszukiwaniu kobiety przez mężczyznę. I że to *ona* powinna mieć wolną rękę we wszystkim, co robi, według własnego zamysłu.

Sam nie mógł się nadziwić tej osobliwej mieszance – pozostawania w całkowitej ciszy, po której otworzyła się w długim i szczegółowym monologu. Zastanawiał się, czy otworzyła się przed nim dlatego, że czuła, iż coś ich łączyło, czy też może postępowała tak wobec wszystkich.

- Cóż, przynajmniej nie jesteś zarozumiała – powiedział z uśmiechem.

Odwróciła się i objęła go zimnym spojrzeniem. Sam zorientował się, że się zagalopował. Najwyraźniej sarkazm nie leżał w jej naturze.

- Tylko żartowałem – powiedział, próbując rozładować napięcie.

- Oczywiście – powiedziała oziębło.

Spacerowali wzdłuż długich rzędów idealnie przyciętego żywopłotu. Wokół nich uwijali się ogrodnicy, przycinając i strzygąc, doglądając niekończących się rzędów róż.

- Jedynym urozmaiceniem i ożywieniem w naszym świecie jest twój rodzaj – powiedziała, kiedy skręcili w kolejną ścieżkę i minęli ogromną, tryskającą fontannę.

A jednak, zorientował się Sam. Przynajmniej wiedziała, że był wampirem. Co za ulga. To oznaczało, że nie musiał się jej zbyt tłumaczyć.

- Wnosicie cząstkę nieprzewidywalności do tego, co stałe – dodała. – Cząstkę wolności. Uwielbiam obserwować, jak ćwiczycie. Podobają mi się wasze bitwy. Techniki, jakich używacie. Twój rodzaj trzyma mój w ryzach. Prawdę mówiąc, jedynie wy zapewniacie rodzinie królewskiej jej pozycję.

Przez chwilę szli w ciszy. Sam rozmyślał o wszystkim, co powiedziała.

- A ty? – spytał w końcu, nie pomyślawszy tak naprawdę zawczasu. – Masz chłopaka?

Natychmiast zorientował się, że popełnił błąd. Był zbyt obcesowy, jak zwykle zresztą. Powinien wykazać się nieco większą subtelnością.

Odwróciła się i spojrzała wprost na niego, wyglądając na oburzoną.

- Słucham? Jesteś bezczelny. I nieuprzejmy.
- Tylko pytałem – powiedział cicho, czując przygnębienie.
- Nie rozumiem, dlaczego to ciebie zajmuje? – dodała.

Szli dalej w ciszy, coraz bardziej niewygodnej, aż w końcu dotarli do kolejnego, doskonałego w każdym calu pałacu. Sam stanął zdezorientowany. Zawsze myślał, że Wersal to jeden pałac. Nie zdawał sobie sprawy, że posiadłość mieściła ich kilka. I każdy zdawał się wspanialszy od poprzedniego.

Kiedy zbliżyli się do drzwi, kilku służących rzuciło się w ich stronę, by otworzyć je przed nią. Sam zwrócił jej parasol. Zatrzymała się i zmierzyła go wzrokiem. Zdziwił się, że przystanęła; przyjął, że go nie polubiła, że wszystko zepsuł, i że po prostu sobie pójdzie.

Spojrzała na niego i jej wzrok ponownie go poraził, zatrzymał w miejscu jak hipnoza.

Czuł, jak jego serce zabiło szybciej, kiedy utkwiała spojrzenie w jego oczach. Tym razem był pewien, że dawała mu coś do zrozumienia.

- Jesteś inny – powiedziała cicho, tak, aby nie usłyszały tego strażę. – Pozostali są wiekowi. Byli tu od zawsze. Są bardziej przewidywalni. Ty jesteś młodszy. Bardziej naiwny. To dobrze.

Sam nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

- Cóż – powiedział, uśmiechając się. – Sądzę, że ty też nie jesteś taka zła.

I znów, jego sarkazm położył wszystko. Spojrzała na niego oziębło i pomyślał, że tym razem na pewno zawalił sprawę.

Nagle jednak dodała:

- Co do twojego pytania: Nie, Nie mam. Lecz być może, całkiem niedługo, będę miała.

Po czym, bez jednego słowa, odwróciła się i odmaszerowała.

Sam stał tam, gapiąc się oniemiały.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Caitlin siedziała z mocno bijącym sercem naprzeciwko Caleba, który czytał zwój z wyrazem niepokoju na twarzy.

Nie mogła w to uwierzyć. To była taka magiczna chwila, jeden z kulminacyjnych momentów w ich związku, kiedy Caitlin poczuła, że lada chwila znacznie zbliżą się do siebie. I wtedy akurat musiało pojawić się to głupie ptaszysko, ni stąd ni zowąd, nurkując w powietrzu jak zwiastun śmierci.

Jakiegokolwiek informacje zawierał ten list, ona nie mogła już dłużej znieść tej niepewności. Jej serce biło mocno, ale nie z miłości i podekscytowania, lecz z obawy.

Podpisano *Kochająca*. To mogło oznaczać tylko jedno. List był od Sery. Kto inny podpisałby go w ten sposób?

Zaczęła trząść się ze złości. Zawsze, za każdym razem, Sera potrafiła zająć jej za skórę.

- No i? – spytała w końcu zbyt gniewnie. Ale nie mogła już dłużej znieść czekania.

Caleb podniósł w końcu wzrok, a jego twarz emanowała troską na przemian ze smutkiem.

- To od Sery – powiedział. – Pisze, że Jade żyje. Że zdołała go wskrzesić, cofnąć w czasie. Że jest tu teraz. I że chce się ze mną zobaczyć.

Serce Caitlin zamarło gwałtownie. Poczula się tak, jakby ktoś przebił je nożem. Zrozumiała natychmiast, sądząc po wyrazie twarzy Caleba, że szansa na zobaczenie Jade'a była czymś, czemu Caleb nie był w stanie się oprzeć. I gdyby próbowała teraz wejść mu w drogę, miałby jej to za złe do końca życia. Zawsze już patrzyłby na nią, jak na osobę, która uniemożliwiła mu spotkanie z synem.

- Jak to możliwe? – spytała. – Jak w ogóle zdołała go wskrzesić?

Caleb spuścił wzrok, spojrzał z powrotem na list i potrząsał głową, sam wyglądając na zdumionego.

– Nie wiem – odparł.- Naprawdę nie wiem.

Spojrzał na nią ze smutkiem i poczuciem winy.

- Caitlin – powiedział, a ona rozpoznała w jego głosie smutek i tęsknotę. – Tak bardzo mi przykro. Nigdy, przenigdy nie chciałem cię opuścić. I nigdy bym tego nie zrobił. Ale to – to całkiem inna sprawa. To mój *syn*.

Wstała nagle, nie posiadając się z gniewu. Caleb również wstał.

- Musisz *to* zrozumieć – powiedział, wyciągnąwszy rękę i chwyciwszy ją, kiedy odwróciła się, by odejść. Obrócił ją twarzą do siebie. – To mój *syn*. I mam szansę zobaczyć go znowu żywego. Jak mógłbym to zignorować?

- Kochasz ją – powiedziała Caitlin. – Nadal ją kochasz.

- Nie – powiedział z naciskiem. – Przysięgam, że nie. To nie ma z nią nic wspólnego. Tu chodzi tylko o Jade'a.

Wbrew sobie, rozplakała się.

- Jak mam ci to udowodnić? – spytał. – Spotkałaś Jade'a. Wiesz jak wyjątkową jest osobą. Jak mógłbym odwrócić się do niego plecami? Jak mógłbym nigdy go już nie zobaczyć?

Caitlin stała, łkając, nie wiedząc, co począć.

- Możesz mi towarzyszyć – powiedział Caleb. – Udowodnię ci to. Udowodnię, że nie chodzi w tym o Serę. Możemy razem tam polecieć. Zobaczymy się z Jadem. Wówczas będziemy mogli zabrać go tu ze sobą, by zamieszkał razem z nami.

- I myślisz, że Sera się na to zgodzi? – spytała Caitlin. – Pozwoli nam odebrać jej syna?

Caleb zmarszczył brwi.

- Jest również *moim* synem. I bez względu na to, czego chce Sera, nie planuję spędzić z nią ani chwili dłużej. Zamierzam zobaczyć się z synem. Nie muszę spotykać się z

nią, by spotkać się z synem. Leć ze mną. Przekonasz się. Zabierzemy Jade'a i odejdziemy.

Caitlin potrząsała głową.

- Nie mogę z tobą polecieć. Wiesz o tym dobrze. Nie mogłabym znieść jej widoku. I nie chcę mieszać się w wasz związek.

- Nie ma żadnego związku – nalegał Caleb. – Musisz mi uwierzyć.

- Czy to dlatego zamierzasz mnie opuścić i się z nią spotkać?

- Caitlin – powiedział cicho. – Proszę, zrozum. To nie to, co myślisz.

Caitlin odwróciła się, ścierając z policzków łzy. Odwrócona do niego plecami powiedziała – Nie potrzebujesz mojego pozwolenia. Jeśli chcesz lecieć – to leć.

Minęło kilka sekund. Podszedł do niej blisko i położył dłoń na ramieniu.

- Zaczekasz na mnie? Będziesz tu, kiedy wrócę? Zajmie mi to tylko kilka dni. Obiecuję. Wrócę, razem z Jade'm. I wtedy będziemy mogli rozpocząć nasze wspólne życie. Zaczekasz? Proszę, przyrzeknij, że zaczekasz!

Odwróciła się i spojrzała na niego, prosto w oczy, czując się poniżona, a jej smutek okrzepł, przeobraził się w determinację.

- Nic ci nie będę przysięgać.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Kyle stał naprzeciw Napoleona w niewielkiej bocznej komnacie Panteonu. Po swym spektakularnym wejściu, wyprowadził Napoleona, dąsającego się jak zbesztany chłopczyk, w otoczeniu tuzina najwierniejszych popleczników.

Ludzie Napoleona chcieli wejść do środka, lecz Kyle rozkazał im poczekać na zewnątrz. Zwrócili się zatem do Napoleona, gotowi przyjąć od niego rozkazy, lecz on niechętnie spuścił wzrok i skinął głową, wyraźnie zażenowany tym, że to nie on już wydawał polecenia.

Jeden z nich nie chciał jednak ustąpić, więc Kyle podszedł, podniósł go i cisnął z taką siłą, że ten poleciał w powietrzu przez drzwi i dalej na korytarz.

- Poczekajcie na zewnątrz – powiedział do pozostałych.

Odwrócili się gwałtownie i pospiesznie opuścili pomieszczenie, zostawiając Kyle'a i Napoleona stojących twarzą w twarz w niewielkiej komnacie.

- Nie musisz zawsze być aż tak efektowny – wściekał się Napoleon. – Poszedłbym za tobą, gdybyś tylko poprosił. Nie musisz też rozstawiać moich ludzi po kątach.

- Twoich ludzi? – spytał Kyle. – To, że masz ludzi i jesteś przy władzy zawdzięczasz mnie. A ja zrobię wszystko, na co przyjdzie mi ochota. Łącznie z pozbawieniem cię władzy.

W końcu Napoleon złagodniał nieco, jakby gotów był przyjąć rozkazy od swego dowódcy.

- Z jakiego powodu tu jesteś? – spytał. – Sądziłem, że prowadzisz swoją wojnę w Nowym Jorku?

- Bo tak było – odwarknął Kyle. – Lecz taka jedna weszła mi w drogę. Bardzo irytująca dziewczyna o imieniu Caitlin. I jej chłopak, Caleb. I jej brat, Sam. Ich trójka – zrujnowała moje plany. Cofnąłem się w czasie osobiście, by rozprawić się z nimi wszystkimi.

- Więc? – warknął Napoleon. – Czego ode mnie oczekujesz?

- Przybyli do twych czasów i na twoje ziemie. Na twoje nieszczęście. Ty i twoi ludzie pomożecie mi ich odszukać i zabić.

Napoleon spojrzał na niego z oburzeniem.

- Wybrałeś najgorszy moment z możliwych. Nie mamy czasu na takie ceregiele. Jesteśmy w samym środku rewolucji. Moi ludzie – z ledwością mogą nad nimi zapanować. Chcą rewolucji. Chcą demokracji. Chcą wyjść na ulice.

- Wspaniale – powiedział Kyle. – Damy im wojnę, której tak bardzo się domagają. Zaatakujemy Wersal.

Napoleon uniósł brew.

- To niemożliwe – warknął. – Nigdy nie wygramy. Mają zastępy wampirzych żołnierzy, które strzegą całej posiadłości. Pobratymców Aideny. Moi ludzie nigdy nie byliby w stanie ich zwyciężyć.

- To dlatego, że nie jesteś tak dobrym strategiem, jak ja – zaripostował Kyle. – Zaatakujemy. I pokonamy ich. Bowiem to tam będzie Caitlin i cała reszta. Kiedy ich zabiję, będę mógł zabić i ją. Ale zgadzam się z tobą. Nie zaatakujemy frontalnie. Zamiast tego odwrócimy ich uwagę.

- W jaki sposób? – spytał zniecierpliwiony Napoleon.

- Siedem bestii – oznajmił Kyle.

- Niemożliwe. Tkwią w zamknięciu od stuleci. Nie. To zbyt niebezpieczne.

- Dokładnie dlatego wypuścimy ich na wolność – odparł Kyle z uśmiechem.

Napoleon zaczął chodzić wkoło, rozmyślając.

Kyle wiedział, że to będzie szok. Nikt się tego nie będzie spodziewał. I dokładnie z tego powodu jego plan był znakomity. Wiedział, że siedem bestii należało do jednych z najbardziej zajadłych wampirów, które chodziły po ziemi. Nie należały do żadnego klanu, a złapano je w Paryżu wiele stuleci

temu. Gniły teraz w celach, w czeluściach Bastylii. Po wypuszczeniu na wolność siałyby spustoszenie bez końca. A on dokładnie tego potrzebował.

Ale były też pewnym ciężarem: mogły równie dobrze zwrócić się przeciwko niemu i jego ludziom. Były narzędziem destrukcji. Pojmanie ich zajęło całe wieki i obie rasy, wampirza i ludzka, były zadowolone, że ta siódemka była tam, gdzie była.

I dokładnie z tego powodu Kyle zamierzał je uwolnić. Nikt się tego nie spodziewał. Dzięki temu zaś Kyle zyskałby pozycję, jakiej akurat potrzebował.

- Uwolnimy je – rozkazał Kyle. – A potem zaatakujemy. I twoi ludzie będą mieć przy okazji swoją rewolucję.

- Nawet gdybyśmy bardzo tego chcieli – powiedział Napoleon – to niemożliwe. Są głęboko w czeluściach Bastylii. Otaczają je legiony strażników. I słyszałem, że przetrzymują je w specjalnej, niezniszczalnej celi. Lepiej zaczekajmy – dodał.. – Mam sabotażystów w Wersalu. Szpiega, który informuje mnie o wszystkim. Powie mi wszystko, co chcę wiedzieć. Musimy tylko na nią poczekać.

- Ja również mam tam sabotażystę – powiedział Kyle.

- Kto jest twoim? – spytał Napoleon.

- A twoim? – spytał Kyle.

Żaden nie odpowiedział, obaj nie ufali sobie.

- Nieważne – powiedział w końcu Kyle. – Nie będziemy na nich czekać. Nigdy nie czekamy. My inicjujemy. Wszczynamy tu naszą wojnę.

- Nie podoba mi się to – powiedział Napoleon.

Kyle wystąpił naprzód, zbliżając się do niego niebezpiecznie i przytłaczając całą swoją posturą.

- W takim razie cieszę się, że to nie ty tu dowodzisz.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Caitlin szła przez pola, zmierzając z powrotem do zamku Caleba i czuła jak świat wymyka się jej spod stóp. Była oszołomiona i z ledwością zwracała uwagę na to, dokąd idzie. Ledwie co zerkała na morze, ledwie co słyszała załamujące się fale, ledwie co zauważała Ruth skaczącą wokół niej i próbującą zwrócić na siebie uwagę. Na nic nie zwracała uwagi. Kolejny raz straciła czujność, była gotowa na miłość, wpuściła Caleba z powrotem do swego serca. I kolejny raz je złamał.

Była wściekła na siebie. Ile razy jeszcze pozwoli sobie na taką łatwowierność, tylko po to, aby kolejny raz zostać zranioną? Czy kiedykolwiek wyniesie z tego nauczkę?

I w jaki sposób to wszystko tak szybko się rozleciało?

Zastanawiała się, dlaczego jej życie nie mogło być nigdy proste. Odnosiła wrażenie, że zawsze wznosiła się na same szczyty tylko po to, by za chwilę ktoś strącił ją w najgłębsze odmęty. Pragnęła jedynie normalnego życia, stałego związku, miejsca, które mogłaby nazywać domem. Sądziła, że w końcu takie znalazła. Wydawało się takie spokojne; sprawiało wrażenie, że nic z zewnętrznego świata nie jest w stanie tu dotrzeć.

I wówczas, jak piorun z jasnego nieba, pojawiło się to ohydne ptaszysko z listem. Od Sery. Napisane jej ohydny pismem. To było takie niesprawiedliwe. Aż chciało jej się krzyczeć na cały głos.

Tak szybko, jak Caleb wprowadził ją na szczyt tego wzgórza, gdzie spędziła piękną chwilę, która wydawała się nie mieć końca, tak szybko ją opuścił. Przypomniała sobie, jak odlatywał, machając swymi ogromnymi skrzydłami, zmierzając do Sery. Jakby nie mógł zaczekać ani minuty, by się z nią spotkać.

A może była w stosunku do niego niesprawiedliwa. Oczywiście, powiedział jej, że chodziło o spotkanie z synem. Lecz czy rzeczywiście to zamierzał zrobić?

I czy to w ogóle miało jakieś znaczenie? Przecież i tak by się z nią widywał, mimo wszystko. Odpowiadałby na każdy jej list, od razu jak tylko by do niego coś napisała.

Ciężko jej było się skupić.

To po prostu było niesprawiedliwe, pomyślała znowu, zaczesując włosy do góry. Zalewał ją niepohamowany gniew.

Zaraz potem przeobraził się w smutek i poczuła świeże łzy ciekące po policzkach.

Dokąd miała teraz iść? Co robić? Wyruszyła na wyprawę w czasie z powodu Caleba. To *on* stał się jej misją. I teraz, gdy już go nie było, jaki cel miało jej życie?

Czy popełniła błąd, uczyniwszy miłość celem życia?
Uczyniwszy ten związek centralnym punktem swej misji?

W tym momencie wszystko inne zdawało się mniej istotne. Głęboko w sercu nadal czuła, że miłość była ostatecznym celem w życiu.

Teraz jednak, w tej chwili, przeżywając miłosny zawód, nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że popełniła błąd. Że powinna skupić się na ważniejszych sprawach.

Na czymkolwiek, poza miłością.

*

Dotarła do opustoszałego zamku Caleba o zmierzchu, z Ruth stającą u jej boku. Miała wrażenie, że minęły godziny od momentu, kiedy zeszła ze wzgórza. Długi spacer rozjaśnił jej umysł i teraz czuła jedynie pustkę, przygnębienie. Samotność.

I teraz, kiedy podniosła wzrok, zamiast swego nowego domu, miejsca, w którym tak bardzo chciała osiąść, ustatkować się, spędzić życie w spokoju, zobaczyła budowlę przypominającą jej jedynie Chleba i to, że zostawił ją tu samą.

Weszła do środka i zapaliła kilka świec, tylko tyle, by orientować się w pomieszczeniu. Ginące w mroku otoczenie pasowało do jej nastroju.

Ruth zaskomlała i Caitlin skierowała się instynktownie do komnaty z resztkami sarniny. Wzięła kilka skrawków i nakarmiła ją z ręki. Ruth zżarła wszystko skwapliwie. Jak na tak małe zwierzę, szybko zgłodniała.

Caitlin przeciwnie. Straciła wszelką ochotę na jedzenie.

Bezmyślnie weszła po schodach, próbując nie myśleć o Calebie i skierowała się do sypialni. Usiadła przy niewielkim średniowiecznym stoliku i wyjrzała przez okno. Ostatnie promienie słońca przygasały właśnie na jej oczach. W oddali zobaczyła księżyc, który rozpoczynał swą wędrówkę po niebie.

Caitlin zapaliła świecę i przysunęła ją blisko, po czym sięgnęła po swój dziennik i otworzyła go. Tego właśnie było jej teraz trzeba. Jedyne przyjaciel, do którego mogła się zwrócić, któremu mogła wyzalić się na wszystko, co ją irytowało. Dziennik naprawdę stał się jej zaufanym przyjacielem, jedynym wspólnym mianownikiem wszystkich jej podróży.

Odwróciła ciężką, skórzaną okładkę. Jego stronicę pofałdowały się i pomarszczyły. Spojrzała na swoje odręczne pismo i przerzucając strony, zauważyła, jak bardzo jej dziennik się zmienił. Te różnorodne rodzaje atramentu, długopisów... Niektóre ze stron były pobrudzone, pokryte błotem lub rozlanym winem. Same strony również pogrubiały, przesiąknięte wodą i wilgocią. Miała wrażenie, że już w tej chwili jej dziennik wyglądał, jakby miał tysiąc lat. Była zszokowana, kiedy zauważyła, jak pogrubiał. Czy naprawdę to wszystko było jej dziełem?

Musiała przewrócić sporo stron, by znaleźć jakieś wolne miejsce. Większość była już zapisana. W końcu dotarła do pustej. Wyjęła pióro i atrament, które gdzieś znalazła, naostrzyła końcówkę pióra, zanurzyła w atramencie i nachyliła się nad dziennikiem.

Nie mam pojęcia jak wpakowałam się w tę sytuację ponownie. Obiecałam sobie, że do tego nie dopuszczę, nie zakocham się w kimś, kto nie może zostać ze mną. Tym razem jednak wszystko wyglądało inaczej. Caleb wydawał się taki szczery. I właśnie to było najgorsze – nadal myślę, że mówił prawdę. Że gdyby nie ten list, wciąż bylibyśmy tu razem.

Sera, jak ja jej nienawidzę. Czai się zawsze gdzieś w pobliżu, gotowa nas rozdzielić.

Ale wyprzedzam fakty. Muszę cofnąć się nieco, przemyśleć, od czego to wszystko się zaczęło. Przede wszystkim, jak chociażby tutaj wylądowałam.

Wszystko zaczęło się w Nowym Jorku. Nowy Jork, mój Boże. Wydaje się, jakby całe wieki minęły. Byłam zwykłą, typową nastolatką, mieszkającą z mamą, która za bardzo mnie nie lubiła, i której ja również nie lubiłam, oraz z irytującym braciszkiem, którego uwielbiałam. Lecz nic oczywiście nie było normalne. Byłam hybrydą, a przynajmniej z czasem się o tym dowiedziałam. Pół krwi mieszańcem. W połowie człowiekiem, w połowie wampirem. Osiągającym pełnoletniość w najgorszym możliwym momencie.

Była ta okropna szkoła średnia, był Jonah, pierwszy chłopak, w którym naprawdę się zabijałam. Była nasza pierwsza randka, moje pierwsze karmienie. Byłam taka zażenowana, kiedy uciekłam z tej randki i jeszcze bardziej speszona, kiedy obudziłam się następnego dnia w miejscu, którego nie znałam. I nasyciwszy głód niewiadomo czym.

W jedną noc całe moje życie się zmieniło. Mroczny klan wampirów osaczył mnie, schwytał i był zdecydowany mnie zabić. Uwolniłam się dzięki Calebowi. To wtedy go pierwszy raz spotkałam. Pokochałam go od pierwszej chwili, kiedy go zobaczyłam – i już nigdy nie przestałam go kochać.

Zabrał mnie do swoich pobratymców, jego klanu, do Cloisters. Ale oni nie przyjęli mnie. Byłam sama i niemal nie zginęłam. Caleb uratował mnie ponownie. Odwrócił się od swego klanu, by mnie zabrać w bezpieczne miejsce.

Potem przyszło mi szukać ojca, mojego prawdziwego ojca, mitycznego miecza wampirów, do którego mógł mnie

zaprowadzić i który mógł ocalić ludzką rasę. Coś w tym guście. W moich oczach było to raczej jak poszukiwanie własnej tożsamości, tego, kim jestem, lub czym.

Szukaliśmy razem z Calebem, w każdym kolejnym mieście, na całym Wschodnim Wybrzeżu. Od doliny rzeki Hudson przez wyspę Martha's Vineyard po Boston. Cały wieczór jeździliśmy konno po plaży, a potem pierwszy raz spędziłam z nim noc... Było niewiarygodnie.

Lecz w chwili, kiedy nasz romans zaczął rozwijać skrzydła, zawisły nad nami czarne chmury. Znalazłam Miecz. I napadł mnie Sergei, ten ohydny pomagier Kyle'a, który przebił mnie nim. Umierając, błagałam Caleba, by mnie przemienił.

Uśluchał mnie.

Trafiłam na wyspę Pollepel, leżącą wśród wód rzeki Hudson, by odzyskać siły – ponownie ocalona przez Caleba. Zostawił mnie tam jednak i wrócił z Serą do swych ludzi. Powiedział, że chciał tylko im pomóc, ocalić przed wojną. A ja byłam taka zazdrosna. Zamiast dać mu odrobinę wolności, której wtedy potrzebował, uwierzyłam, że kochał Serę.

Trenowałam na wyspie, poznałam moją najlepszą przyjaciółkę Polly, mego mentora i nauczyciela Aiden'a oraz Blake'a, tajemniczego chłopaka, którego pokochałam, ale nigdy nie rozumiałam. Trenowałam, walczyłam i stałam się o wiele lepszą wojowniczką. Stałam się bardziej sobą.

I wtedy dowiedziałam się, że jestem w ciąży i to wywróciło mój świat do góry nogami. Poczulałam też, że Caleb znalazł się w niebezpieczeństwie. Opuściłam wyspę, by go ocalić. Aiden ostrzegł mnie, że jeśli opuszczę wyspę, nigdy już nie będę mogła na nią wrócić. Wybrałam Caleba. Był dla mnie ważniejszy.

Przylączyłam się do Sery i razem walczyliśmy, by uratować Caleba pojmanego w wampirzej wojnie. Odnalazliśmy go schwytanego przez klan Kyle'a. I już miałyśmy go uwolnić.

Jednak Sam dostał się pod okropny wpływ Kyle'a i użył swych zmiennokształtnych mocy dla niecznych celów. Oszukał

nas, a nawet próbował mnie zabić. Ale Sera weszła mu w drogę i oddała swe życie za mnie.

Jednak Samowi udało się tak naprawdę mnie zabić, bo przez jego podstęp zabiłam Caleba. Własnymi rękoma. Mieczem.

Aiden oznajmił mi, że pozostała tylko jedna szansa na ocalenie Caleba: musiałabym cofnąć się w czasie. Zgodziłam się poświęcić nasze dziecko, stracić wszystko i spróbować. Aiden powiedział, że już nigdy nie będę mogła tam wrócić. Wyrzekłam się wszystkiego dla Caleba.

Trafiłam do Włoch, do roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego. Do Asyżu. Wenecji. Florencji. Rzymu. Istne szaleństwo. W Wenecji najpierw nie mogłam znaleźć Caleba, a potem, jak już go znalazłam, odkryłam, że mnie nie pamięta i serce mi pękło. Mimo to, zakochałam się w Blake'u i we Florencji w końcu odnalazłam wskazówkę, która poprowadziła mnie do ojca. Lecz wówczas, ponownie, pojawił się Kyle i zabrał ją, a nas oboje pojmał.

W Rzymie walczyłam o życie. W Koloseum. W ramach okrutnych igrzysk Kyle'a. Z mojego powodu umarł Blake, który przyjął przeznaczone dla mnie pchnięcie mieczem. Nic innego nie zabolalo mnie tak bardzo.

Ilu ludzi będzie musiało zginąć, by utrzymać mnie przy życiu?

Wtedy pojawił się Sam. Sądziłam, że będzie próbował mnie zabić, ale zamiast tego uratował mnie. Jak i Caleb, który w końcu przypomniał mi siebie. Nasza trójka wywalczyła drogę na wolność i trafiła do Watykanu.

Tam zaś poznałam swoich ludzi. Moich pobratymców. Przekazali mi pierwszy z czterech kluczy, które potrzebuję, by odnaleźć ojca. A potem cofnęli nas w czasie. Ponownie.

I oto jestem. W tym całkiem nowym miejscu i czasie. Wreszcie zjednoczona z Calebem – albo przynajmniej tak mi się zdawało. Byłam pewna, że to w tym miejscu i czasie w końcu będziemy mogli być razem. Kiedy wszystko ułożyło się tak idealnie.

A teraz, wszystko to zdaje się rozpadać, znowu.

*I kim zostałam? Córką bez ojca? Siostrą bez brata?
Dziewczyną bez chłopaka?*

*Czy powinnam szukać Tarczy? Czy powinnam szukać ojca?
Czy powinnam ruszyć za Calebem? Czy powinnam poczekać tu
na niego?*

A może powinnam opuścić to miejsce już na zawsze?

*

Caitlin wypadła przez frontowe drzwi zamku i pobiegła w noc, wśród sięgającej do pasa trawy. Biegąc, próbowała wzbicić się w powietrze, ulecieć, ale jej skrzydła nie chciały się otworzyć. Pobiegła szybciej i próbowała podskoczyć, unieść się, ale nic się nie wydarzyło. Biegła dalej, niemal pozbawiona tchu. W końcu uświadomiła sobie, że nie dysponowała już swymi niegdysiejszymi mocami.

W oddali na horyzoncie stała samotna postać, mężczyzna, którego sylwetka rysowała się wyraźnie na tle stojącego w pełni księżyca. Niebo jaśniało rozświetlone potężną księżycową tarczą, oświetlającą tysiące niewielkich obłoków. Caitlin pobiegła ku owej samotnej postaci, przeczuwając, że to mógł być jej ojciec. Lub prawdopodobnie Caleb.

Biegła dalej, a krajobraz nagle zmienił się w pochyłe zbocze. Zorientowała się, że zbiega po nim w dół ku dolinie. W końcu jednak zaczęła się wspinać, wbiegać na kolejne ogromne wzgórze. Wkrótce teren zrobił się bardzo stromy, a ona bardzo zmęczona. Samotna postać stała na jego szczycie, wzywając ją, ale Caitlin było zbyt ciężko, by do niej dotrzeć.

Teren stał się skalisty i wkrótce Caitlin zaczęła ześlizgiwać się po ogromnych odłamach, próbując wbiec po zboczu góry. Traciła przyczepność. Wkrótce dała początek lawinie. Pośliznęła się i poleciała w dół. Chwyciła jakiś wielki skalny nawis i zawisa niepewnie. Spojrzała w górę, mając nadzieję, że ktoś jej pomoże.

Jej ojciec spojrzał na nią z góry i wyciągnął dłoń.

- Pomocy! – wrzasnęła Caitlin.

- Odszukaj mnie, Caitlin – odpowiedział, a jego dłoń niemal jej dosięgła – Nie porzucaj poszukiwań.

Caitlin wyciągnęła rękę, próbując dotknąć dłoni ojca, ale straciła przyczepność i nagle poleciała w dół, ześlizgując się z góry, coraz niżej i niżej, aż w końcu wpadła do czarnej dziury. Wrzeszczała ze wszystkich sił, wiedząc, że spada ku niechybnej śmierci.

Obudziła się z krzykiem. Rozejrzała się wokół. Ciężko oddychając, próbowała przypomnieć sobie, gdzie jest.

Dostrzegła dogasającą świecę w rogu pokoju. Zobaczyła też Ruth, leżącą na jej łóżku i patrzącą na nią z wyrazem troski. Zobaczyła wielkie, otwarte okno, przez które wpadała do wnętrza księżycowa poświata i zorientowała się, że to był tylko sen. Wciąż była w zamku Caleba.

Wstała z łóżka, cała spocona, i zaczęła dreptać bosymi stopami po kamiennej podłodze. Czuła się dziwnie, będąc w tak ogromnym miejscu całkowicie sama, będąc sama w łóżu Caleba. Czuła się tu jak intruz i była zagubiona.

Jej sen wydawał się taki realny. Przeszła pokój z wciąż mocno bijącym sercem i przez ogromne drzwi wyszła na taras. Chwyciła dzban z wodą i łapczywie ją wypila, stojąc na tarasie i spoglądając w dal. Zaszło jej w gardle.

Usłyszała skomlenie, spuściła wzrok i zobaczyła u swych stóp Ruth, która spoglądała na nią z zadartym łebkiem. Położyła dzban na ziemi i Ruth wychleptała szybko resztkę wody.

Zlustrowała niebo rozświetlone księżycową poświatą. Tak bardzo, jak pokochała to miejsce wczorajszego wieczoru, tak bardzo je teraz znienawidziła. Wydawało jej się złe. Mimo niezwyklej okoliczności, nadal czuła się odtrącona przez Caleba. Czuła, że powinna mu się sprzeciwić, że po prostu powinien zostać i być z nią szczęśliwy, nigdzie się nie ruszać. Że nie powinien odlatywać od razu, jak tylko Sera się z nim skontaktowała. Wiedziała, że przemawia przez nią egoizm i rozumiała, że tęsknił za swoim dzieckiem. Mimo to jednak miała wrażenie, że zasługiwała na coś lepszego.

Odplynęła myślami, stojąc tak nie wiadomo jak długo, obserwując, jak powoli horyzont wyłaniał się z mroku, zmieniając stopniowo barwę ciemnoniebieską w delikatniejsze, jaśniejsze odcienie błękitu. Tak wiele rzeczy ją trapiło i wprawiało w konsternację. Być może jej sen był wiadomością. Może *powinna* skupić się na poszukiwaniach. Być może nadeszła pora, by pozwolić Calebowi odejść z jej życia.

W gruncie rzeczy, Caitlin naprawdę rozpaczliwie zależało na odszukaniu ojca. Chciała mieć już za sobą te całe poszukiwania, przywrócić swemu życiu jakąś normalność. A jednocześnie czuła, że tak długo, jak gdzieś tam znajdowała się Tarcza, tak długo jak jej ojciec jawił się na horyzoncie, jej życie nigdy nie będzie całkiem normalne.

Zaczynało świtać, kiedy Caitlin zdała sobie sprawę, że musiała oczyścić umysł, powstrzymać tysiące cisnących się sprzecznych myśli, wirujących w głowie. Ruth zaskomlała ponownie i tym razem Caitlin wzięła ją na ręce. Najwyraźniej potrzebny był jej spacer, tak jak i jej.

Zeszła po schodach i wyszła z zamku na powietrze, podążając o świcie szlakiem przez pola. Szlak wił się i ciągnął wprost ku leśnemu zagajnikowi. Caitlin zdecydowała, że było to idealne miejsce na dłuższy spacer.

Posuwała się krętą drogą w głąb lasu, czując się bardziej zrelaksowaną. Było tu ciemniej, w zasadzie panowała jeszcze noc, i spokojniej. Wszędzie wokół niej pięły się wysoko drzewa, zasłaniając w większości widok nieba. Słyszała śpiew kilku wczesnoporannych ptaków, budzących się dopiero. Panował wszechogarniający spokój.

Rozmyślała, dokąd mogłaby skierować kroki. Uświadomiła sobie, że myślami wraca do nieotworzonego zwoju, listu od jej ojca. Może nadeszła pora, by go otworzyć. Może coś w nim poprowadziłoby ją dalej, wskazało drogę. Być może ponosiła właśnie karę za to, że przede wszystkim nie wypełniała swojej misji. Może potrzebna była jej ta tragedia, by zmusić do powrotu na drogę poszukiwań.

Nagle usłyszała dźwięk łamanej gałązki. Obróciła się.

Z szokiem zauważyła stojącego za sobą, śledzącego ją mężczyznę, dwukrotnie większego od siebie. Był wyrosnięty, brakowało mu zębów, a jego usta były otwarte. Wyglądał na naprawdę okrutnego człowieka, wrednego typu. W jego wielkich, czarnych oczach widziała nadciągające tarapaty.

Usłyszała kolejny trzask, odwróciła się w drugą stronę i zauważyła jeszcze dwóch zbirów, którzy zbliżali się do niej. Byli niemal tak wysocy, jak pierwszy i, pokryci bliznami, mieli jeszcze podlejszy wyraz twarzy.

Jej serce zaczęło mocno walić, kiedy uświadomiła sobie, że wpadła w zasadzkę. Byli to prawdopodobnie miejscowi złodzieje, czy też gwałciciele, czekający tylko okazji, by napaść na jakiegoś przybysza. Była taka głupia. Powinna zachować większą czujność. To, że była pośrodku niczego nie oznaczało, że była tu bezpieczna.

Zazwyczaj była nieustraszona, lecz nie miała okazji przetestować swoich pełnych mocy, od kiedy cofnęła się w czasie. Czy nadal je miała? Wiedziała, że może latać. Ale czy nadal miała tę siłę? Ten gniew? Ten refleks? Szybkość, zwinność i wojownicze umiejętności?

Zdała sobie sprawę, że nie była to najlepsza pora na eksperymenty. Miała złe przeczucie.

- Ściągaj ubranie – wrzasnął jeden z nich.

To ten duży odezwał się do niej, a kiedy na niego spojrzała, zauważyła, że wyciągnął coś małego i błyszczącego zza pasa. Sztylet.

Najwyraźniej nie chodziło im tylko o rabunek.

Ruth zaczęła warczeć, stojąc tuż obok niej.

- Ostrzegę was tylko raz – powiedziała Caitlin na tyle głośno i zdecydowanie, na ile było ją stać. Głęboko we wnętrzu, trzęsła się jednak cała. – Nie podchodźcie bliżej.

Pozostali dwaj mężczyźni zaśmiali się krótkim, ostrym śmiechem i wyciągnęli swoje sztylety.

- Jaka odważna się znalazła? – zapytał jeden.

W tym momencie ten pierwszy, znajdujący się najbliżej, chwycił ją. Caitlin czekała, nie chcąc odkryć jeszcze swoich kart.

Nagle Ruth rzuciła się na mężczyznę i ugryzła go z całych sił w kostkę. Ruth była mała, ale jej zęby były ostre i kiedy zacisnęła je mocno, mężczyzna zawył z bólu. Zaczął wywijać nogą w powietrzu jak opętany, machając Ruth na wszystkie strony, ale ta nie puszczała. W końcu zamachnął się mocno i Ruth poleciała w powietrze.

Caitlin zobaczyła w tym swoją szansę. Rzuciła się do przodu, wypychając podstawę dłoni mocno i wysoko wprost w kierunku gardzieli mężczyzny.

Zadała idealny cios. Uderzyła w struny głosowe. Mężczyzna natychmiast chwycił się obiema rękoma za gardło i padł na kolana.

Caitlin chwyciła go za tył głowy i uderzyła o swoje kolano, łamiąc mu przy tym nos. Drab osunął się na ziemię.

Nagle poczuła palący ból w ramieniu i usłyszała dźwięk tnącego noża.

Chwyciła się za ramię i poczuła spływającą gorącą krew – i uświadomiła sobie, że dostała cios sztyletem. Jak głupio. Wystawiła się na atak ze strony pozostałych oprychów, którzy okazali się szybsi, niż myślała.

Zanim zdążyła zareagować, drugi mężczyzna chwycił ją od tyłu. Walczyła, ale mężczyzna był silny i bez względu na wysiłki, nie mogła się uwolnić.

Ostatni z nich obszedł Caitlin dookoła i stanął naprzeciw niej, wycierając usta zewnętrzną stroną dłoni, jakby miał przed sobą następny posiłek. Szybko ściągnął swoje spodnie.

- Rozbierz ją – rozkazał drugiemu.

Mężczyzna sięgnął wokół Caitlin i chwycił jej koszulę.

I wtedy to się stało. Caitlin zamknęła oczy i pomyślała o tych wszystkich momentach w życiu, kiedy ją atakowano, znęcano się nad nią i szykanowano. Przyszedł jej na myśl Nowy Jork, wydarzenia w alejce. Pomyślała o Cainie, na

Pollepel. O Wenecji. Pomyślała nawet o matce, która nigdy nie miała dla niej miłego słowa. A ponad to wszystko, dała się ponieść frustracji i złości, które nagromadziły się w niej po odejściu Caleba. Bólowi złamanego serca. Depresji. Wpadła w szal. Mogłaby wrzeszczeć na cały świat. To było niesprawiedliwe. Zaslugiwała na coś lepszego.

To po prostu było niesprawiedliwe.

Nagle zalała ją fala niewyobrażalnego gniewu. Poczula jak jej ręce, dłonie i ramiona napięły się, poczuła w sobie siłę setki mężczyzn. Wychyliła się i uwolniła z uścisku napastnika, po czym zaryczała. Wydobyła z siebie bestialski ryk zwierzęcia, wilka. Wampira.

Odwróciła się, chwyciła mężczyznę i rzuciła go, a ten przeleciał z pełną prędkością w powietrzu, grzmotnął o drzewo i stracił przytomność.

Pozostały mężczyzna, stojąc wciąż z opuszczonymi spodniami, spojrział na nią nagle szeroko otwartymi oczyma, w szoku, jakby spoglądał na dzikiego tygrysa dopiero co wypuszczonego z klatki. Wyraz jego twarzy zmienił się z zuchwałego w przerażony i tchórzliwy. Zauważyła, że zaczął się trząść.

Lecz Caitlin nie miała już w sobie żadnej wyrozumiałości. Przemieniła się w bestię i nie potrafiła powstrzymać pierwotnego instynktu. Skoczyła w powietrze i kopnęła go mocno w tors obiema nogami. Mężczyzna poleciał w powietrzu, z wciąż spuszczoneymi portkami i rozbił głowę o drzewo. Po czym, osunął się na ziemię nieprzytomny.

Caitlin odwróciła się w porę, by dostrzec, jak trzeci drab ruszył do natarcia. Poczekała i w ostatniej sekundzie schyliła się i z łatwością wybiła w górę, ciskając napastnika w powietrze. Poleciał głową do przodu, tym razem w kierunku jakiegoś konaru, nabijając się na niego i ginąc w chwili uderzenia.

Podeszła do jednego z nieprzytomnych mężczyzn. Jej gniew jeszcze się nie nasycił. Mężczyzna zaczął podnosić się powoli i Caitlin kopnęła go ze wszystkich sił w twarz.

Nadal nie miała dość. Chciała krwi. Zemsty. Za każdy akt okrucieństwa w jej życiu.

Osunęła się na jedno kolano i zaczęła go dławić. Oprzytomniał i swymi wielkimi dłońmi chwycił jej nadgarstek, próbując odsunąć od siebie. Ale nie mógł równać się z nią siłą. Jej jedna, szczupła ręka przygniatała go do ziemi w żelaznym uścisku, a jego oczy wyszły z orbit, kiedy twarz całkiem zsiniała. Jasne było, że jeszcze chwila i straci życie.

- CAITLIN! – zawołał ktoś.

Caitlin obróciła się zszokowana, rozpoznawszy ten głos.

Z lasu, z laską w dłoni, ubrany w długą szatę, wyszedł jeden mężczyzna i skierował się ku niej.

Podszedł blisko, zdjął kaptur i spojrzał na nią swymi przenikliwymi, błękitnymi oczyma.

Popatrzyła na jego doświadczoną, mądrą twarz, jego długą srebrną brodę i wiedziała, że mogła to być tylko jedna osoba. Tylko jedna osoba na całym świecie miała tego rodzaju wpływ na nią.

Miała przed sobą swego dawnego mistrza.

Aidena.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Polly nie była w stanie zapomnieć o Sergieju. Miała wrażenie, jakby ktoś wstrzyknął narkotyk do jej krwi. Bez względu na to, co robiła – czy to chodziła, czy spała, jadła, czy trenowała – myśl o nim zawsze jej towarzyszyła. Jego rosyjskie rysy twarzy o ciemnej karnacji, dźwięk głosu, gładka skóra i niewiarygodny, hipnotyzujący śpiewny głos. Nigdy nie spotkała nikogo ani trochę do niego podobnego.

Nie mogła też przestać myśleć o tym, jak ją potraktował. Był taki bezwstydnym, taki aroganckim. Jeszcze nigdy żaden chłopak jej tak nie potraktował. Co takiego miał w sobie? Co sprawiało, że był taki agresywny? Dlaczego pozwoliła mu w ten sposób się potraktować? A co ważniejsze, dlaczego nie odeszła, kiedy już to zrobił?

Nie mogła tego zrozumieć. Logicznie rzecz biorąc, powinna go nienawidzić. A jednak, z jakiegoś szalonego powodu, którego nie mogła pojąć, nie potrafiła przestać o nim myśleć.

Szybkim krokiem pokonała korytarz. Ubrała najwspanialszą suknię, lekką, jasnoniebieską, z koronkowym wykończeniem, misternym białym kołnierzykiem, która opadała, opływając jej ciało od szyi do stóp. Pod spodem miała obszerną krynolinę, która na wysokości bioder rozszerzała suknię. Panował lipcowy gorąc i Polly wybrała najcieńszy materiał, jaki miała, a mimo to nie czuła żadnej ulgi przed upałem. Dotknęła czoła, na którym gromadził się pot, coraz bardziej z każdym kolejnym krokiem.

Tym razem chciała pojawić się wcześniej. Sergei dawał kolejny koncert w odległym krańcu Wersalu, w pałacyku Grand Trianon i tym razem Polly zamierzała wysłuchać każdej nuty. Chciała znaleźć sobie jakieś dobre miejsce na przedzie, skąd mogłaby patrzeć mu prosto w oczy. Chciała sprawdzić, czy jego powab pasował do tego w jej wyobraźni, czy też to wszystko było tylko iluzją. Chciała upewnić się, czy nadal

czuła wobec niego to samo. I rozpaczliwie pragnęła ponownie usłyszeć jego głos.

Wszyscy, zarówno ludzie, jak i wampiry, rozprawiali o nim od tygodni. Jego imię aż dzwoniło praktycznie w pałacu. Wcześniej nie zwracała na niego uwagi, gdyż pozostawał gdzieś na krańcach jej świadomości.

Teraz jednak naprawdę zaczęła się zastanawiać. Wyczuwała, że należał do jej rasy, był jednym z nich. Ale skąd pochodził? Do którego klanu należał? I dlaczego, bez względu na to, ile osób przepytala, wydawało się, że nikt nie znał odpowiedzi? Każdy sądził, że przybył z daleka. I nikt nie wiedział, kiedy miał zamiar stąd odejść, ani chociażby, jaki był powód jego obecności. Jakby w ciągu jednej nocy stał się ogólnie zaakceptowaną częścią Wersalu. Wszystko to wydawało się jej bardzo tajemnicze.

Jeszcze bardziej tajemniczy był fakt, że udało mu się bez jakiegokolwiek trudu wmieszać w wersalski tłum, jakby był tu od zawsze. Zwłaszcza z tym jego sposobem postępowania, tak aroganckim, można by pomyśleć, że należał do rodziny królewskiej. Ogólnie przyjęto pogłoskę, że był młodym, rosyjskim księciem podróżującym przez Europę i odwiedzającym Wersal, by zachwycić go swoją obecnością. Że był najślynniejszym wokalistą w całej Rosji, że przyjaźnił się z kompozytorami pokroju Mozarta, Clementiego czy Salieriego.

Polly zerknęła na zegarek i skreśliła w kolejny korytarz, uświadamiając sobie, że przyszła w zasadzie dużo za wcześnie. Poczowała zażenowanie. Z pewnością nie chciała być pierwszą osobą, która pojawi się w tej wielkiej, pustej sali i nie chciała też wyjść na zbyt zdesperowaną.

Umyślnie zwolniła kroku i właśnie w chwili, kiedy zaczęła się zastanawiać, dokąd iść, by przeczekać, usłyszała za sobą zbliżające się kroki. Obejrzała się i zobaczyła kogoś idącego tym samym korytarzem.

Jej serce przestało bić. To był on.

Sergei. Jego grube, faliste włosy były idealnie ułożone. Miał na sobie tym razem czerwony, atlasowy surdut, białe

bryczesy i błyszczące, czarne buty. Podszedł do niej szybko i zrównał tempo. Patrzył wprost przed siebie, jakby nie chcąc trudzić się zauważeniem jej, czy też przyznać, że byli jedynymi osobami w tym wielkim korytarzu. Wydawał się pozbawiony jakichkolwiek manier i przyzwoitości, aby choć odwrócić się i przywitać. Czy był aż tak arogancki, że oczekiwał od niej, żeby to *ona* pierwsza *go* powitała?

Przełknęła ślinę. Z tak bliska, w tym świetle, stojąc tuż obok niej, Sergei był jeszcze bardziej zachwycający, niż go sobie zapamiętała. Zorientowała się, że jego nagłe pojawienie się przyprawiło ją o rozstrój nerwowy i ciężko było jej zebrać myśli.

- Cześć – powiedziała w końcu.

Zerknął na nią.

- Jak sądzę, przyszedłeś na mój koncert – oznajmił bez cienia uśmiechu, patrząc w inną stronę.

Polly zająknęła się, nie będąc pewną, jak zareagować.

- Hm... Tak, zmierzałam w tym kierunku.

Uśmiechnął się znacząco, jakby złapał ją na kłamstwie.

- Dość wcześnie, nieprawdaż? – uciął krótko.

Zaczęła główkować w poszukiwaniu jakiejś odpowiedzi, lecz ta się nie pojawiła.

- Oczywiście, że tak. Nie chcesz przegapić choćby jednej nuty, prawda? – zapytał.

I znów Polly nie była pewna, co odpowiedzieć. W jakiś sposób sprawiało, że denerwowała się i była spięta, kiedy tylko usłyszała jedno jego słowo.

- W porządku, nie winię ciebie – powiedział. – Sam nie chciałbym przegapić swojego występu.

Polly odchrząknęła. – Jesteś... bardzo utalentowanym śpiewakiem – powiedziała.

- Jestem wokalistą – poprawił ją. - Śpiewacy są wszędzie. Wokaliści zaś to rzadkość. I tak, wiem już o tym.

W Polly wszystko się zagotowało. Nie cierpiała być poprawianą. I nienawidziła jego zarozumiałstwa. Właściwie chciała odwrócić się po prostu i odejść, zapomnieć o tym.

Ale też jakiejs części jej osobowości, której nie potrafiła zrozumieć, Sergei wydawał się bardzo pociągający, przyciągał ją niczym magnes. Zastanawiała się, dlaczego? Nigdy w całym życiu nie pozwoliła, by ktokolwiek źle ją traktował. To, że nie potrafiła stanąć w swojej obronie, zaniepokoiło ją bardziej, niż cokolwiek innego.

- Skąd jesteś? – spytała. – Jak długo będziesz tu jeszcze?

- Tak długo, jak zechcę – odparł. – Nie narzucam sobie czasowych granic. A dlaczego pytasz? Wolałabyś zobaczyć, jak odjeżdżam? – zapytał, spoglądając w jej stronę ciemnymi oczyma z pogardą.

Zamiast jednak tej pogardy Polly zauważyła jedynie, jak słońce odbiło się od jego oczu, kiedy na nią spojrział. Dzięki temu wyglądał tylko jeszcze atrakcyjniej.

- Nie – zająknęła się Polly. – Ja... hm... nie powiedziałam nic takiego. Po prostu byłam ciekawa.

- Tutejsi ludzie są tacy trywialni – powiedział. – Tylko nieliczni są w stanie docenić moje talenty. Zaczynam myśleć, że tracę tu swój czas. Wkrótce podążę dalej.

Oboje skręcili w kolejny korytarz i zaczęli zbliżać się do miejsca koncertu.

- Wydajesz się jedną z tych, co je doceniają – powiedział. – Dobrze ci to wróży.

Idąc razem z nim, spojrzała na niego, ale on wciąż patrzył gdzie indziej. Czy tak wyglądała jego wersja prawienia komplementów? Przyjęła, że tak właśnie było i poczuła, jakby usłyszała od niego pochlebstwo. Może jednak ją polubił? Może po prostu nie radził sobie w towarzystwie.

Dotarli do masywnych drzwi i w tym momencie czekający tam służby otworzyli je przed nimi. Nie były to drzwi do głównego pomieszczenia, ale boczne, wiodące za kulisy. Kiedy się otworzyły, Polly ujrzała niewielką garderobę z

toaletką pośrodku, przed którą stało wielkie, białe-złote krzesło.

Polly zatrzymała się, gotowa zawrócić.

Była zaskoczona, kiedy dotknął jej dłoni. Spuściła wzrok i zobaczyła, że Sergei trzymał ją za rękę.

- Dlaczego odchodzisz? – zapytał, patrząc tym razem wprost na nią. Wpatrywał się w nią z taką intensywnością, jakiej jeszcze w życiu nie doświadczyła.

- Cóż – zaczęła, z trudem wiążąc myśli. – Nie wiedziałam... hm...

- Wejdz do środka. Możesz skorzystać z przywileju i popatrzeć, jak się przygotowuję.

Puścił ją, odwrócił się do niej plecami i wkroczył dumnie do swej garderoby.

Polly nie wiedziała, co robić. Racjonalna część jej osobowości krzyczała, żeby zawróciła i odeszła, lecz jakaś inna część po prostu nie potrafiła pozwolić jej na to. Chciała jedynie sprawdzić, dokąd to wszystko ją zaprowadzi. I musiała zrozumieć, dla własnego dobra, co takiego zmuszało ją do pozostawiania w towarzystwie osoby, która traktowała ją w ten sposób.

Niczym w transie, zdała sobie sprawę, że weszła za nim do środka i poczuła, jak wielkie dwuskrzydłowe drzwi zamknęły się za nią.

Sergei usiadł na krześle, spoglądając na siebie w wielkim lustrze. Nie było tam jego odbicia, ale natychmiast dwóch służących zajęło się pudrowaniem jego twarzy i układaniem jego i tak już idealnej fryzury. Podniósł podbródek i uśmiechnął się. Polly nie widziała jeszcze nikogo tak zakochanego w sobie.

Ponieważ ją ignorował, Polly poczuła się jak idiotka, stojąc tak i patrząc, jak się przygotowuje. Zastanawiała się, po co ją tu zaprosił. Minęło kilka minut ciszy i już miała odwrócić się i wyjść.

Nagle odezwał się:

- Powiedz mi zatem, Polly, dlaczego ci się podobam?

Polly poczuła, jak zaczerwieniła się.

- Nigdy nie mówiłam, że mi się podobasz – powiedziała.

Uśmiechnął się znacząco i spojrzał na swe odbicie w lustrze pomimo tego, że go tam nie było.

- Nie musisz nic mówić. To oczywiste.

Polly poczuła, jak zarumieniła się jeszcze bardziej. Miała już tego dość. Była gotowa wybiec, kiedy nagle Sergei pstryknął palcami i słudzy opuścili garderobę.

Polly ruszyła za nimi, gotując się do wyjścia, kiedy Sergei podbiegł do niej i chwycił jej dłoń. Tym razem przytrzymał mocno. Odwrócił Polly i kiedy drzwi zamknęły się, pozostawiając ich samych, przyciągnął do siebie.

Zmierzył ją wzrokiem, stojąc zaledwie kilka cali dalej. Potem utkwiał wzrok w jej oczach i patrzył z nierealną wręcz intensywnością. Miał takie idealne rysy twarzy, jak posąg.

- Pocałuj mnie – powiedział, sięgając rękoma jej twarzy i obejmując ją dłońmi, zaledwie kilka cali od skóry.

Polly poczuła, że się trzęsie. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była tak zażenowana. W gardle jej zaschło. Była zbyt zdenerwowana, by cokolwiek powiedzieć i nie miała pojęcia, co robić.

Wbrew sobie, zaczęła przysuwać się do niego, kiedy nagle nachylił się i pocałował mocno w usta. Z ogromną siłą. Zbita z tropu i zaskoczona, nawet nie poczuła przyjemności.

Po kilku sekundach odsunął się.

Po czym nagle, bez słowa, odwrócił się, wyminął ją szybko i wyszedł z pokoju, zatrząskując za sobą drzwi.

Polly stała tak, zupełnie sama, zaszokowana tym, co właśnie miało miejsce. I wbrew sobie zaczęła płakać.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Caitlin szła powoli z Aidenem w świetle wczesnego poranka wijącą się w lesie ścieżką. Ruth dreptała jej po piętach. Szli tak razem w ciszy przez nie wiadomo jak długą chwilę. Właściwie niepotrzebna im była żadna wymiana zdań. Jak zwykle, kiedy była w jego towarzystwie, czuła się tak, jakby wiedziała już wszystko, o czym miał jej powiedzieć.

Jednakże, rzadko wiedziała dokładnie, o czym myślał. A najbardziej chciała dowiedzieć się, czy pamiętał. Sądząc po jego spojrzeniu, wyczuła, że tak.

Aiden miał ten niebywały zwyczaj pojawiania się w najdziwniejszych momentach jej życia. Za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że stanęła na rozdrożu, kiedy nie była pewna, w którą stronę podążyć, on ni stąd ni zowąd się pojawiał. I za każdym razem sprowadzał ją z powrotem na właściwą drogę. Uświadomiła sobie, że miał rację – nie powinna zaniechać poszukiwań Tarczy, swego ojca, czy też swojej tożsamości. Kiedy jednak już go opuściła, kiedy miały miejsce inne wydarzenia, z trudem przychodziło jej jasno myśleć. Już sama jego obecność pomagała jej się skupić.

Jego obecność sprawiała również, że czuła się winna. Będąc przy nim, chciała stawać się kimś lepszym, lepszym wojownikiem; pragnęła trenować, osiągnąć najwięcej, na ile było ją stać. Pomyślała o niedokończonym treningu na Pollepel, przypomniała sobie, jak doskonale stawały się jej umiejętności. Jakaś część swojej duszy tęskniła za trenowaniem, pragnęła do tego wrócić. Obecność Aideny przywiodła jej na myśl niespełnione ambicje.

Idąc obok niego, Caitlin czuła, jak targały nią przeróżne emocje. Czy jej nie pochwalał? Był na nią wściekły za to, że nie kontynuowała poszukiwań? Ile wiedział do tej pory? Jak ją znalazł? Pod pewnymi względami czuła, jakby był jej ojcem. I była zdenerwowana, myśląc o tym, co miał jej do powiedzenia.

Wiedziała dobrze, że nie powinna inicjować rozmowy. Musiała tylko iść obok niego i trwać w ciszy. Dla Aideny zawsze liczyło się bycie, a nie rozmowa. Dostrojenie się do myśli i uczuć innej osoby, bez konieczności ich słownego wyrażania.

Zatem szanowała jego sposób bycia i po prostu szła razem z nim. Po wielu godzinach, a przynajmniej tak jej się zdawało, odniosła wrażenie, że szła sama. Zastanawiała się nad swoją przyszłością, nad tym, dokąd teraz skierować kroki i nad tym, czy Caleb wróci – nad tym wszystkim, kiedy nagle ciszę przerwał głos Aideny.

- Czy ramię cię boli? – spytał.

Caitlin spuściła wzrok, zobaczyła swoją krwawiącą rękę i przypomniała sobie wszystko.

- Tak – przyznała.

- Podejdź tu.

Zatrzymał się, a ona zbliżyła się do niego. Położył dłonie na ranie i zamknął oczy.

Kiedy zabrał rękę, z szokiem stwierdziła, że rana została całkowicie wyleczona.

Ruth zaskomlała. Aiden podniósł ją z ziemi z uśmiechem i położył dłonie na jej rannej łapie. Potem postawił ją z powrotem na ziemi, a ona odeszła bez najmniejszego utykania.

Caitlin była zdumiona.

Aiden westchnął i odwrócił się do niej.

- Miałem nadzieję, że znajdę cię gdzie indziej – powiedział.

Caitlin pomyślała o tym co powiedział. Jak zwykle słowa Aideny można było zinterpretować na wiele sposobów. Tak trudno było poznać, co naprawdę miał na myśli. Czy chodziło mu o to, że miał nadzieję, iż nie będzie walczyła? Czy o to, że nie będzie z Calebem? Albo, że będzie poszukiwać Tarczy. Przypuszczała, że chodziło mu o to ostatnie.

Zastanawiała się, jak zareagować.

- Przykro mi – powiedziała. – Nie mogłam kontynuować poszukiwań.

Nie odpowiedział. Ruszyli dalej w ciszy.

W końcu się odezwał:

- Może szukałaś przez ten cały czas.

I to również ją zastanowiło. Co tak dokładnie miał na myśli? Czy chciał przez to powiedzieć, że w zasadzie nigdy nie przestała szukać? Że szukała wewnątrz swego umysłu?

- Czasami szukamy jakiejś rzeczy – powiedział – a czasami ta rzecz szuka nas.

I znów nie była pewna, co chciał przez to powiedzieć. Ale czuła, że jego słowa miały sens. W pewnym zakresie. Czuła, jak te poszukiwania ją przytłaczały, a nawet wówczas, kiedy zdecydowała się je przerwać, nadal czuła, że gdzieś tam zawsze tkwiły w zakamarkach jej świadomości.

- To nie tak, że nie chcę jej znaleźć – powiedziała. – Chcę. I chcę pomóc. Tylko... Pragnę również wieść normalne życie. Byłam zmęczona tym wszystkim. A później... ponownie odnalazłam Caleba.

- I pomyślałaś, że tak już zostanie na zawsze – powiedział Aiden.

Caitlin odwróciła się i spojrzała na niego, szukając na jego twarzy jakiegokolwiek wskazówki. Czy wiedział, co czekało ich w przyszłości?

Zobaczyła jednak tylko to, jak powoli potrząsał głową z rozczarowania.

Poczuła się zażenowana, jakby Aiden przez cały ten czas wiedział, że to się nie uda – i że ona postąpiła głupio, sądząc, że będzie odwrotnie.

- Niektóre rzeczy są ważniejsze od wieczności – odparł.

Caitlin zaczęła rozmyślać. Czy postąpiła egoistycznie, pozostając z Calebem? Zaprzestając poszukiwań? Czy właśnie za to została teraz ukarana? Czy to wszystko, jej spotkanie z Calebem, jego odejście – czy to wszystko zostało

przesądzone? Czy wyszła na głupca, sądząc, że zdoła odmienić ich przeznaczenie?

- Niektóre rzeczy są z góry przesądzone – powiedział Aiden, czytając w jej myślach, wrywając ją z odrętwienia. – Nigdy nie zdołamy zmienić naszego przeznaczenia. Możemy próbować. Możemy przed nim uciekać. Lecz życie zawsze znajdzie sposób, by je nam zwrócić.

- A twoje, Caitlin – powiedział, kiedy w końcu wyłonili się z lasu i weszli na otwartą łąkę – jest wyjątkowe.

Caitlin podniosła wzrok i poczuła ulgę, pozostawiwszy mrok i gęsty las za sobą, będąc na otwartej przestrzeni, na łące.

Szli dalej i Caitlin wkrótce zauważyła w oddali zamek Caleba. Poczowała, jak przez moment jej serce zabiło mocniej, kiedy natchnięta mimo wszystko nadzieją pomyślała, że Caleb mógł już wrócić.

Aiden potrząsnął głową.

- Nie słuchałaś – powiedział. – Tam go nie znajdziesz.

Caitlin obróciła się ku niemu.

- Wróci? – zapytała. Zlustrowała jego twarz w oczekiwaniu na jakąkolwiek reakcję.

Była jednak całkowicie pozbawiona wyrazu, wpatrując się w horyzont wielkimi, jasnobłękitnymi oczyma.

- Pytanie, nie, czy on tu wróci po ciebie – powiedział – ale, co ty teraz zdecydujesz się zrobić. Jesteś silniejsza od niejednego mężczyzny. Jesteś silniejsza od niejednego związku. Masz misję. Przeznaczenie. I masz wolną wolę. Twoja rola nie polega na czekaniu na kogokolwiek. Masz *zadbać* o własny los. Zacząć działać.

W końcu zamilkł, odwrócił się i spojrzał na nią. Ona zaś podniosła na niego wzrok. Intensywność jego oczu, wyglądających zarówno proroczo, co nagannie, zaskoczyła ją.

- Kiedy przestanieś uciekać przed swym przeznaczeniem, Caitlin? Kiedy zaakceptujesz to, kim jesteś?

Spojrzała na niego z zastanowieniem.

- Kim jestem? – spytała. Sama nie była już pewna, kim jest.

Obrzucił ją spojrzeniem i powiedział beznamiętnym tonem:

- Wojownikiem.

Wojownikiem, pomyślała. Nie zawsze czuła się w ten sposób. Niekiedy owszem. Ale bywały dni, kiedy czuła się jak każdy inny. Miewała przebłyski odwagi, ale odnosiła wrażenie, że były to zaledwie chwile.

- Wojownika określają chwile – powiedział Aiden. – Jedna zwykła chwila może uczynić z ciebie wojownika. Wojownika określają również decyzje. Oraz odwaga. Lecz poza tym jest zwyczajny. Wojownik nie może nim być przez cały czas. Jednak *duch* wojownika jest wszechobecny.

Caitlin zaczęła o tym rozmyślać. Czuła się mile polectana tym pochlebstwem i im dłużej się nad tym zastanawiała, tym bardziej podobała się jej ta etykieta, taka tożsamość. Czuła też wiążącą się z tym odpowiedzialność.

- Musisz wybrać – powiedział Aiden.. – Możesz zostać tutaj, porzucić misję i prowadzić szczęśliwy, domowy żywot u boku Caleba. Będzie to życie zgodne z twoim sercem. Ale nie z duchem. Przybывamy na tę planetę, by wybrać między dwoma życiami; życiem serca i życiem ducha. Nasze serce potrafi przywiązać nas do spraw rodzinnych, domowych. Nasz duch jednak musi ulatywać. Musi podążać za powołaniem.

- Twoim powołaniem, Caitlin, jest odnalezienie Tarczy. Ocalenie nas wszystkich. Odszukanie ojca. A najważniejsze to odkrycie, kim naprawdę jesteś.

Caitlin wlepiła w niego wzrok, w jej głowie zaś roiło się od różnych pytań.

- Co będzie, jeśli nigdy nie odnajdę Tarczy? – zapytała.

- A jeśli Tarcza nie jest czymś, co można znaleźć? – odparł pytaniem na pytanie.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Co masz na myśli?

- Zakładasz, że Tarcza jest przedmiotem.

Zdumiała się.

- Oczywiście. Czym innym mogłaby być?

Jeszcze kiedy wypowiadała to pytanie, w jej umyśle zakłębiło się z milion możliwości. Czy Tarcza była czymś innym? A jeśli nie była czymś namacalnym, to czym innym mogła być?

Lecz Aiden nie pomagał jej. Spoglądał jedynie z kamienną twarzą.

- Powiem ci tylko jedno – odezwał się w końcu. – Misją wojownika nigdy nie jest odnalezienie przedmiotu, czy wypełnienie zadania. Chodzi o samą podróż. Nie o to, co znajdziesz w jej trakcie, ale o to czym się staniesz.

Spojrzała na niego.

– Czym się stanę?

Aiden jednak odwrócił się i poszedł dalej w ciszy. Caitlin podążyła za nim aż do zamku Caleba. Drzwi były szeroko otwarte. Zajrzała do środka, jednak było oczywiste, że nie wrócił.

Stanęli we dwoje przed otwartymi drzwiami.

- Ceną, jaką płaci wojownik, jest rozstanie z rodziną. Domem. Tymi, których kochasz. To podróż, którą musi podjąć każdy wojownik. To podróż, w którą ruszasz samotnie.

- Wybór należy do ciebie. Możesz wejść teraz do środka, zostać tu i żyć szczęśliwie. Możesz też wrócić ze mną. I trenować. I wypełnić swoją misję.

Caitlin stała, rozmyślając nad tym. Z jednej strony, na myśl o porzuceniu Caleba pękało jej serce. Myśl, że mogłby wrócić do domu i jej nie zastać zasmucała ją ponad wszelką miarę. Jak i myśl o tym, że miałyby porzucić prawdopodobnie idealne życie.

Z drugiej strony czuła jednak, jak coś głęboko w niej drgnęło. Jej wojowniczy instynkt. Czuła pierwotny zew, by

ćwiczyć. Stać się tym kimś, kim miała zostać.

Stojąc tak i patrząc na Aidenę, czuła, jakby znalazła się na jednym z najważniejszych rozdroży swego życia. Czuła, jak ogromne znaczenie miał wybór, przed którym stanęła, jak bardzo i nieodwołalnie miało odmienić się jej życie już na wieki.

I co dziwne, podjęła decyzję w mgnieniu oka.

Wiedziała głęboko w swoim sercu, co musi zrobić.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Sam przemierzał tereny należące do Wersalu, próbując zebrać myśli. Szedł ścieżką spacerową wijącą się i meandrującą wśród idealnie przyciętego żywopłotu. Od kiedy spotkał Kendrę, nie był w stanie myśleć o niczym innym. Było w niej coś niezwykłego: była taka młoda, miała gładką i nieskazitelną skórę, a jej oczy w kolorze wodnego błękitu całkowicie go hipnotyzowały. Kiedy patrzyła na niego, z całą mocą spojrzenia, nie potrafił myśleć o niczym innym.

I nawet teraz, kiedy minął już cały dzień, od kiedy ją zobaczył, nadal o niczym innym nie myślał. Całkowicie go odurzyła.

Zaprowadzono go do jego pokoju i od tego czasu wciąż czekał, aż wezwie go Aiden. W międzyczasie nie wiedział co robić, poza czekaniem. Wyszedł zatem zaznajomić się z okolicą. Przystanął i przez chwilę obserwował z zainteresowaniem, jak członkowie klanu walczyli ze sobą. Podziwiał ich technikę. Przyglądając się, czuł, jak jego siła krążyła w nim, i wiedział, że był silniejszy od nich wszystkich.

Dlaczego zatem Aiden go jeszcze nie wezwał? Dlaczego kazali mu czekać tu, na uboczu?

Szedł, próbując nie stracić kierunku. Caitlin. Cofnął się w czasie, by ją znaleźć, pomóc jej. Potem pojawiła się ta cała Polly i przyprowadziła go do tego pałacu. Sam wyczuwał, że Polly i Aiden mogli być powiązani z Caitlin. Intuicja podpowiadała mu, że był tu z jakiegoś powodu, dokładnie tu, gdzie powinien być.

Mimo to, był podenerwowany. Chciał ją odszukać. Pomóc jej, jeśli będzie taka potrzeba, zwłaszcza w jej misji. Chciał znaleźć ojca. Miał przeczucie, że Aiden wiedział gdzie jest i z niecierpliwością oczekiwał wezwania. W innym przypadku nie wiedziałby nawet gdzie zacząć jej szukać.

W międzyczasie jego myślami zawładnęła Kendra i to do tego stopnia, że z trudem mógł skupić się na poszukiwaniach Caitlin. Uświadomił sobie, że zamiast tego marzył o Kendrze, o byciu z nią, o ponownym z nią spotkaniu. Rozmarzył się nawet o możliwości pozostania tutaj razem z nią. O tym, że już nie będzie szukał ani Caitlin, ani ojca.

Zbeształ się za samą tę myśl. Jak w ogóle jakaś dziewczyna mogła mieć na niego aż taki wpływ, i to tak szybko? W jaki sposób wpłynęła na niego tak bardzo, że stał się wobec niej lojalny, wybrał ją zamiast własnej rodziny? Cokolwiek to było, nie potrafił tego zrozumieć. Miał wrażenie, że kiedy był w jej pobliżu, coś o wiele silniejszego od niego, coś, czego nawet nie pojmował, trzymało go w uścisku. Przeczuwał, że to było niebezpieczne.

W jednej chwili postanowił, że nie będzie jej już szukał, nie spędzi ani chwili dłużej w jej towarzystwie. Jeśli ona spojrzy w jego stronę, on odwróci wzrok, a jeśli spróbuje z nim porozmawiać, po prostu ją zignoruje. Tylko w ten sposób można było postępować wobec kogoś takiego.

I właśnie w tym momencie, jakby los spletał mu figła, Sam podniósł wzrok i ujrzał stojącą nieopodal Kendrę. Stała jak wryty, zszokowany. Oto pojawiła się na uboczu, z dala od tłumu, niewidoczna dla wszystkich, na skraju lasu. Siedziała dumnie na koniu, spoglądając na niego z góry, luźno trzymając w dłoni wodze drugiego wierzchowca. Spojrzała na Sama pozbawionym wyrazu wzrokiem. Nie uśmiechała się.

Chociaż, przecież obdarzyła go spojrzeniem.

Wbrew sobie podszedł do niej.

- Co ty tutaj robisz? – spytał.

- Wybieram się na przejażdżkę – powiedziała. – Kobietom nie wolno tego tu robić. Przynajmniej nie w sposób, w jaki ja chciałabym jeździć. Wobec tego zabieram mojego konia, kiedy inni nie patrzą.

Sam obejrzał się i zobaczył luźnego konia u jej boku oraz jej spojrzenie wciąż utkwione w nim. Nie potrafił rozgryźć wyrazu jej twarzy; po prostu zbyt trudno było ją rozszyfrować.

Czy było to zaproszenie, by dołączył do niej? Czy też czekała, żeby sobie poszedł i zostawił ją w spokoju? A jeśli tak, to dla kogo był ten drugi koń?

- Mam nadzieję, że się nie narzucam – powiedział, próbując ją nakłonić do rozmowy. Nie chciałem cię wystraszyć.

- Jeszcze nikomu się to nie udało – powiedziała Kendra. Spojrzała na niego, po czym odwróciła wzrok, jakby zobaczyła coś na horyzoncie.

- Jadę na popołudniową przejażdżkę – oznajmiła, po czym odwróciła się nagle do niego tyłem, by odjechać. Jednocześnie wypuściła z rąk wodze drugiego wierzchowca. – Możesz do mnie dołączyć – jeśli oczywiście się nie boisz – dodała, dalej odwrócona do niego, i znikła w lesie.

Sam spojrzał na konia. Nie mógł w to uwierzyć. Czy ona zaprosiła go właśnie na przejażdżkę? Czy to była randka? Z pewnością miała dziwny sposób wyrażania życzeń. Być może była po prostu zbyt dumna, lub zażenowana, żeby go poprosić.

Cokolwiek to było, nie zamierzał przegapić okazji. Wbrew swemu nowemu postanowieniu, kiedy bowiem znalazł się przy niej, całą jego determinację diabli wzięli. Musiał być przy niej. Było to coś fizycznego, coś, czego nie mógłby powstrzymać, nawet gdyby chciał.

Podbiegł do konia, wskoczył na niego i ubódł zwierzę, które ruszyło kłusem szerokim, leśnym szlakiem.

*

Miał wrażenie, że jechali już od kilku godzin kiedy Kendra w końcu się zatrzymała. Sam przekonał się, że nadążenie za nią było nie lada wyzwaniem, jako że była wielce nieprzewidywalna: czasami puszczała się galopem przez niczym nieograniczone pola, bez uprzedzenia. Innymi razy jechali obok siebie kłusem, wzdłuż rwących potoków, w lesie i poza nim, po polanach i łąkach.

W końcu skręciła i pojechała wąską ścieżką pnącą się łagodnie na wzgórce pokryte polami pełnymi kwiatów. Znalazła miejsce pod wiekowym drzewem, zsiadła z konia i

przywiązała go do gałęzi. Sam zrobił to samo, a kiedy dostrzegł przetarte ślady na gałęzi, odgadł, że Kendra była tu już wiele razy przedtem.

Ignorując go, odwróciła się tyłem i poszła do szemrzącego strumienia nieopodal. Uklękła i spryskała twarz zimną wodą. Wtarła ją we włosy, które rozwinęła z koka i pozwoliła, by opadły wokół jej ramion.

Sam obserwował urzeczony, jak słońce prześwitywało przez jej włosy. Nigdy jeszcze nie widział nikogo tak pięknego. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście, że akurat był tu w tej chwili. Dlaczego wybrała jego? Nie zaprosiła go zbyt wymownie, ale też nie powiedziała mu wprost, że *nie* ma do niej dołączyć. I choć świetnie jej szło ignorowanie go, choć odezwała się do niego zaledwie jednym słowem przez całe popołudnie, wyczuwał, że gdzieś w głębi duszy lubiła być z nim. Zastanawiał się jedynie, czy to dlatego, że jakiegokolwiek towarzystwo było jej miłsze, niż żadne, czy też rzeczywiście zależało jej na nim.

Odwróciła się do niego.

- Chciałabym usiąść na trawie – powiedziała. – W siodle jest koc.

Najpierw nie zrozumiał, o co jej chodziło; ale potem obejrzał się na jej konia i zobaczył duży, jedwabny rulon spoczywający w sakwie. Zorientował się, że oczekiwała, iż rozwinie go i rozłoży go dla niej na trawie.

Trochę go to zirytowało. Nie był jej służącym. Jednocześnie jednak pomyślał, że do takiego traktowania była przyzwyczajona i nie chciał robić z igły widły. Poza tym, naprawdę nie miał nic przeciwko. Wyjął zatem jej wielki, różowy koc i rozłożył na trawie.

Kendra podeszła i usiadła ostrożnie, wygładzając fałdy sukienki, po czym położyła się, oparłszy głowę na dłoniach i wpatrzyła w niebo.

Sam spuścił wzrok i zauważył dużo wolnego miejsca na kocu obok niej. Zaczął się zastanawiać, czy chciała, żeby do niej dołączył.

- Hm... - zaczął – mogę usiąść razem z tobą?

Zauważył, jak wzruszyła ramionami, bardzo nieznacznie, wciąż spoglądając na niebo. Ponieważ bolały go nogi od tej całej przejażdżki, zdecydował, że weźmie to za przyzwolenie.

Podszedł i usiadł na kocu obok niej, położył się na plecach i również wsparł głowę na dłoniach.

Z takiej perspektywy niebo było piękne, kryształowo błękitne, z niewielkimi białymi chmurami rozsianymi w drobny mak, przepływającymi nad ich głowami.

Leżeli tak oboje przez chwilę, która zdawała się trwać wieczność i Sam w końcu pomyślał, że powinien się odezwać. Cisza w jego mniemaniu zaczynała być nieco niezręczna.

- Niezła zabawa – powiedział. – Dzięki za przyprowadzenie mnie tutaj.

- Nie przyprowadziłam cię – odparła. – Sam się tu przyprowadziłeś.

Oburzył się. Miał już tego dość i uznał, że nadeszła pora, by się postawić.

Usiadł.

- Dobra, w takim razie idę już sobie.

Zamierzał wstać, kiedy poczuł zimną dłoń na swoim nadgarstku. Odwrócił się i zobaczył, że Kendra wpatrywała się w niego.

- Nie dramatyzuj – powiedziała. – Nie kazałam ci odejść.

Spojrzał na nią zdumiony. Najwyraźniej chciała, by został. Ale dlaczego po prostu tego nie powiedziała? Bała się? Była zbyt podenerwowana? Czy może aż tak dumna?

Wszystko w nim buntowało się - chciał odejść, wrócić na trening, odszukać Aideną i skupić się na poszukiwaniach Caitlin.

Jednakże coś, nad czym nie potrafił zapanować, zmusiło go, by pozostał na miejscu.

Powoli położył się z powrotem. Tym razem wsparł się na łokciu, odwrócił się i spojrział na nią.

Ona zaś położyła się z powrotem na plecach i wpatrzyła w niebo.

Sam nie mógł powstrzymać się od wpatrywania się w jej, niczym wyrzeźbione, rysy twarzy. Były idealne.

- Przyjeżdżam tu, w to miejsce, by wyrwać się z Wersalu – powiedziała po jakiejś chwili. – Nie ma tu żadnych ludzi. Żadnych wampirów. Nikogo, kto mógłby potem plotkować i mnie oczerniać. Odwróciła się i spojrziała na niego. – Słyszałeś, jak o mnie mówią?

Sam wzruszył ramionami. Rzeczywiście, słyszał już co nieco – plotki, szept. Ale nie chciał jej zdenerwować.

- Powiedz mi – powiedziała. – Co mówili?

- Mówią, że chcesz zostać przemieniona. I że wykorzystasz każdego, by to osiągnąć.

Kendra spojrziała na powrót w niebo i pierwszy raz tego dnia uśmiechnęła się.

- Wierzysz im?

Sam wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Nawet cię nie znam.

- Cóż, nie wierz. To tylko plotki. Obgadywanie. Jedyny sposób, by mi dogryźć. To dlatego, że jestem od nich lepsza. Wiedzą, że nigdy nie będą tacy, jak ja. Udaję zatem, że chcę być taką, jak oni.

Sam zlustrował ją wzrokiem. Nie wiedział już, w co wierzyć. Wiedział jedynie, i to na pewno, że był nią zachwycony. I czy była z nim szczerą, czy nie, nadal było mu jej szkoda.

Odwróciła się do niego, w końcu, podparła łokciem i spojrziała mu prosto w oczy. Była zaledwie kilka cali dalej i Sam poczuł, jak serce zabiło mu mocniej.

- Sądzisz, że to jedyny powód, dla którego chcę być z tobą? – spytała.

Sam wzruszył ramionami. Była tak blisko, że czuł zapach jej skóry, jej perfumy. Ledwie potrafił się skupić. Nie zaufał sobie na tyle, by coś teraz powiedzieć.

Kiedy zbliżyła się jeszcze bardziej, poczuł jak serce zaczęło walić mu mocno. Była tak blisko niego.

- Cóż, nie jest – powiedziała.

Po czym, nagle, przysunęła się jeszcze bliżej, aż ich usta zetknęły się.

I od tej chwili Sam wiedział, że był całkowicie, zupełnie stracony.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kyle stał przed Bastylią, kryjąc się w cieniu, w tej magicznej chwili, kiedy mrok ustępował przed porannym światłem. Wiedział, że o tej porze nastąpi zmiana warty i nocną zmianę wampirów zastąpi dzienna. Wiedział, że będzie to moment najbardziej odpowiedni na atak, gdyż najmniej się go będą spodziewać.

Wystarczyło mu tylko jedno niewielkie wejście. Jeden słaby, młody, bezradny i niedoświadczony wampir. Zamierzał go zdjąć i dostać się do środka. Był to decydujący, pierwszy punkt jego planu. Musiał najpierw przeprowadzić rekonesans, zanim pośle Napoleona i jego zastępy na otwartą wojnę. Musiał upewnić się, że siedem bestii nadal przebywało na dole. Musiał też znaleźć punkt zaczepienia, dzięki któremu mógłby je uwolnić.

Obserwował i czekał.

Dziwna to była budowla, ta Bastylia, okrągła, kamienna wieża, która pięła się do samego nieba. Wyglądała niemal jak latarnia w środku miasta. Nie było okien – tylko kilka żelaznych krat tu i ówdzie. Wewnątrz, głęboko pod ziemią, spoczywała siódemka najbardziej zaciekłych potworów, jakie chodziły po tej ziemi. Słyszał, że oprócz srebra, użyto również dodatkowej warstwy specjalnego metalu, by utrzymać ich w zamknięciu. Musiał dowiedzieć się, jaki dokładnie był to metal. Wówczas wiedziałby, czego było trzeba, by sobie z nim poradzić.

Zauważył, że nadarzyła się okazja i ruszył szybko przed siebie. Kiedy strażnicy zmieniali się, jeden z nich poruszał się odrobinę wolniej od pozostałych na odległym krańcu budowli. Kyle przyczaił się i zanim strażnik zdążył zareagować, uderzył, przetrącając mu kark.

Mężczyzna padł bez życia. Kyle zdążył jeszcze chwycić klucz przytroczony do jego pasa. Był to wielki, srebrny

wytrych. Kyle odwrócił się i otworzył zamek osadzony w srebrnych drzwiach. Mógłby wyważyć je kopniakiem, ale nie chciał zwracać na siebie uwagi. Wciąż znacznie przewyższali go liczebnością, a do tego nie znał rozmiarów zabezpieczeń i nie chciał ryzykować wdawaniem się w konfrontację.

Wciągnął ciało do środka, by nie odkryto go zbyt szybko i zatrzęsnał za nimi drzwi.

Odwrócił się i zlustrował otoczenie wzrokiem. Jego oczy przystosowały się po chwili do panującego tu mroku. Jedyne światło, które tu wpadało, pochodziło gdzieś wysoko z góry, z zakratowanego otworu. Budowla miała kolisty kształt również w środku. Korytarze wznosiły się i opadały stromo od samego szczytu wieży, aż do podziemi. Wszystko zbudowano z kamienia.

Kyle skierował się w dół.. Wiedział, że gdzieś tam, głęboko w czeluściach ziemi, znajdowało się miejsce ich odosobnienia.

Schodząc coraz niżej, poziom za poziomem, głębiej, niż mógłby sobie wyobrazić, setki stóp pod powierzchnię ziemi, zauważył, że schody skończyły się murem. Wiedział, że coś za nim musiało być.

Cofnął się o kilka kroków i rzucił na przeszkodę, uderzając o nią swoim ramieniem. Mur skapitulował i wokół, z wielkim hukiem, posypały się kamienie. Nie zamierzał zwracać na siebie aż takiej uwagi, ale nie miał wyboru.

Zgodnie z jego podejrzeniami, schody ciągnęły się po drugiej stronie, opadając jeszcze niżej. Ruszył biegiem, wiedząc, że nie miał czasu do stracenia.

W końcu dotarł na miejsce. W poprzek schodów ciągnęły się masywne kolumny srebrnych prętów, grubsze od wszystkich, jakie do tej pory widział. Co ważniejsze, od razu zauważył, że były pokryte jakiegoś rodzaju materiałem. Kiedy sięgnął dłonią, by ich dotknąć, poczuł palący ból, poczuł ich odpychające działanie. Ten metal był zbyt toksyczny, nawet jak dla niego.

Przyjrzał się mu uważnie, próbując odkryć, co to takiego. W końcu dotarło to do niego: tytan. Najbardziej toksyczny ze wszystkich metali dla wampirów.

Spojrzał między nimi i dostrzegł dodatkowe rzędy krat.

Nie miał już wątpliwości, że to tutaj trzymano siedem bestii.

Nagle usłyszał delikatny pomruk. Kiedy nachylił się niżej, z mroku wyłonił się długi, żółty pazur, skierowany w stronę krat. Zaraz za nim pojawiła się odrażająca twarz z długimi, pomarańczowymi kłami i ciekącą z nich śliną. Czuł jej zgniły oddech, nawet z takiej odległości. Starożytne, pierwotne istoty, siedem bestii, były zbyt szkaradne, by na nie patrzeć, nawet dla Kyle'a, który po prostu musiał odwrócić wzrok. Przez chwilę poczuł ulgę, że były w zamknięciu. Zaczął nawet zastanawiać się, czy powinien je uwolnić.

Czy nie zamierzał przypadkiem stworzyć zagrożenia, którego nawet on sam nie byłby w stanie opanować?

Ale nie miał wyboru. Te monstra były dokładnie tym, czego potrzebował, by wywołać chaos w całym mieście, by złapać i zabić Caitlin. Musiał zaryzykować.

Nie martw się, pomyślał, wrócę i cię uwolnię.

Jakby w odpowiedzi na jego myśli, pojawiła się, warcząc, pozostała szóstka.

Nagle Kyle usłyszał za sobą stukot. Obrócił się na pięcie i ujrzał kilku strażników, którzy ruszyli do ataku. Był zaskoczony, że podeszli tak blisko; byli szybsi, niż się tego spodziewał.

Zanim zdążył zareagować, poczuł, jak go podnoszą i ciskają o srebrne kraty. Poczuł ból rozrywający mu ciało. Był zszokowany, kiedy zdał sobie sprawę, jacy silni byli wampirzy strażnicy. Paryż z pewnością nie oszczędzał na zabezpieczeniu tego miejsca.

Kyle jednak nie był jakimś tam łajzą. Żył tysiące lat dłużej od większości z nich i miał w rękawie jeszcze wiele sztuczek. Przywołał swój pierwotny gniew, zdołał chwycić dwóch z

czterech nacierających na niego strażników i roztrzaskać ich głowy o siebie.

Upadli, ale w tej samej chwili pozostała dwójka skoczyła na niego, powalając go i kopiąc wielokrotnie. Był zdumiony ich szybkością i siłą. Zdołał jednak złapać oddech na wystarczająco długo, by chwycić jednego za stopę, złamać mu kostkę i cisnąć nim w drugiego strażnika.

Lecz nie spowolniło ich to zanadto. Czwórka strażników natychmiast doszła do siebie i skoczyła z powrotem na Kyle'a. Nie mógł uwierzyć, jak szybko się poruszali.

Nie chciał ryzykować dalszej walki. Nie było na to czasu. Spozregł nadarzającą się okazję, skoczył ponad nimi i popędził po schodach.

Deptali mu po piętach.

Kyle zorientował się, że im nie umknie. Skoczył zatem i uniósł się w powietrzu. Używając swych skrzydeł, wznosił się coraz wyżej i wyżej, ponad schodami, w górę szybu, zmierzając wprost ku stropowi. Wiedział, że nie może ryzykować i się zatrzymać, więc przyspieszył i zebrał się w sobie, gotując na uderzenie.

Przebił się przez kamienny strop i chwilę później był już w powietrzu, odlatując szybko w dal.

Poleciał w stronę horyzontu. Obejrzał się i zobaczył strażników stojących na dachu i obserwujących go. Na jego szczęście, nie polecili za nim. Mieli rozkaz strzec Bastylia.

Kyle był zaszokowany tym, co właśnie przeżył. Zdał sobie sprawę, że będzie potrzebował posiłków. Nie mógł się doczekać, by tam powrócić, wziąć to miejsce szturmem przy pomocy ludzi Napoleona, zburzyć je i zrównać z ziemią.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Trzymając Ruth na rękach, Caitlin leciała obok Aiden'a wysoko nad ziemią. Spojrzała w dół i dostrzegła zmieniający się krajobraz. Najpierw szybowali nad brzegiem morza i Caitlin widziała załamujące się fale, cudowne klify i plaże; później skierowali się w głąb lądu i krajobraz wypełniły rozległe wzgórza, a później lasy. Była to całkiem inna część Francji, której Caitlin nigdy jeszcze nie widziała. Nie mogła uwierzyć, jak bezkresny wydawał się ten kraj.

Caitlin czuła się rozdarta, targana mieszanymi uczuciami. Z jednej strony była szczęśliwa, mogąc być u boku Aiden'a, kogoś, kogo znała i mu ufała, kogo była pewna, że jej nie porzuci. Była podekscytowana myślą o nowym miejscu, do którego zabierał ją Aiden, o ponownym rozpoczęciu treningu i podjęciu misji. Zastanawiała się, czy zobaczy tam Polly i myśl ta dodała jej otuchy. Rozmyślała i o tym, czy Blake też tam będzie i ta myśl wywołała ściskanie w dołku. Nie była pewna, jak na to zareaguje.

Jednocześnie czuła, że serce pękało jej na myśl, iż zostawiła Caleba. Wyobrażała sobie, że wrócił do domu, do swojego pustego zamku i odkrył, że odeszła. Nigdy nie przyrzekała mu, że zostanie. Mimo to, pewnie miał nadzieję, że tak zrobi. Nie będzie wiedział, gdzie ją znaleźć. Czy były to ich ostatnie, wspólnie spędzone chwile już po wieki?

Czy porzuciła idealne życie? Gdyby poczekała kilka dni, być może wszystko między nią a Calebem uspokoiłoby się i przycichło. Czy nie opuszczała tego miejsca przedwcześnie?

Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dostała się w odmęty nieskończenie długiej fali wydarzeń; czuła, jakby oceaniczny prąd popychał ją coraz dalej i dalej, ku kolejnym wskazówkom, zabierając ją w podróż w czasie, do innych miejsc, następnych artefaktów, kolejnego klucza. Modliła się, aby to miejsce i czas okazały się kresem jej podróży, aby tym razem już na pewno odnalazła ojca i Tarczę. Wówczas, być

może, kiedy już miałyby to wszystko za sobą, mogłaby zamieszkać w jakimś jednym miejscu. Może nawet razem z Calebem. Czy jej ojciec polubiłby go? To pytanie często przychodziło jej do głowy.

Spojrzała w dół i zobaczyła, jak gęste lasy powoli ustępowały miejsca bezkresnym niwom, poprzecinanych coraz bardziej zadbanymi traktami. Niebo przejaśniło się i w oddali, na horyzoncie, Caitlin zobaczyła najwspanialszą budowlę ze wszystkich, jakie widziała w swoim życiu.

Nie była to jednak tylko jedna konstrukcja, lecz kilka – wielkich, marmurowych budynków, rozrzuconych na ogromnym, ogrodzonym terenie poprzecinanych ozdobnymi, francuskimi ogrodami, pośród których widniała ogromna fontanna. Szybując nad nimi, kołując raz za razem, nie mogła wyjść z podziwu, że to dzieło ludzkich rąk mogło być tak idealne. Cały ten kompleks wyglądał jak pałac godny samego króla.

Lecąc za Aidenem, kołując i zniżając lot, Caitlin zdała sobie sprawę, że to właśnie tutaj mieszkał jego klan. Była zaskoczona. Pollepel była wspaniała, równie cudowna, co jego wenecka wyspa. To miejsce jednak przewyższało je wszystkie. Jak przez mgłę kojarzyła budynki, zastanawiając się, czy kiedy już nie widziała ilustracji z nimi.

- Co to za miejsce? – krzyknęła, kiedy obniżyli lot jeszcze bardziej, kołując.

Zanurkowali ostro i wylądowali na drodze leżącej na skraju lasu.

W tej samej chwili, Aiden odwrócił się i spojrzał na Caitlin.

- Wersal – powiedział. – Twój nowy dom. Przynajmniej na tak długo, jak zdecydujesz się tu trenować.

Zza konia zaprzęzonego do powozu wyszedł wystrojony po królewsku sługa. Podeszedł kilka kroków w kierunku Aidena i uklonił się.

- Zapoznasz się teraz oficjalnie z pałacem – powiedział Aiden. W tej samej chwili służący podeszedł do powozu i

otworzył jego pozłacane drzwi dla Caitlin, po czym przystanął, czekając na nią.

Była zdezorientowana.

- A ty? Nie jedziesz?

- Mam ważne sprawy, którymi muszę się zająć. Pokażą ci twój pokój, a kiedy będziesz gotowa, spotkasz mnie na terenie treningowym.

To powiedziawszy, wziął rozbieg, wzniosł się w powietrze i odleciał.

Caitlin odwróciła się do służącego, który wciąż stał, trzymając otwarte drzwi powozu.

- Dziękuję – powiedziała zażenowana, że kazała na siebie czekać. – Nie musisz przytrzymywać drzwi. Nie jestem przecież członkiem rodziny królewskiej.

Odwzajemnił jej uśmiech, kiedy Caitlin wsiadała do powozu, po czym zamknął za nią drzwi.

Wnętrze było małe i przytulne. Caitlin usadowiła się wygodnie na aksamitnych poduszkach, trzymając Ruth na kolanach i wyjrzała na zewnątrz przez drobne oszklone okno. Sługa wskoczył na powóz i smagnął konie batem. Popędziły kłusem, wioząc Caitlin wypielegnowaną drogą w kierunku pałacu.

Caitlin nachyliła się i wyjrzała na zewnątrz, podobnie jak Ruth. Podziwiała idealnie przystrzyżoną trawę, bezkresne, foremne, stylizowane ogrody, którym nadano najrozmaitsze kształty, potężną, tryskającą fontannę pośrodku i równo przycięte rzędy żywopłotu. Zachwycała się idealnie płaskimi drogami, ich nieskazitelnie białą barwą, ich doskonałym stanem. Była wniebowzięta.

Kiedy zatrzymali się przed głównym wejściem, Caitlin dostrzegła kilkoro ludzi, którzy wyszli, by ją powitać. Była taka speszona. Na lśniących, marmurowych schodach cisnęły się już tłumy służących, członków rodziny królewskiej, różnych osób czekających, by ją zobaczyć. Wszyscy oni spoglądali z zaciekawieniem, gdy jej powóz dotarł na miejsce.

Kiedy się zatrzymali, służący otworzył przed nią drzwi i Caitlin powoli wysiadła.

Spojrzała na zgromadzony tłum, na ich wytworne stroje, wymyślne kapelusze i poczuła skrepowanie z powodu własnego ubioru. Spuściła wzrok i zawstydzila się, widząc na sobie prosty strój, który podarowały jej zakonnice.

Wspięła się po schodach – mogło się wydawać, że była ich setka – aż w końcu dotarła na szczyt. Tłum wpatrywał się w nią, a ona zaczęła się zastanawiać, kto dokładnie miał ją im przedstawić, oprowadzić po tym miejscu teraz, kiedy Aiden pozostawił ją samej sobie. Zlustrowała twarze w nadziei, że znajdzie wśród nich kogoś znajomego, a zwłaszcza Polly.

Nie rozpoznała jednak nikogo. I nagle poczuła się zupełnie obco.

Usłyszała czyjś chichot. Odwróciła się i zobaczyła kilka dziewcząt niesamowicie wystrojonych, szepczących i wyśmiewających się z niej, mierzących ją wzrokiem z góry na dół. Caitlin poczuła, jak się rumieni. Najwyraźniej się z niej naigrywały.

Nagle poczuła na sobie badawcze spojrzenie setek oczu i zapragnęła opuścić to miejsce jak najszybciej. Wszyscy zgromadzeni wydawali się tacy oficjalni, skryci i krytycznie nastawieni. A ona nie rozpoznawała nikogo. Zamierzała już odwrócić się i odejść, kiedy nagle ktoś wystąpił z tłumu.

Była to jedna z najpiękniejszych kobiet, jakie Caitlin kiedykolwiek widziała. Miała na sobie długą, zieloną, atłasową suknię z wysokim kołnierzem uwydatniającym jej idealne kości policzkowe. Miała ciemną karnację, wyróżniającą się na tle tych wszystkich bladych, białych twarzy, wyglądając według Caitlin na osobę pochodzenia afrykańskiego, w wieku około osiemnastu lat. Miała ogromne, szmaragdowozielone oczy i długie rzęsy, i stała wyprostowana, przybrawszy sztywną pozę, taką królewską. Caitlin pomyślała, że może była księżniczką.

Odwróciła się ku chichoczącym dziewczętom i zmarszczyła gniewnie brwi.

- Uciszcie się! – warknęła. – Nie tak traktujemy naszych gości!

Dziewczęta ucichły.

Kobieta zbliżyła się do Caitlin i dygnęła.

Caitlin zrewanżowała się jej ukłonem, próbując ze wszystkich sił wyglądać dostojnie. Była niezmiernie wdzięczna tej kobiecie za jej ingerencję, kimkolwiek była.

- To wielka przyjemność poznać ciebie, Caitlin – powiedziała. – Aiden opowiedział nam już wszystko o tobie. Jestem Lily.

Caitlin uścisnęła jej dłoń.

- Dziękuję – powiedziała.

- Poprosiłam Aidenę, abym mogła czynić honory i towarzyszyć ci, oprowadzając po naszych terenach. Czy zechcesz do mnie dołączyć?

- Z największą przyjemnością – powiedziała Caitlin, odetchnąwszy z ulgą na myśl, że opuści ten tłum.

Podeszła bliżej, wzięła Lily pod rękę i obie zaczęły oddalać się od schodów. Ruth podążyła w ich ślady.

- Nie przejmuj się nimi – wyszeptała Lily, kiedy szły wśród rozstępującego się przed nimi tłumem. – Są młodzi. I znudzeni.

Caitlin nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Naprawdę zdążyła już polubić Lily i czuła, że zostaną przyjaciółkami.

- Caitlin! – nagle odezwał się czyjś podekscytowany głos.

Caitlin rozpoznała go natychmiast.

Odwróciła się i oto ujrzała pędzącą w jej kierunku, ubraną w królewskie szaty, aczkolwiek wyglądającą całkowicie tak, jak ją zapamiętała, Polly.

Ta podbiegła do niej i uściskała ją mocno, zanim Caitlin w ogóle zdążyła zareagować.

Ruth zaskowyczała nerwowo, aż Polly nachyliła się i ją również uściskała.

- Mój Boże. Nie wierzę! – powiedziała w pośpiechu. – Śniłam o tobie ostatniej nocy. To było takie dziwne. Znaczący, wiem, że nigdy wcześniej cię nie spotkałam. Przynajmniej oficjalnie. Ale w tym śnie było tak, jakbym wszystko sobie przypomniała. Pollepel, Wenecję – wszystko. Czy to naprawdę byłaś ty? Nie wierzę.

Caitlin mogła jedynie zrewanżować się uśmiechem. Była zachwycona widokiem Polly, tym bardziej, że wszystko pamiętała.

- Tak, to byłam ja. Ja, ta sama poczciwa Caitlin. Jestem taka szczęśliwa, że tu jesteś.

Polly uściskała ją kolejny raz. Sądząc po spojrzeniach wszystkich oficjeli zebranych wokół nich, wyglądało na to, że jej zachowanie było niezgodne z etykietą dworską.

- O mój Boże, to niewiarygodne – powiedziała. – Tyle mamy do nadrobienia. Muszę pokazać ci wszystko – powiedziała, chwyciwszy jej rękę, chcąc poprowadzić ją na stronę.

Caitlin stanęła i spojrzała na Lily, która wydawała się rozczarowana.

- Lily miała właśnie to zrobić – powiedziała Caitlin do Polly wyjaśniająco. – Chciałabym, żeby do nas dołączyła.

- O mój Boże, oczywiście! – powiedziała Polly. – Lily jest fantastyczna!

To powiedziawszy, wzięła pod rękę Lily i Caitlin z drugiej strony, praktycznie odciągając obydwie z tłumu

Ruszyły w kierunku ogromnego, marmurowego wejścia do pałacu. Caitlin jeszcze nigdy nie była w tak wspaniałym miejscu. Wszystko zbudowano w ogromnej skali, z przepychem i wielką dbałością o szczegóły. Wszędzie, gdzie nie spojrzała, widziała świeżo ścięte kwiaty. Podłogi były usłane pięknymi chodnikami. Na ścianach wisały rozliczne makaty, arrasy, olejne malowidła. Zauważyła też rzadkie porcelanowe wazy.

Jakby tego było mało, wszędzie wisały ogromne, kryształowe żyrandole, których światło odbijało się w

dziesiątkach ozdobnych luster. Promienie słoneczne wpadały do środka przez rząd okien większych, niż kiedykolwiek widziała. Szły we trójkę korytarzem tak długim, że zaczęły boleć ją nogi – a i tak jego końca nie było widać.

Polly nie przestawała mówić przez ten cały czas. Caitlin nie widziała jej jeszcze tak podekscytowanej. Mówiła i mówiła, ledwie zaczerpnąwszy tchu, wprowadzając Caitlin we wszystkie szczegóły na temat pałacu, Aideny, treningów, królewskiej rodziny, miejscowych plotek, Marii Antoniny – a przede wszystkim, obiektu jej ostatnich westchnień. Nie chciała podać jego imienia. Powiedziała jedynie, że był śpiewakiem. Wokalistą.

- *Musisz go poznać* – powiedziała Polly, chwytając ją za nadgarstek z rozgorączkowania. – Mój Boże, jest niewiarygodny. Znaczący, na początku był nieco opryskliwy, ale tak naprawdę nie robił tego naumyślnie. Po prostu w ten sposób rozgrzewa się przed występem. Wiecie, co mam na myśli? Nie mogę przestać o nim myśleć. Naprawdę się w nim zakochałam!

Caitlin przyjrzała się twarzy Polly i nie mogła w to uwierzyć. Nigdy jeszcze nie widziała Polly tak bardzo podekscytowanej. Cieszyło ją jej szczęście. Choć, usłyszawszy opis tego gościa, trochę się zaniepokoiła. Nieco opryskliwy? Nikt nie powinien być wobec Polly opryskliwy, pomyślała Caitlin. Poczwała, że musi koniecznie sprawdzić tego gościa dla swojego spokoju, przekonać się, że rzeczywiście będzie dla Polly odpowiedni. Zwłaszcza, że Polly zdawała się być tak bardzo w nim zakochana.

- Tak się cieszę, że jesteś szczęśliwa – powiedziała Caitlin. – Tylko bądź ostrożna. Postępuj powoli. Upewnij się, że cię dobrze traktuje. Zasługujesz na to.

- Oczywiście, że mnie dobrze traktuje, dlaczegożby nie? – wypaliła Polly, przyjmując nastroszoną pozę.

Caitlin była wstrząśnięta. Polly nigdy jeszcze na nią nie warknęła, odkąd się znały. Wyczuła, że Polly się zmieniła – że ten facet, ten śpiewak, wywierał na nią jakiś dziwny wpływ. I zmartwiła się jeszcze bardziej.

- Mówię tylko – powiedziała łagodnym tonem, próbując wycofać to, co powiedziała – że zasługujesz na najlepsze.

Na te słowa Polly jakby złagodniała. Spojrzała na zegar. – O mój Boże! – wykrzyknęła nagle z szeroko otwartymi oczyma. – Prawie się spóźniłam. Ma kolejny występ w odległym krańcu pałacu. Muszę iść!

To powiedziawszy, popędziła korytarzem.

Caitlin zatrzymała się skonsternowana, obserwując jak Polly odchodzi. Nigdy jeszcze nie widziała jej taką. Nie mogła uwierzyć, że Polly potrafiła ot tak sobie pójść, i to tak krótko po ich spotkaniu. Wyglądało na to, że była pod pełną kontrolą tego osobnika. Caitlin miała złe przeczucie.

- Czy ona zawsze taka była? – Caitlin spytała Lily.

Lily potrząsnęła głową.

- Nie. Jest taka, od kiedy go poznała. Moim zdaniem on też jest nieźle stuknięty. Strasznie zarozumiały.

Caitlin czuła, że Lily miała rację. Że Polly była pod urokiem mężczyzny, który nie był dla niej odpowiedni. Przypomniała sobie te wszystkie momenty, kiedy musiała pilnować przyjaciółek umawiających się z kretynami, podczas gdy one zbytnio bujały w obłokach. Z bólem patrzyła, jak przechodziły przez to, zwłaszcza kiedy nie mogła nic poradzić. Za każdym razem, kiedy próbowała im pomóc, doradzić, nie chciały jej słuchać i nieuchronnie obracało się to przeciw ich przyjaźni.

- Takiej Polly nie znam – powiedziała Caitlin.

- Ja również – powiedziała Lily.

Caitlin westchnęła. Lily chwyciła ją pod rękę i razem ruszyły dalej korytarzem, z Ruth idącą w ich ślady.

Caitlin tęskniła za Polly, ale równie przyjemnie było iść dalej z Lily w spokoju i ciszy. Polly czasami potrafiła być nieco przytłaczająca.

W towarzystwie Lily natomiast Caitlin odczuwała kompletny spokój.

- Więc ty i Polly znacie się od dłuższego czasu? – zapytała Lily.

- Od stuleci – powiedziała Caitlin i natychmiast zdała sobie sprawę, jak dziwnie musiało to zabrzmieć dla człowieka. Była ciekawa, czy Lily nie uzna jej za wariatkę.

Lecz Lily skinęła głową, widocznie się tym nie przejąwszy.

- Nie martw się – powiedziała. – Wiem o was wszystko. Całe życie mieszkałam tu z wami. Nic nie jest w stanie mnie zaskoczyć.

- Więc spędziłaś tu całe swoje życie? – spytała Caitlin.

Lily skinęła głową.

- Jestem członkiem królewskiej rodziny. Dalszą krewną Marii. Zaadoptowaną, gdybyś się zastanawiała. Ci ludzie z pewnością nie powiliby takiego afrykańskiego dziecka, jak ja – powiedziała Lily i wybuchnęła śmiechem. Miała taki ciepły i zaraźliwy śmiech. – Moi rodzeni rodzice pochodzą z Kenii. Ale umarli, kiedy byłam niemowlęciem i zostałam adoptowana przez jednego z członków rodziny królewskiej podczas ich afrykańskich wypraw. I oto jestem. Członkini królewskiej rodziny. Co za ironia!

- Nie, wcale nie sędzę, żeby to była ironia – powiedziała Caitlin poważnym tonem. – W zasadzie wydajesz się tu jedyną osobą z prawdziwą klasą.

Caitlin zauważyła, jak wyraz twarzy Lily się zmienił. Na jej twarzy malowała się teraz wdzięczność. Dokładnie w tej chwili Caitlin zyskała pewność, że właśnie zdobyła dozoną przyjaciółkę.

- To najmiłsze, co usłyszałam od kogokolwiek w tym miejscu – powiedziała. – Wszyscy tutaj tylko obmawiają jedni drugich i plotkują o sobie nawzajem. Ty jesteś inna.

Wyszły pałacowym tylnym wyjściem po kilku marmurowych schodach i poszły dalej wspaniałymi ogrodami Wersalu.

- Lepiej przyspiesz kroku, dziewczyno – powiedziała Lily.
– Mamy wiele mil do przejścia, jeśli chcesz zobaczyć całe to miejsce.

Szły przez zdawałoby się wieczność, mijając ogród za ogrodem, a Lily pokazywała jej wszystkie różnorakie budowle. Obeszły dookoła wielki staw i Lily wskazała na prywatną rezydencję Marii.

- Przynajmniej jest fajna – powiedziała Lily. – Wydaje mnóstwo przyjęć. Zawsze dzieje się tu coś ciekawego. Problemem są ludzie z jej otoczenia. Oczywiście, Maria jest jedną z was. A to ma tutaj duże znaczenie: kto jest wampirem, a kto człowiekiem. Wszyscy ludzie tu żyjący pragną zostać wampirami. Lecz wampiry nigdy ich nie przemienią. Zatem żyjemy razem w pewnego rodzaju harmonii. Wampiry dbają o nasze bezpieczeństwo, chronią to miejsce przed ewentualnym atakiem, a my zapewniamy im miejsce do życia. Strzeżemy pałacu za dnia, a oni w nocy. Jak do tej pory to się sprawdza. Jednak przez te wszystkie lata zdarzyło się kilka niemiłych przygód.

- Co masz na myśli? – spytała Caitlin.

- Kiedy jakiś człowiek zakocha się w wampirze, albo na odwrót. Ludzie, którzy prawie zostali przemienieni. Według Aideny to niedopuszczalne. Jeśli coś takiego ma miejsce, osoby te muszą stąd odejść. To zawsze było źródłem wszelkich zadrażeń. Możemy być przyjaciółmi, lecz nie wolno nam przekroczyć tej linii. Mi to odpowiada. I tak wszyscy faceci, którzy mi się podobają, są ludźmi. Jednak nie dotyczy to wszystkich moich przyjaciółek. Niektóre z nich upatrzyły sobie wampira i nie odpuszczają, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Caitlin pomyślała o tym, przypomniała sobie, kiedy była człowiekiem i już wiedziała, jak musiały się czuć.

- W każdym razie, jedyne co twoi pobratymcy przez cały czas robią, to trenowanie. Spędzają całe dni na terenach przeznaczonych do ćwiczeń. Codziennie mają jakąś nową broń do wypróbowania, albo doskonałą jakieś nowe umiejętności. Fajnie się to ogląda. Gromadzimy się i obserwujemy, jak

stajecie do walki. To prawdopodobnie najwspanialsza rozrywka w okolicy.

Zeszły po kilku zarośniętych trawą schodkach, pokonały kolejny foremny dziedziniec i podeszły do niskiego, marmurowego budynku, położonego na uboczu.

- To tutaj mieszkanie – powiedziała Lily. – Ufam, że widziałaś już gorsze warunki?

Caitlin była zdumiona. Budynek wyglądem przypominał miniaturowy pałac. Nie mogła uwierzyć w to, że to tutaj się zatrzyma. Wszędzie wokół na polach dostrzegała dziesiątki trenujących wampirów, walczących ze sobą na bambusowe miecze, których stukot był słyszalny na wiele jardów.

Nagle poczuła ukłucie niepokoju, kiedy przyszło jej na myśl, że Blake mógł być wśród nich. Zamierzała zapytać o to Lily, ale obawiała się odpowiedzi. Było to ostatnią rzeczą, z jaką chciałaby się teraz mierzyć. Już i tak bolało ją serce z powodu Caleba i wciąż zastanawiała się, czy podjęła słuszną decyzję, odchodząc.

Lily zatrzymała się przed drzwiami i stanęła naprzeciw Caitlin.

- Cóż, tutaj musimy się rozstać – powiedziała.

Caitlin podeszła do niej i uściskała ją.

- Dziękuję – powiedziała. – Za wszystko.

Lily odwzajemniła uścisk.

- Do zobaczenia wkrótce – powiedziała Lily. – Wszak ludzie i wampiry zawsze razem uczują. Zajmę ci miejsce obok mnie.

- Będę wdzięczna – odparła Caitlin.

*

Caitlin zlustrowała swój pokój, zaskoczona jego przepychem. Komnaty, w których do tej pory nocowała, jak ta na Pollepel, były piękne, lecz zwyczajne – średniowieczne, kamienne, niemal klasztorne. Ten pokój był ich zaprzeczeniem. Ogromy, wspaniały, bogato zdobiony,

udekorowany dywanem, draperiami, żyrandolem, lustrami, toaletką i ogromnym łóżem z baldachimem. Wszystko w tym pokoju było ogromne, przesadne, pełne przepychu.

Caitlin nie przejęła się tym szczególnie. Po tak długim okresie ustawicznej ucieczki, spaniu w najprzeróżniejszych miejscach, była wdzięczna za tę spokojną i wygodną komnatę. Z całą pewnością mogłaby przyzwyczaić się do mieszkania w pałacu. Chociaż wydawał jej się taki obcy, jakby to wszystko było snem. Przeszła przez pokój na paluszkach, jakby była w jakimś muzeum, obawiając się dotknąć błyszczącej, dębowej ramy łóża, czy też zakrywającej je, idealnie wygładzonej jedwabnej bielizny pościelowej.

Ruth jednak nie miała takich skrupułów. Merdała wesoło ogonem, biegając po całym pomieszczeniu i obwąchując w nim wszystko.

Caitlin podeszła do ogromnej komody stojącej w rogu. Miała błyszczący, biały, marmurowy blat oraz złożone szuflady. Na niej leżały rozłożone już zestawy ubrań. Nie mogła uwierzyć. Każdy strój był piękniejszy, bardziej ekstrawagancki od poprzedniego. Był tam długi, oficjalny strój z czarnego jedwabiu; była też wersja stroju codziennego typowa dla Wersalu, która składała się z nieco krótszej sukni, która mimo wszystko wyglądała według Caitlin oficjalnie, w jasnoniebieskim kolorze z żółtymi guzikami.

Były też różnego rodzaju kapelusze. Obok nich spoczywało coś, co wyglądało na strój treningowy. Został uszyty z materiału, którego nigdy wcześniej nie widziała, jakby z cienkiej skóry, cały w czerni. Wyglądał jak obcisły strój bitewny, usztywniony, składający się z długich spodni i koszulki. Caitlin rozpoznała go. Był to ćwiczebny strój klanu Aiden. Był lekki i wytrzymały. Pozwalał toczyć walkę i jednocześnie, dzięki błyszczącej czarnej kurcie i wysokiemu kołnierzowi, wyglądał elegancko.

Natychmiast zrzuciła z siebie brudne ubranie i już miała zacząć się przebierać, kiedy w rogu komnaty dostrzegła wytworną wannę. Była już wypełniona wodą, a dzięki unoszącej się nad nią parze zorientowała się, że była

podgrzana. Wewnątrz pływały bąbelki, a dookoła leżały różne mydła.

Zasłoniła kotary swego skapanego w słonecznym świetle pokoju, podeszła do wanny i powoli weszła do środka, naga. Poczowała niewysłowioną przyjemność z zanurzenia się w parującej, gorącej wodzie, i rozluźnienia wszystkich mięśni. Nigdy jeszcze aż tak tego nie ceniła.

Odchyliła się, zamknęła oczy i odetchnęła. W jej umyśle natychmiast pojawiły się dziesiątki obrazów. Próbowwała je powstrzymać, ale daremnie. Ujrzała twarz Caleba, to, jak wyglądał o poranku, kiedy siedzieli razem na tarasie. Zobaczyła, jak się śmiał, jadąc z nią konno po plaży. Widziała, jak razem szybowali, opadali i gwałtownie zmieniali kierunek. Zobaczyła go też na szczycie wzgórza, piękno i spokój malujące się na jego twarzy tuż przed tym, jak wylądował przy nich sokół.

Próbowwała wyrzucić ten obraz z myśli. Zapomnieć o tej chwili, kiedy wszystko dla niej się zmieniło.

Siłą woli zmusiła się, by pomyśleć o czymś innym. Pomyślała o Aidenie. O wspólnym spacerze przez las tamtego poranka. O tym, co powiedział. *A jeśli Tarcza nie jest czymś, co można znaleźć? Jeśli jest czymś, co odnajduje ciebie? Jeśli chodzi tu o to, czym się stajesz?*

Otworzyła oczy i, myśląc wciąż o tym, wpatrywała się w sufit. Co miał na myśli, mówiąc jej o tym? Czym dokładnie się stawała?

Obejrzała się na stolik, na którym położyła zwój od ojca. Leżał tam w pozłaczonym puzderku, jakby kusząc, by go przeczytała. Zastanawiała się, o czym do niej napisał. Rozważała, czy powinna go teraz otworzyć. Jakaś częścią duszy rozpaczliwie pragnęła to zrobić. Z drugiej strony, wiedziała, że gdyby to zrobiła, i gdyby kryła się tam wskazówka, nie miałaby wyboru. Musiałaby za nią podążyć. A nie chciała tak szybko opuszczać tego dopiero co poznanego miejsca. Była tu szczęśliwa. I musiała potrenować.

Jednak jej ciekawość zaczęła brać górę. Powoli wstała z wanny cała w mydlanych bańkach, owinęła się ogromnym

kapielowym ręcznikiem i boszo przeszła po marmurowej posadzce. Sięgnęła po puderko i podniosła je. Potrzymała wyżej, przyglądając się i czując emanującą z niego energię.

Swymi wyostrzonymi zmysłami zdołała pojąć jego ogromną moc. Przez jej dłonie przebiegł prąd. Była bliska otworzenia go.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi. Szybko odłożyła zwój, zawiązała ciasniej ręcznik wokół siebie i przeszła przez pokój. Odsunęła zasuwkę i wyjrzała na zewnątrz. Zobaczyła parę wpatrujących się w nią błękitnych oczu, uwydatniających piegowatą twarz, jasne, rude włosy, duże uszy i wielki uśmiech. Była zaskoczona. To Patrick.

- Caitlin? Jesteś już gotowa? – rozpoznała ten głos. Należał zdecydowanie do niego.

- Gotowa na co? – zawołała skonsternowana.

- Przysłał mnie Aiden. Czas na ćwiczenia. Chodźmy już. Spóźnimy się!

- Jedną chwilę! – krzyknęła.

Przeszła przez pokój, wytarła się i szybko nałożyła strój treningowy. Zaczesała włosy do tyłu, spięła je w kok, a resztę wcisnęła za kołnierz, by były bezpieczne w trakcie walki.

Przemierzyła pokój, z Ruth u boku, i otworzyła drzwi.

Przed nią stał Patrick, odwrócony plecami. Obrócił się szybko na pięcie i wyszczerzył się w ogromnym, chłopięcym uśmiechu.

Caitlin nie zdołała powstrzymać własnego. Miał coś takiego w sobie, chłopięcego i gamoniowatego, co zawsze wywoływało u niej uśmiech.

- Boże, ile wam dziewczętom zajmują te przygotowania! – powiedział z uśmiechem.

Caitlin wyszła razem z Ruth z pokoju i ruszyła za nim, kierując się na plac ćwiczeń.

Kiedy szli, Patrick wcisnął jej do dłoni bambusowy miecz. Uwielbiała to uczucie. Przesunęła dłonią po jego rękojeści.

- Jestem Caitlin – powiedziała, nie będąc pewną, czy ją kojarzył.

Zaśmiał się.

- Sądzisz, że nie wiem? – spytał. – Wszyscy już o tobie mówią. Chcą zobaczyć, na co cię stać!

Minęli róg, przeszli przez foremny ogród i ujrzeli przed sobą, na otwartym terenie, dziesiątki wampirów Aideny. Stali idealnie ustawieni wzdłuż ogromnej areny, podczas gdy dwóch z nich walczyło po środku. W oddali na marmurowych schodach usadowił się tłumek złożony z członków rodziny królewskiej i innych gapiów i obserwował rozgrywającą się scenę.

Stukot bambusowych mieczy niósł się echem w powietrzu.

- Słyszałem, że jesteś w tym całkiem dobra – powiedział Patrick. – Ale z pewnością nie na tyle, by mi dorównać – dodał i puścił do niej oko.

Przyspieszył kroku, więc ona również i wkrótce stali już z innymi. Stanęli na uboczu i Caitlin zaczęła obserwować walczące ze sobą wampiry.

I nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła. Byli to Taylor i Tyler. Te bliźnięta. Mimo stuleci, oto pojawiły się znowu, wciąż walcząc ze sobą. Nagle Tyler zrobił wypad, ale Taylor użyła swych skrzydeł i przeleciała tuż nad jego głową. W tym samym momencie cięła go mocno po plecach swym bambusowym mieczem.

Tłum zawył.

- To niesprawiedliwe! – krzyknął Tyler do Aideny, który obserwował wszystko cierpliwie. – Użyła skrzydeł!

Aiden wystąpił na przód.

- Dobrze o tym wiesz, Taylor – powiedział.

- Raczej skoczyłam, niż pofrunęłam! – odparła.

Aiden potrząsnął głową powoli.

- Zdyskwalifikowana.

Przygnębiona Taylor zeszła na stronę.

- Caitlin! – wrzasnął Aiden.

Wszystkie oczy skierowały się na nią, a ona poczuła jak rumieni się z zażenowania.

- Twoja kolej! – krzyknął.

Kiedy Taylor zeszła z pola, zrobiło się na nim miejsce. Stał tam Tyler i czekał na swego następnego przeciwnika.

Podeszła powoli, czując na sobie spojrzenia i zmierzyła wzrokiem Tylera. Mocno zacisnęła palce na rękojeści, której ciężar dodał jej nieco otuchy.

Kiedy stanęła naprzeciw Tylera, około dziesięć stóp dalej, zlustrowała go wzrokiem. Wyglądał dokładnie tak, jak go zapamiętała. I jeśli dobrze pamiętała, był szybki i wolał uderzać, dźgając aniżeli atakować z zamachu. Przejawiał również tendencję do powalania przeciwnika na ziemię. Zajrzała mu w oczy i dostrzegła mieszankę figlarności i pewności siebie. Widziała po jego spojrzeniu, że spodziewał się łatwej wygranej.

Ruszył z miejsca. Skoczył wprost na nią ze swoim mieczem i gdyby mu się to udało, dźgnąłby ją mocno w brzuch.

Na szczęście zadziałał jej refleks. W ostatniej sekundzie zrobiła unik, schodząc w bok i Tyler przeleciał obok niej. Ale chybił jedynie o włos. Caitlin była zaskoczona jego szybkością. Skupiła się. Musiała zaatakować.

Preferując pozycję obronną, pozwoliła, by natarł na nią ponownie. Tym razem uderzył z góry, celując dokładnie w łopatki. Chwyciła swój miecz oburącz i uniosła nad głowę, blokując w ten sposób uderzenie. Zwarta w pojedynku na miecze, ledwie kilka cali od niego, Caitlin widziała, jak się pocił, jak stękał, próbując opuścić miecz, przełamać jej opór, przewyciężyć.

Zamiast walczyć z jego siłą, która była znaczna, Caitlin postanowiła wykorzystać ją przeciw niemu. Odchyliła się nagle do tyłu, robiąc unik i pozwalając, by jego miecz opadł i wylądował na jej łopatkach.

I zauważyła swoją szansę. Kopnęła go mocno, frontalnie, wprost w splot słoneczny. Mogła kopnąć go niżej, ale pomyślała, że byłoby to niesprawiedliwe.

Mimo to, jej kopnięcie wyrządziło znaczące szkody. Opadł na kolana, pozbawiony tchu, najwyraźniej nie spodziewając się tego. Caitlin stanęła nad nim z czubkiem miecza przyłożonym do jego odsłoniętego gardła. Nie musiała już nic więcej robić. Niewątpliwie to ona była zwyciężcą.

Wśród członków klanu odezwały się przytłumione odgłosy aprobaty. Tyler zaś, zawstydzony, wstał i zszedł z pola bitwy, utykając.

- Kto stanie z nią do walki? – zawołał Aiden.

W grupie na krótką chwilę zaległa cisza. Jakoś nikomu się nie spieszyło.

W końcu odezwał się czyjś głos.

- Ja to zrobię!

Caitlin obejrzała się i ze zdumieniem rozpoznała jego właściciela. Był nim Cain. Tylko, że teraz miał ogoloną głowę i wyglądał o wiele podłej i jakby był większy, niż go zapamiętała.

Jeśli w ogóle ją pamiętał, to z pewnością nie było mu do śmiechu. W jego oczach dostrzegła złośliwość i chłód, których nie pamiętała. Miał na sobie skróconą wersję ich stroju, a jego mięśnie przeżyły się pod skórą. Wyglądał na zahartowanego wojownika.

W dłoniach trzymał dwa bambusowe miecze – długi i krótki. Przy pasie miał też kilka innych rodzajów broni. Ewidentnie było to niesprawiedliwe. Miał nad nią dużą przewagę. Powinna mieć szansę walczyć taką samą bronią.

Zerknęła oburzona na Aidenę, lecz ten odwrócił wzrok obojętnie. Wiedział, że nie dorównywała przeciwnikowi posiadaną bronią, ale najwidoczniej właśnie tego chciał.

Nie miała dużo czasu do namysłu, gdyż Cain rzucił się do boju. Chwycił coś przytroczonego do pasa, w mgnieniu oka odciągnął w tył i cisnął w jej kierunku.

Zaskoczył ją tym, ale jeszcze bardziej zdumiała ją jej własna reakcja. W jakiś sposób, korzystając ze zmysłu, o którego posiadanie nawet siebie nie podejrzewała, zdołała podnieść miecz i opuścić go, odrzucając na bok lecący w powietrzu obiekt, zanim trafił ją w głowę. Spojrzała w dół i uświadomiła sobie, że wystrzelił do niej z procy czymś, co przypominało utwardzoną żywicę. Była zszokowana nie tyle jego szybkością, co użytym podstępem. Rozpoczął walkę ciosem poniżej pasa.

Natarł wprost na nią z grymasem na twarzy. Skoczył w powietrze i wymierzył obiema stopami dokładnie w klatkę piersiową Caitlin. W ostatniej sekundzie zdołała zmylić jego kopnięcie – ale nie uniknęła uderzenia. Uświadomiła sobie za późno, że jego stopy miały tylko odwrócić jej uwagę. W tej samej chwili zamachnął się swym długim mieczem i uderzył ją mocno w biodro. Poczowała piekący ból, który rozlał się po całym ciele.

Odwróciła się na pięcie, gotowa zmierzyć się z nim ponownie. Tyle tylko, że teraz była już wściekła.

Pomyślała, że stosował jedynie ciosy poniżej pasa. Nie miał odwagi stanąć naprzeciw niej i zmierzyć się z nią w bezpośredniej walce. Czowała, jak ta zniewaga wzburzyła w niej krew i zanim zdążyła się zorientować, jej żyły wypełnił ogień. Nie zamierzała czekać, aż zaatakuje ponownie.

Natarła na niego. Skoczyła w powietrze, zamierzając zrewanżować się kopniakiem. Zrobił unik, tak jak przewidziała. W tej samej chwili obróciła się w powietrzu i zdzieliła go ręką w twarz.

Tłum zawył, kiedy wymierzony policzek rozszedł się echem w powietrzu.

Spojrzał na nią wzrokiem zdradzającym mordercze zamiary.

Natarł na Caitlin, wymachując oboma mieczami jak opętany. Właśnie taki efekt chciała uzyskać. Wytrąciła go z równowagi. Nie potrafił już nad sobą zapanować.

Swoim zwykłym mieczem zdołała odpierać każde jego uderzenie, trzask za trzaskiem, to w przód, to w tył. Był szybki, jednak ona zdała sobie sprawę, ku swej radości, że była szybsza. Uświadomiła sobie, że była tak szybka, jakby walczyła w innym wymiarze, a on poruszał się w zwolnionym tempie.

Zaczęło jej to sprawiać przyjemność. Za każdym razem, kiedy zablokowała jego uderzenie, obracała się i cięła go w ramię. Oddawała cios za cios, wałąc w bark, w biodro, w brzuch. Bawiła się nim.

Wkrótce zauważyła jego konsternację. Nie mógł zrozumieć, co się działo. Kiedy obrócił się kolejny raz, chwyciła jego nadgarstek, potem drugi i kopnęła go mocno w klatkę piersiową, pozbawiając obydwu broni naraz. Poleciał w tył na ziemię.

Tłum zawył z aprobatą. Najwyraźniej to Caitlin zwyciężyła.

Cain wpadł jednak w szal. Widocznie nie nawykł do przegrywania. Zamiast taktownie przyznać się do porażki, wstał i zaatakował ją ponownie.

Caitlin nie spodziewała się tego. Cain rzucił się na nią tak szybko, że zanim zdała sobie sprawę, obejmował ją już w pasie i powalał z siłą na ziemię. Uderzenie pozbawiło ją tchu i na moment całkowicie odurzyło. Cain wszedł na nią i przydusił do ziemi

Aiden wystąpił do przodu.

- CAIN! – wrzasnął.

Cain jednak się tym nie przejął. Przygwoździł ją do ziemi i kolanami przytrzymał jej ramiona tak, że nie mogła się poruszyć. Później sięgnął dłońmi do góry, jakby zamierzał ją zadusić.

Caitlin poczuła wzbierającą w niej nieludzką furię. Widząc, jak ręce Caina wędrują do jej gardła, pozwoliła, by tym razem jej siła na serio owładnęła nią całą. Uwolniła się z jego uchwytu, chwyciła jego nadgarstek w ostatniej sekundzie

i obróciła dokoła osi. Przetoczyła się na niego, wciąż wykręcając jego rękę do tyłu.

Po czym kopnęła go mocno, prosto w krocze.

Zwiotczał natychmiast i osunął się obok niej na ziemię.

Lecz ona jeszcze z nim nie skończyła. Wywołał jej gniew, a to z wielkim trudem przychodziło jej opanować. Skoczyła na nogi i wciąż oburzona kopnęła go znowu, mocno w brzuch.

- Caitlin! – wrzasnął Aiden.

Lecz Caitlin go nie słyszała. Podeszła powoli i położyła stopę na gardle Caina. Przytrzymała ją w miejscu porządnie unieruchomioną tak, że Cain nie mógł oddychać. Ale nie obchodziło jej to. Czowała jak jej gniew napływał falami, odurzał ją – chciała go powstrzymać, ale nie potrafiła.

Nagle poczuła, jak ktoś popchnął ją mocno w bok i potknęła się.

Obejrzała się i zobaczyła Aideną, idącego w jej kierunku. Była dezorientowana: był przynajmniej w odległości dziesięciu stóp od niej. Potem zauważyła jego wystającą dłoń i uświadomiła sobie, że zdołał odepchnąć ją nawet jej nie dotykając.

Spojrzał na nią gniewnie. Wiedziała już, że czekała ją reprimenda.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Caitlin uświadomiła sobie, że szła razem z Aidenem leśną ścieżką. Widziała po jego zachowaniu, że w ciszy dusił w sobie złość, jako że od momentu, kiedy ją wezwał, nie odezwał się do niej ani jednym słowem.

Po walce z Cainem wyprowadził ją poza krąg, z dala od pozostałych i wystartował, odlatując w dał. Caitlin podążyła za nim, czując się jak zbesztany sztubak. Nie podobało się jej to uczucie. Uważała, że była już na tyle dorosła, że mogła sama wyciągać wnioski ze swoich walk. Poza tym, Cain sam się o to prosił.

Teraz zaś włączyli się bezustannie po lesie, aż w końcu dotarli na wielką polanę. Słoneczne światło przedzierało się przez drzewa, rozświetlając łąkę.

Aiden zatrzymał się w końcu i odwrócił do niej.

- Rozczarowałaś mnie – powiedział.

- To nie była moja wina! – odburknęła Caitlin, przygotowując ripostę. – Widziałeś walkę. Walczył nieczysto. Od samego początku.

- To nie ma znaczenia. Powinnaś być ponad to.

- Próbował mnie skrzywdzić. *Naprawdę* chciał mi coś zrobić. Nawet kiedy walka się skończyła.

- Przestałaś być czujna – odparł. – Bitwa nigdy się nie kończy.

- Cóż, do ciebie należy moderowanie tych walk. Jeśli już chcesz wściekać się na kogoś, to na niego – odburknęła, czując, jak wszystko w niej gotowało się ze złości. Miała dość ciągłego strofowania. – Dlaczego jego nie złajasz? Dlaczego krytykujesz mnie?

Zdała sobie sprawę, że podniosła głos. Straciła cierpliwość do wszelkich autorytetów i przyjemnie było powiedzieć mu w

końcu, co miała na sercu.

Aiden wydawał się całkowicie opanowany. Potrząsnął jedynie nieznacznie głową, z kamiennym wyrazem twarzy.

- Wybrałem rozmowę z tobą, a nie z nim – zaczął Aiden powoli – w formie nagrody, a nie kary. Ty potrafisz wysłuchać tego, co mam ci do powiedzenia. On nie. Ty masz zadatki na najlepszego wojownika, jakiego kiedykolwiek wyszkoliłem. On nie.

- NIE jesteś moim ojcem! – odburknęła. – Nie muszę tu być. Nie muszę ciebie słuchać!

Jeszcze kiedy wymawiała te słowa uświadomiła sobie, że zabrzmiała jak smarkacz. Ale nie potrafiła się powstrzymać. Była wściekła na ludzi, którzy przez całe życie nią dyrygowali i zmęczona wiecznym tłumaczeniem się przed innymi. Była również zmęczona braniem na siebie winy za błędy popełniane przez wszystkich wokół.

- Masz rację – powiedział Aiden spokojnie. – Nie jestem twoim ojcem. I nie musisz tu być. Ani tłumaczyć się przede mną. Sama wybierasz swoją drogę przez życie. Każdy jej etap. I możesz pozostać tu tylko jeśli sama tego zechcesz – przypomniał jej spokojnie.

Caitlin rozważyła jego słowa i nieco się uspokoiła. Miał rację. Ona sama podjęła decyzję, by tu być. I rzeczywiście chciała trenować. Tylko, że... cóż, sama nie była tego pewna. Była po prostu taka wściekła, że z trudem jasno myślała.

- Twoja największa siła jest też twoją największą słabością – powiedział. Twój gniew. Twoja furia. Nie mówię, że nie powinnaś pokonać Caina. Mówię tylko, że nie powinnaś pokonać *siebie*.

Spróbowała rozszyfrować znaczenie tych słów. Jak zwykle, tak trudno było pojąć, na pierwszy rzut oka, to, o czym mówił. Uświadomiła sobie, że było to kolejne z jego przemówień, nad którym musiała się jeszcze zastanowić.

- Nadal nie dostrzegasz tego, że twoje obecne moce są ograniczone. Masz w sobie tak wiele mocy – więcej, niż kiedykolwiek o tym marzyłaś. Chcę ci pokazać, jak możesz ją

wykorzystywać. Nadal skupiasz się na rzeczach powierzchownych, takich jak zwycięstwo i wygrana, złość i zemsta. Jeśli chcesz dysponować całą siłą, będziesz musiała sięgnąć głębiej.

Oddychała głęboko i zaczęła się uspokajać. Odprężyła się zawsze, kiedy Aiden do niej przemawiał. Im więcej go słuchała, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę *nie* przypominał innych autorytetów w jej życiu. Uświadamiała sobie, że tak naprawdę nie próbował jej kontrolować. Rzeczywiście pragnął jej pomóc. Była mu za to wdzięczna.

- Co muszę zrobić? – spytała.

Aiden przeszedł kilka kroków w kierunku polany, odwrócił się i zmierzył ją wzrokiem. Zamknął oczy i zaczął głęboko oddychać. Podniósł swoją laskę na tyle, by jej drugi koniec spoczął na jej barku. Czują jej delikatny nacisk na swoją skórę.

- Zdejmij buty – powiedział.

Caitlin zrobiła, jak kazał. Przyjemnie było poczuć miękką trawę pod stopami.

- Zamknij oczy.

Zamknęła. Wydawało się, że minęły minuty ciszy; zaczynała już zastanawiać się, co robi, kiedy ponownie usłyszała jego głos.

- Co czujesz? – zapytał.

Caitlin zamyśliła się.

- Czuję... drzewo, twoją laskę dotykającą mego ramienia. I trawę pod moimi stopami.

- Co jeszcze? – naciskał.

- Czuję... wiatr we włosach... Czuję ciepło dnia. Wilgoć w powietrzu. Moja skóra się lepi.

- Tak – powiedział. – Bardzo dobrze. Teraz chcę, żebyś wyciągnęła rękę i wewnętrzną stroną dłoni do góry przytrzymała laskę między nami. Oczy miej zamknięte.

Caitlin wyciągnęła powoli dłoń i chwyciła laskę. Była wiekowa, poprzecierana i gładka. Caitlin wyczuwała emanującą z niej energię.

- Nie trzymaj jej – powiedział Aiden. – Po prostu umieść swoją dłoń pod nią i przytrzymaj. Nie zaciskaj pięści.

Caitlin wypuściła ją z dłoni.

- Dobrze. Teraz, kiedy ją trzymasz, chcę, żebyś powiedziała mi, co czujesz.

- Czuję kawałek drzewa – odparła. Czowała się głupio, ale nie była pewna, czego innego mógł od niej chcieć.

- Coś więcej o nim powiedz – naciskał. – Czujesz jego poszczególne słoje? Czujesz jego ciężar? Jego grubość, długość?

Skupiła się jeszcze bardziej. Powoli zaczęła rozróżniać różnorodną strukturę i części drewna.

- Dobrze – powiedział Aiden. – A teraz, bardzo powoli, unieś go wysoko nad głowę. Użyj jedynie swej dłoni, nie całej ręki. Wykorzystaj energię przepływającą przez twoje ciało, krążącą w dłoniach. Znajdź ją. Poczuj.

Caitlin skupiła się i w tym samym momencie poczuła, jak jej dłoń stała się ciepła, poczuła kulę energii wyłaniającą się z dłoni i powoli uniosła kawałek drzewa.

- Dobrze – powiedział Aiden. – Doskonale.

Ucichł.

– A teraz otwórz oczy.

Powoli otworzyła oczy.

Była wstrząśnięta tym, co zobaczyła.

Oto przed sobą zobaczyła laskę Aidena. Ale nie w swojej dłoni. Unosiła się w powietrzu około dziesięć stóp powyżej, nad jej otwartą dłonią.

Zszokowana, spojrzała na Aidena.

W tym samym momencie laska opadła i wylądowała twardo na ziemi.

Aiden zmarszczył brwi.

- Rozproszyłaś się – powiedział.

- Jak to zrobiłam? – zapytała, nadal zdumiona.

Schylił się i podniósł swoją laskę.

- To jedna z wielu twoich mocy. I jedyna, jakiej chcę cię teraz nauczyć. Masz ją w sobie. Nazywam ją centrowaniem lub jak wolisz koncentracją woli. Możesz ją wykorzystać, by przenosić przedmioty na dużą odległość. Lub przyciągać je do siebie.

- Zrozum, między tobą a fizycznym wszechświatem nie istnieje żadna bariera. Kiedy to sobie uświadomisz, posiadasz sztukę walki.

To powiedziawszy, odwrócił się i ruszył w las. A po dwóch krokach zniknął zupełnie. Caitlin szukała wszędzie, ale nigdzie go nie było.

Stała zdumiona.

Ale jeszcze bardziej zaszokowana była sobą, tym, czego przed chwilą dokonała. A więc jakie moce w niej jeszcze drzemały? I ile jeszcze musiała się o sobie dowiedzieć?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Sam stał w rzymskim Koloseum, w pełnym rynsztunku bojowym, uzbrojony od stóp do głów, a na jego głowie spoczywał hełm. Podniósł przyłbicę i zobaczył innego wojownika stojącego naprzeciw, również w pełnej zbroi.

Ruszył na niego i starli się z furją.

Wojownik, z którym przyszło mu walczyć, był od niego większy i silniejszy, lecz Sam zdołał oddawać cios za cios. Z każdym uderzeniem ogarniało go jednak coraz większe zmęczenie, aż w końcu jego ramiona stały się zbyt ciężkie, by mógł je podnieść. Osunął się na kolana, a wojownik uniósł wysoko miecz z zamiarem zatopienia go w sercu Sama.

Zamrugał oczami i spostrzegł, że stał na pustyni, a piasek pod jego stopami rozpościerał się w dal, jak okiem sięgnąć. W oddali widział olbrzymią górę. Zorientował się po chwili, że zaczął wspinać się na nią powoli, używając miecza, jako podpory. Miał na sobie tym razem białą szatę.

Ściągnął kaptur, umierając z gorąca, i podniósł wzrok na górę. Wysoko, na jej szczycie, stał mężczyzna, którego sylwetka zarysowywała się na tle słońca. Mężczyzna również miał na sobie białą szatę z kapturem, a w ręku trzymał laskę. W jakiś sposób Sam wiedział, że ten mężczyzna był jego ojcem.

Wspinał się wyżej, podekscytowany, że spotka ojca, próbując zwiększyć tempo, zdecydowany dotrzeć do niego za wszelką cenę. Z każdym krokiem było mu jednak coraz trudniej, góra stawała się coraz bardziej stroma, a kiedy spuścił wzrok, zauważył, że otaczały go pełzające dokoła węże i skorpiony. Robiło się też coraz goręcej. Wiedział, że droga była zdradliwa, i że mu się nie uda.

Zbyt zmęczony, by iść dalej, podniósł wzrok.

- OJCZE! – krzyknął.

Ojciec uśmiechnął się do niego, spojrzawszy wzrokiem pełnym miłości i powoli odchylił kaptur. Od jego twarzy odbijało się światło i Sam zauważył, że byli do siebie podobni.

Nagle, Sam stanął na jednej z brukowanych ulic Paryża. Była noc, ulice spowijała gęsta mgła. W świetle pochodni zauważył ogromną fasadę kościoła – i wiedział, że była to Notre Dame.

Otworzył wielkie, średniowieczne drzwi i wszedł do środka. Wewnątrz panowała pustka i ponury nastrój. Ruszył wzdłuż nawy i w tej samej chwili zauważył przed sobą wielki, srebrny klucz. Światło odbijało się od niego w miarę jak falował zawieszony w powietrzu.

Sam wyciągnął rękę i już miał chwycić klucz. Wiedział, że musi go mieć. W jakiś sposób, po prostu wiedział, że ten klucz miał ocalić życie jego ojca.

Sam obudził się, ciężko dysząc. Rozejrzał się wokół zdezorientowany, spodziewając się ujrzeć ojca.

Ale nie było go nigdzie w zasięgu wzroku. Obrócił się kilkakrotnie, próbując zorientować się, uświadomić, gdzie się znajduje.

Leżał na jedwabnym kocu, na szczycie wzgórza, wśród traw, a w jego ramionach spoczywała Kendra. Obydwoje byli nadzy.

Sięgnął pamięcią wstecz i szybko przypomniał sobie wszystko. Spanie z nią było niewiarygodne. Był nadal w szoku, że tak szybko przeszła od okazywania mu całkowitego braku zainteresowania do pragnienia bycia z nim. Czy przez ten cały czas bawiła się nim tylko? A może taką już miała naturę?

Cokolwiek to było, przyjemnie było trzymać ją w ramionach. Spojrzał w dół, na jej bladą, miękką skórę, jej kędzierzawe blond włosy. Wsparła podbródek na jego piersi, a na jej twarzy gościł niewielki uśmiech.

Może tylko go wykorzystywała? A może rzeczywiście darzyła go tak silnym uczuciem, jak on ją? I jak to w ogóle było możliwe, że obdarzył kogoś tak mocnym uczuciem tak

szybko? Czy to wszystko działo się naprawdę? Cokolwiek to było, jedną rzecz wiedział na pewno, że nie chciał jej opuszczać.

Pomyślał o swoim śnie. Był to jeden z najdziwniejszych i najbardziej sugestywnych snów, jakie miał do tej pory. Nigdy wcześniej nie widział swojego ojca i wydawało się, jakby ten sen był spotkaniem. Uporczywie starał się go zrozumieć. Ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Nagle przypomniał coś sobie i podniósł się. Popołudniowy trening. Słyszał, że będzie tam dziś Aiden i był zdecydowany również tam być, by zwrócić jego uwagę na siebie, bez względu na to, czy go wezwał, czy nie. Spojrzał w dół na zegarek Kendry i zauważył, że była już czwarta trzydzieści. Był spóźniony o pół godziny.

Poderwał się i pospiesznie ubrał, zdecydowany dotrzeć tam na czas.

Kendra podniosła się szybko, zaniepokojona.

- Co się stało? – zapytała.

- Aiden – powiedział Sam. – Muszę się z nim zobaczyć. Już jestem spóźniony.

Kendra zmarszczyła brwi.

- Spodziewałabym się, że chwile spędzone ze mną będą ważniejsze od czasu, który poświęcasz Aidenowi – powiedziała nadąsana.

Sam spojrzał na nią, zauważył, jaka była zdenerwowana i zatrzymał się.

- Proszę, zrozum. Nie chciałem cię urazić. Po prostu – muszę się z nim spotkać. Nie mogę również dzisiaj się z nim rozminąć. I jestem już spóźniony.

Kendra odwróciła wzrok. Najwyraźniej była na niego obrażona.

Lecz Sam nie miał na to czasu. Ubrał się i skoczył na konia.

Spojrzał w dół i zobaczył jak Kendra, poruszając się powoli, niespiesznie, zebrała swoje rzeczy i włożyła je na siebie. Wyglądało na to, że nie zamierzała spieszyć się dla nikogo.

Sam niecierpliwił się.

- Proszę, Kendra – powiedział. – Muszę już jechać!

- Więc jedź! – warknęła w złości. – Nie zatrzymuję cię!

Siedział na koniu, patrząc raz na nią, raz na ścieżkę, nie będąc pewnym, co robić.

- JEDŹ! – rozkazała głośno.

Wyczuł złość w jej głosie i był zaskoczony jej wściekłością.

- Zobaczymy się jeszcze? – spytał.

Kendra odwróciła wzrok, skończywszy zapinać bluzkę.

- Jedź na spotkanie z tymi twoimi wampirzymi przyjaciółmi – warknęła. – Najwyraźniej są dla ciebie ważniejsi ode mnie.

Sam widział, że w żaden sposób jej nie udobrucha, a nie chciał tracić więcej czasu. Będzie musiał uporać się z tym później.

Ubódł swego wierzchowca i pogalopował, pędząc w dół zbocza. Miał nadzieję, że Aiden nadal tam będzie, i że uda mu się w końcu z nim zobaczyć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Caitlin stała na ćwiczebnej arenie otoczona członkami klanu, pod czujnym okiem stojącego na uboczu Aideny. Przyprowadził ją tu z powrotem po ćwiczeniu w lesie. Walczyła – i wygrywała – od kilku dobrych godzin i zgromadzony tłum gapiów powiększył się znacznie. Walczyła już niemal z każdym członkiem klanu i pokonała ich wszystkich. Przyszła kolej na najlepszych wojowników.

Wieści szybko się rozeszły i cała królewska rodzina zgromadziła się, by podziwiać widowisko. Zapełnili marmurowe schody do ostatka, wraz z chmarą pozostałych gapiów.

Caitlin miała wrażenie, że nareszcie stanęła na własnych nogach. Walczyła z wprawą, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyła. Czowała się bardziej elastyczna, miała większą kontrolę. Czowała, jakby wiedziała, co zamierzał zrobić jej przeciwnik jeszcze zanim to zrobił. Czymkolwiek była nauka Aideny – sama Caitlin nadal nie była całkiem pewna, czym – głęboko wryła się w jej pamięć i walcząc, cały czas słyszała jego słowa w myślach. *Twoim najgorszym wrogiem jesteś ty sama. Jedyłą osobą, która może cię pokonać, jesteś ty. Właśnie na tym polega to, czym się stajesz.*

Próbowała odczuwać wszystko na innym poziomie w trakcie walki. Czasami nawet zamykała oczy i starała się wyczuwać wibracje wokół siebie, odbierać energię swojego przeciwnika. Czowała, w jak dużej mierze była zakorzeniona w ziemi, czowała coraz mocniejsze więzi łączące ją z fizycznymi przedmiotami. Atakowali ją mieczami, lancami, wszelkiego rodzaju bronią, a ona starała się poczuć więź z każdą z nich. *Nie ma bariery między tobą a przedmiotami. Jedyłą barierą istnieje w twojej głowie.*

Stała się o wiele lepszym wojownikiem, niż mogłaby to sobie wyobrazić. Kiedy w tym samym momencie runęło na nią dwóch największych, najpaskudniejszych wojowników

Aidena, jeden z oszczepem, a drugi z kulą umieszczoną na końcu łańcucha, którą wywijał na oślep, Caitlin w ogóle się tym nie przejęła. Pierwszy raz w życiu nie poddawała się swojej złości, furii, ani jakimkolwiek emocjom. Zamiast tego cierpliwie czekała.

Kiedy w jej stronę z pełną prędkością poleciał oszczep, poczekala jedynie do ostatniej chwili i uskoczyła mu z drogi. Oszczep przeleciał obok, mijając ją o milimetr. W tym samym momencie wyciągnęła dłoń i chwyciła go w powietrzu. Następnie złamała go, za jednym zamachem cisnęła z powrotem w kierunku napastnika – a jego tępy koniec uderzył mężczyznę mocno w klatkę piersiową i odrzucił w powietrzu do tyłu.

Jednocześnie, bez chwili przerwy, użyła drugiej części oszczepu, by przechwycić kulę na łańcuchu, którą drugi przeciwnik zamachnął się w jej kierunku. Wyrwała ją mu z dłoni i wyrzuciła. Potem chwyciła grubszy koniec oszczepu i dźgnęła go mocno w słoneczny splot. Mężczyzna padł na kolana.

Tłum zareagował głośnymi brawami i okrzykami podziwu. Caitlin stanęła naprzeciw Aidena, czekając na kolejne wyzwanie.

- Długie miecze! – krzyknął Aiden.

Nagle pojawił się sługa i rzucił jej długi miecz. Złapała go w powietrzu, wypatrując, czy został jeszcze ktoś gotowy zmierzyć się z nią.

Aiden popatrzył na nią znacząco. Odgadła, że miał w zanadrzu wojownika, który mógł naprawdę wytrącić ją z równowagi.

- Blake! – wrzasnął.

Jej serce pękło. To nie mogła być prawda.

Spośród gęstego tłumu wampirów i rodziny królewskiej wyłonił się mężczyzna trzymający długi miecz w dłoni, spoglądający na nią z gniewną miną.

Serce jej stanęło. To naprawdę był on. Blake.

Spojrzał na nią z zimną, bezduszną złością, która ją załamała. Najbardziej jednak zabolalo ją to, że najwidoczniej jej nie rozpoznał

Aiden dobrze wybrał swego ostatniego wojownika. Najwyraźniej zaplanował tę walkę, by doprowadzić ją do ostateczności, zagrać jej na nerwach w samym środku walki. I podziałało.

Już nie czuła się tak pewnie, nie była sobą. Starła się odzyskać ten stan równowagi, ale nie wracał. Czuła zamęt, podenerwowanie. Czuła, że nie była w stanie zapanować nad burzą uczuć.

Blake zaatakował zanim zdążyła się pozbierać. Uniósł miecz wysoko nad głowę w idealnej pozie, jak przystało na dobrego wojownika. Natarł z siłą i szybkością, celując wprost w jej głowę. Caitlin nie mogła uwierzyć w jego zwinność. Walczyli jedynie drewnianymi mieczami, więc cios od miecza nie zabiłby jej. Jednak zabolalby i to bardzo. Było jasne, że Blake jej nie pamiętał: zaatakował ją z równą zaciętością, co najokrutniejszego ze swoich przeciwników.

Caitlin zdołała uskoczyć mu z drogi w ostatniej chwili i drewniany miecz osunął się po jej głowie.

Uderzenie ogłuszyło ją, podobnie jak widok Blake'a. Jednak nie zraniło. Przynajmniej na razie.

Odwrócił się i ponownie stanął naprzeciwko Caitlin. Coś jednak powstrzymało ją przed wykorzystaniem swoich umiejętności jak to miało miejsce w przypadku zwykłych przeciwników. Wiedziała, że powinna zrobić wypad, zaatakować. Ale po prostu nie potrafiła się zmobilizować. Zamiast tego uświadomiła sobie, że cały czas wracała pamięcią do wydarzeń w Koloseum, kiedy poświęcił dla niej życie. Na myśl o tym serce jej pękało. Na myśl, jak dużo mu zawdzięczała.

Zaatakował ją frontalnie. Blokowała jego uderzenia, raz za razem, lecz nie kontratakowała. Nie potrafiła się zmusić.

W końcu, po kilku zamachnięciach, ich miecze zwały się ze sobą i Blake zbliżył się do niej, stękając i pocąc się, starając

się ze wszystkich sił przygniść ją do ziemi. Będąc tak blisko niego, widziała na jego twarzy gniew. I widać było, że w ogóle jej nie pamiętał.

- Blake – stęknęła, siłując się z nim ramię przy ramieniu. – To ja, Caitlin. Nie pamiętasz?

Spojrzał na nią i w końcu wyrzucił z siebie.

- Jesteś tu nowa. Zatem, jak mogę cię znać?

To powiedziawszy, popchnął ją z całych sił i poleciała do tyłu, na plecy, turlając się po ziemi.

Caitlin przetoczyła się kilka razy, po czym zatrzymała, leżąc na ziemi.

I wtedy to do niej dotarło. Wreszcie. Naprawdę jej nie znał. Naprawdę był jej obcy. W końcu to zaakceptowała, pogodziła się z nowymi okolicznościami.

Stała na nogach z nową determinacją do dalszej walki. Kiedy natarł na nią ponownie, zamierzając dokończyć dzieła, uspokoila się i potraktowała go jak każdego innego wojownika. W końcu, po raz pierwszy poczuła, że odzyskała panowanie nad emocjami. Zdała sobie sprawę, że nie musiała się im podporządkowywać. Uświadomiła sobie, że mogła podporządkować je własnej woli. Że mogła podejść do swych uczuć z dystansem.

I świadomość tego zmieniła całe jej życie.

Kiedy Blake zamachnął się na nią, wciąż leżącą na ziemi, najzwyczajniej przetoczyła się, uniosła stopy, oparła o jego brzuch i przerzuciła nad sobą w powietrzu.

Tłum zawył z zachwyty.

Kiedy Blake wylądował na plecach, skoczyła na nogi, kilka stóp dalej.

Blake również skoczył na nogi, obrócił się na pięcie i zmierzył ją wzrokiem pełnym oburzenia. Oparłszy się stopą mocno o ziemię, wziął zamach i cisnął swym mieczem wprost w nią.

Był to świetny ruch z jego strony, ruch, na który zdecydowałoby się niewielu wojowników, szybki i niespodziewany, zmieniający miecz we włóczę. I tak szybki, błyskawiczny, że jakikolwiek inny wojownik padłby jego ofiarą.

Caitlin zauważyła go, lecz stało się to tak szybko, że nawet ze swoimi wyczulonymi zmysłami nie miała czasu, by wykonać jakikolwiek unik, czy też sparować uderzenie. Miecz leciał w jej kierunku.

Zamiast tego zatem, wbiła stopy w ziemię, uświadamiając sobie, że nadeszła pora na wykorzystanie jej nowej siły umysłu. Przywołała każdą drobinę swojej energii i zmusiła siłą woli do użycia umiejętności, którą pokazał jej Aiden.

Poczuła nadlatujący miecz w umyśle, poczuła każdą jego cząstkę, jego energię. Zjednoczyła się z nim. A kiedy to już się stało, zmusiła miecz siłą woli, by zmienił kierunek.

I zrobił to, w ostatniej sekundzie. Umysł Caitlin zmienił kierunek lotu miecza, wypchnął go wysoko w powietrze, znacznie powyżej jej głowy i potem w dół, na ziemię.

Tłum zareagował gwałtownym wciągnięciem powietrza, podobnie jak Blake. To było niewiarygodne. Caitlin zdołała poruszyć przedmiot bez dotykania go. Najwyraźniej dysponowała mocami znacznie wykraczającymi poza możliwości zgromadzonej widowni. Wszyscy byli zszokowani.

Caitlin zaatakowała tymczasem Blake'a bambusowym mieczem, chcąc zakończyć walkę. Kiedy natarła z impetem uderzając z lewej i prawej, tnąc i dźgając, Blake zasłonił się tarczą. Zmęczyła go, zmusiła do odwrotu, uderzając cios za ciosem. W końcu upadł na kolano, wciąż osłaniając się tarczą. Caitlin dzieliło zaledwie jedno uderzenie od zwycięstwa.

Lecz nagle coś ją rozproszyło. Zobaczyła kogoś stojącego w oddali, pośród tłumu. I mimo opanowania, całego tego treningu, rozdziawiła usta w szoku, upuszczając miecz w środku uderzenia.

Wszyscy odwrócili się, by zobaczyć, kto ją rozproszył.

Z tłumu wystąpił chłopiec i ruszył w jej stronę, równie zaskoczony.

Podszedł wprost do niej, wyciągnął ręce i uściskał.

Odwzajemniła uścisk i poczuła, jak w oczach zebrały się łzy.

Był to jej brat. Sam.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Caleb odlatywał coraz dalej od swego domu, od Caitlin, i serce mu się krajało. Widział ból na jej twarzy, a przecież zadanie jej bólu było ostatnią rzeczą, jakiej pragnął. Nigdy nie myślał, że ją opuści. Niczego nie pragnął tak bardzo, jak zostać na miejscu i być z nią. Przecież zamierzał się jej oświadczyć.

Jednakże, nie potrafił zignorować wieści o synu. Nie chodziło tu o Serę; nawet gdyby ta wiadomość przysłała z drugiego końca świata, rzuciłby wszystko i popędził na spotkanie z synem. Sera była ostatnią osobą, o której teraz myślał.

Jade jednak całkowicie zawładnął jego myślami. Nadal miał poczucie winy, że pozwolił mu umrzeć w Wenecji. Zrobiłby wszystko – cokolwiek – by go odzyskać. I jeśli oznaczało to, że musiał mieć do czynienia z Serą, chociażby przez chwilę, był gotów to zrobić. A jeśli oznaczało to, że musiał opuścić Caitlin, przynajmniej na chwilę, po prostu nie miał wyboru. Choć sprawiało mu to duży ból, nie mógł pogodzić się z myślą, że już nigdy więcej nie zobaczy swego syna.

Leciał nad brzegiem morza, obserwując zmieniający się krajobraz: jak rozległe wzgórza ustąpiły miejsca łąkom, potem lasom, a potem znów wzgórzom. Oczywiście pamiętał, gdzie przebywała Sera, w średniowiecznej wiosce położonej daleko na południu Francji. Jej twierdza stała tam już od stuleci i Caleb wiedział, że to tam znajdzie ich oboje.

Przyspieszył, chcąc jak najszybciej powrócić do Caitlin, ale również z podekscytowania, że znów zobaczy syna żywego. Zastanawiał się, jak to było możliwe. Jak w ogóle mógł być wśród żywych? Był pewien, że kiedy już umarł, nie można było przywrócić mu życia. Jak by nie było, jego syn nie był jeszcze w pełni rozwiniętym wampirem. Nie mógł zostać wskrzeszony.

Pomyślał o dacie. Był rok tysiąc siedemset osiemdziesiąty dziewięć. Tylko dwa lata wcześniej widział go ostatni raz. Może znaczyło to, że jego syn wciąż żył, tyle że był dwa lata młodszy. To by miało sens.

Jednakże, według jego rozumowania w przypadku człowieka, jeśli ktoś zmienił przyszłość, to zmienił też przeszłość – zatem czyjaś śmierć w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym pierwszym roku wymazałaby istnienie tej osoby w tysiąc siedemset osiemdziesiątym dziewięć. A zatem, Jade nie mógł żyć w tym roku.

Był skonsternowany. Nie potrafił rozwiązać tego w logiczny sposób, ale tak naprawdę nie dbał o to. Chciał jedynie znów ujrzeć Jade'a.

Zanurkował, zniżając lot, okrążając linię brzegową, aż w końcu go zauważył: zamek Sery. Na tle linii brzegowej wyglądał surowo i spektakularnie ze swymi sięgającymi nieba iglicami i licznymi dziedzińcami i tarasami.

Tak jak się tego spodziewał, Sera stała na wyższym wale obronnym, wpatrując się w niebo, obserwując, czekając na niego. Na jego widok jej twarz rozpromieniła się w szerokim uśmiechu.

Caleb jednak był już poirytowany. Nie zauważył przy niej Jade'a. A ostatnią rzeczą, na jaką miałby teraz ochotę to zrewanżować się jej uśmiechem. Poznał po jej minie, że już snuła fantazje, że według niej nie była to jedynie zwykła wizyta. Patrzyła na niego tak, jakby znów byli ze sobą. Czy ona kiedykolwiek się zmieni?

Caleb zanurkował w powietrzu i wylądował na wale, około dziesięć stóp dalej, a ona natychmiast do niego podeszła.

- Moja miłości – oznajmiła triumfalnie, szeroko rozstawiając ramiona z zamiarem objęcia go.

On jednak spojrział na nią gniewnie, wystawił dłoń, zatrzymując ją w miejscu.

- Sera – powiedział ostro. – Tu nie chodzi o mnie i o ciebie. Ale o Jade'a. Powiedziałaś, że żyje. Gdzie jest?

Caleb czuł, że musi być twardy. Nie chciał, by brnęła dalej w te fantazje o ich związku.

Sera westchnęła, zlekceważywszy jego pytanie.

- Udajesz, iż ci na mnie nie zależy. Ale tylko dlatego, że naprawdę się mną przejmujesz. Czuję twoje pożądanie. Jest jak latarnia przywołująca mnie do siebie.

Caleb potrząsnął głową.

- Nadal żyjesz w świecie fantazji. Skończyliśmy już ze sobą. A teraz powiedz mi, gdzie jest mój syn? – zapytał bardziej stanowczo.

Ona jednak potrząsnęła ponownie głową.

- Ty i ja, zawsze mieliśmy w sobie duży potencjał. Obawiałeś się tylko okazywać mi prawdziwe uczucia.

Caleb podszedł bliżej i chwycił ją za ramiona.

- Sera, dość tych gier. Gdzie on jest? – zażądał.

Spojrzała mu prosto w oczy, po czym powoli uśmiechnęła się, odwróciła, i ruszyła w dół po spiralnych kamiennych schodach.

- Chodź za mną – powiedziała, odwrócona tyłem do niego.

Caleb zszedł za nią po schodach i ruszył przez niższy dziedziniec zamku z bijącym mocno sercem, ciesząc się, że za chwilę zobaczy swojego chłopca. Zastanawiał się, jak wyglądał, ile miał lat.

Wszedł za Serą do ogromnej sypialni głównej z olbrzymimi oknami z widokiem na ocean. Ale nigdzie nie było ani śladu Jade'a.

Kiedy tylko wszedł do środka, zamknęła za nim drzwi.

Podeszła do ogromnego łoża z baldachimem, usiadła w rogu i odpięła dwa górne guziki koszuli. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Caleb – powiedziała – dobrze wiesz, dlaczego tu jesteś.

Caleb spojrzał na nią zdumiony.

- O czym ty mówisz?

- Wiesz tak samo jak ja – powiedziała. Przestań udawać. Wiesz, że Jade’a tu nie ma. Caleb poczuł, jak mu tężeje krew w żyłach. Prawie odjęło mu mowę.

- Powiedz mi, gdzie on jest – wysyczał.

Wstała, uśmiechając się jeszcze szerzej. Z rozpiętą koszulą podeszła do niego blisko i zalotnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- Przestań udawać głupiego – powiedziała. – Wiesz, że nasz syn już nie żyje.

Usłyszawszy te słowa, Caleb poczuł, jakby ktoś wbił mu sztylet w brzuch. Odruchowo odepchnął Serę od siebie.

Spojrzała na niego zszokowana, że śmiał ją tak obcesowo potraktować.

Caleb czuł, jak wzbiera w nim złość, kiedy zdał sobie sprawę, dokładnie w tym momencie, że został oszukany. Poczul się jak ostatni idiota. Ponad wszystko jednak był załamany, że Jade nie żył.

- Jak mogłaś mi to zrobić? – jęknął, słysząc swój załamujący się głos. – Okłamałaś mnie! Oszukałaś!

- Oj, dorośnij! – odburknęła. – Nie jesteś chyba taki naiwny. Wiedziałaś, iż w żaden sposób nie może żyć. Lecz nasza miłość – *ona* nadal żyje. Tak, potrzebowałam wymówki, by cię tu sprowadzić. Teraz jednak, kiedy już tu jesteś, jesteśmy razem. Tylko to się liczy. I możemy mieć jeszcze jedno dziecko!

Caleb obrócił się na pięcie, by odejść pośpiesznie, nie ufając sobie nawet na tyle, by choć spojrzeć w jej kierunku. Był zbyt wściekły i zbyt zdruzgotany.

Zanim jednak dotarł do drzwi, poczuł na ramieniu lodowaty uścisk jej dłoni, jej paznokci wbijających się w jego ciało. Odwróciła go do siebie.

Teraz to *ona* patrzyła na niego gniewnie.

- Ani się waż zrywać ze mną! – syknęła. – Nie po tym wszystkim, przez co przeszliśmy!

Spiorunował ją wzrokiem.

- Zapamiętaj moje słowa – powiedział powoli, tonem ostrzejszym od stali. – Nigdy więcej się już nie zobaczymy. Tak długo, jak będę żył. I czy to w tym życiu, czy jakimkolwiek innym. Nic, co powiesz, czy zrobisz nie przywiedzie mnie już nigdy z powrotem do ciebie.

To rzekłszy, stracił jej dłoń ze swego ramienia i wymaszerował z komnaty.

- Caleb! – wrzasnęła. – Caleb! Wróć do mnie! Wybacz mi!

Wchodząc pospiesznie po spiralnych schodach, kierując się na dach, Caleb słyszał jej zawrozczenie i krzyki odbijające się echem w ogromnym, pustym, średniowiecznym zamku. Nawet wówczas, gdy już dotarł na dach i wzbił się w powietrze, nadal słyszał jej jęki i wrzaski, zlewające się z odgłosem wiatru, ptaków i załamujących się fal.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Sam i Caitlin szli pod rękę przez tereny Wersalu. Był w szoku, kiedy ujrzał ją tu, i to walczącą. Był taki dumny ze swojej starszej siostry. Najpierw w ogóle nie zorientował się, że to ona. Po prostu stał z innymi, obserwując z podziwem przebieg walki.

Był zaskoczony, kiedy odkrył, że największym wojownikiem spośród wszystkich była tak naprawdę jego starsza siostra. Nie mógł wyjść z podziwu dla jej umiejętności. Nigdy nie widział nikogo walczącego w ten sposób. Niczym połączenie ludzkiego wojownika z mistrzem wampirów. Poruszała się jak błyskawica, uderzając, tnąc mieczem, uskakując, wykonując ewolucje, których nawet sobie nie potrafił wyobrazić. Jakby obserwował ożywioną sztukę, w której ruch był głównym aktorem.

Kiedy walka dobiegła końca, kiedy rzucili się sobie w ramiona, Caitlin otoczyli jej sympatycy i składali jej gratulacje. Nawet Aiden podszedł do niej i pokiwał głową w uznaniu. Sam chciał z nim porozmawiać, lecz Aiden nie spojrzał nawet na niego i natychmiast zniknął. A znalazłszy Caitlin, Sam nie miał już żadnego powodu, by chcieć rozmawiać z Aidenem.

Caitlin była najwyraźniej w swoim żywiole. Sam poczuł podziw dla niej i dumę, że była jego krewną. Jeszcze większe znaczenie miało dla niego to, że pomimo tych wszystkich pochlebców chcących zamienić z nią słowo, Caitlin chciała jedynie umknąć przed tłumem tylko z nim. Był zachwycony, że tęskniła za nim tak bardzo jak on za nią.

Odnalezienie jej tutaj było dla niego wielką niespodzianką. Wyobrażał sobie, że będzie musiał odbyć długie podróże donikąd by ją odszukać; nigdy nie przyszło mu do głowy, że mogła być tak blisko, w tym samym miejscu, co on. Teraz nareszcie poczuł stabilizację. Czuł, że może spocząć w tych czasach i miejscu i cieszyć się wszystkim: mieszkaniem w

pięknym pałacu, obecnością siostry w pobliżu i swoim związkiem z Kendrą. Teraz mogli już po prostu żyć szczęśliwie, blisko siebie jak starsza siostra i młodszy brat, tak jak kiedyś.

Kiedy tak szli, Sam cofnął się myślami do wszystkich okropnych miejsc, w jakich przyszło im razem dorastać, wszystkich przeprowadzek urządzanych przez ich matkę. Do tych wszystkich paskudnych miast na Środkowym Zachodzie, New Jersey, do Doliny Hudson... Aż w końcu, o zgrozo, do Harlemu. Wszystko to było po prostu beznadziejne.

Patrzył teraz na ich wspólne dzieciństwo w innym świetle, wiedząc, czym była Caitlin i wiedząc, czym on sam był. Dorastając, miał wciąż wrażenie, że ich dwójka była jakaś inna. Nigdy tak do końca nie potrafili się dopasować, nigdy nie przypominali choć w przybliżeniu kogoś z całej reszty. Zawsze uważał, że było tak, gdyż po prostu byli obcymi w każdym kolejnym mieście. Nigdy nawet nie wyobrażał sobie, że byli tak naprawdę kimś wyjątkowym. Że posiadali niezwykle moce. Byli potomkami niezwyklej rasy, wywodzili się z niezwyklego klanu. Że mieli przeznaczenie, misję do wypełnienia.

A przede wszystkim, że ich rodzice nie byli nawet ich rodzicami.

Sam od zawsze czuł w sobie palące pragnienie odszukania ojca i nigdy tak naprawdę nie wiedział dlaczego. Teraz jednak, kiedy wiedział, jak wyjątkowa była ich misja, wszystko zaczynało nabierać dla niego sensu.

Wszystkie sprzeczki, jakie on i Caitlin mieli z matką również nabierały teraz znaczenia, gdy spojrzeć na nie wstecz. Od zawsze odnosił wrażenie, że matka nie kochała ich prawdziwie, że traktowała ich, jakby nie byli jej prawdziwymi dziećmi. Zawsze zastanawiał się, jak w ogóle mogli być z nią spokrewnieni.

- Tak mi przykro – powiedział w końcu, kiedy idąc ogrodami, minęli wielką fontannę. – Za wszystko, co się stało w Nowym Jorku. Za to, że zawsze pakuję cię w tarapaty. I za to, co stało się z Calebem. Wiem, że przebiłaś go mieczem

tylko z powodu mojej zmiennokształtności. I za to, że próbowałem cię zabić. Nie byłem sobą.

Caitlin spojrzała na niego z wyrazem siostrzanej miłości.

- Sam, nie musisz przeproszać – powiedziała. Jej głos brzmiał o wiele dojrzej, o wiele bardziej przekonująco. Niczym głos wojownika. – Minęły całe wieki. I wiem, że tego nie chciałeś.

- Ja tylko... w tamtym momencie byłem pod wpływem Samanthy – kontynuował. – Przemieniła mnie. Wszystko było takie... inne. Naprawdę nie byłem sobą. Nie myślałem jasno.

- Wszystko wydarzyło się z jakiegoś powodu – powiedziała Caitlin. – Teraz to dostrzegam. Caleb miał umrzeć. Ja miałam cofnąć się po niego w czasie. Moim przeznaczeniem było przybyć tutaj, w inne czasy i miejsca. Twoim również. To nasza wyprawa. Podróż. Tu nie chodzi o nas. Na szali leży znacznie więcej.

- Nauczyłam się czegoś. Z jednej strony owszem, mamy wolną wolę i możemy dokonywać wyborów. Z drugiej wiele z tego, co robimy jest tak naprawdę kwestią przeznaczenia. Widzę to teraz wyraźnie. Im dalej brnę w tę podróż, tym większej nabieram pewności, że przeznaczenie tak naprawdę jest potężniejsze od wolnej woli. Że w zasadzie nie dokonujemy zbyt wielu wyborów. Jedynie *myślimy*, że tak robimy.

Sam zaczął zastanawiać się nad jej słowami. Brzmiały prawdziwie. Od jakiegoś czasu miał podobne odczucia, jednak nie przemyślał tego tak starannie jak Caitlin. Był zdumiony jej mądrością. Odnosił wrażenie, że stał przed stuletnim wojownikiem.

- Nie wspomniawszy już o tym, że, jak sądzę, odpokutowałeś za wszystkie swoje błędy – dodała z uśmiechem Caitlin. – Uratowałeś mnie w Rzymie. W Koloseum.

- Obawiam się, że to jeszcze nie koniec – że Kyle może jeszcze upomnieć się o ciebie – powiedział Sam, zdjęty

nagłym strachem. – To dlatego tu przybyłem, w te czasy i miejsce. By ci pomóc. I zadośćuczynić za moje błędy.

Sam stwierdził z zaskoczeniem, że Caitlin ani trochę nie wyglądała na zmartwioną.

- Jestem pewna, że Kyle jest gdzieś tam w tej chwili – powiedziała spokojnie. – I jestem przekonana, że spróbuje dotrzeć do mnie. Lecz nie martwię się tym już. Czuję się silniejsza niż kiedykolwiek wcześniej. W zasadzie, nie mogę się doczekać walki z nim.

Sam spojrział na nią i wyczuł promieniującą z niej siłę. Widział, jaka była pewna siebie i wiedział, że była godnym przeciwnikiem Kyle'a. Poczuł jeszcze większą dumę.

- Pamiętasz te chwile w Watykanie, te wszystkie wampiry w białych szatach. Podarowały ci klucz – powiedział Sam. – Nie potrafię przestać o nim myśleć. O tym, co powiedzieli. Że pozostały jeszcze trzy klucze, aby znaleźć naszego ojca. Nigdy jakoś nie wierzyłem, że nasz ojciec naprawdę istnieje. Teraz jednak wierzę.

- On naprawdę istnieje – Caitlin powiedziała z przekonaniem. – Widziałam go.

Sam otworzył oczy szeroko ze zdziwienia.

– Spotkałaś go? – spytał zdziwiony.

- Nie. Widziałam go w swoich snach.

Nagle Sam coś sobie przypomniał.

- Mój Boże. Wiem, co masz na myśli. Śnił mi się ostatniej nocy.

Caitlin odwróciła się i utkwiała w nim spojrzenie. Zbiła go z tropu nagłym zainteresowaniem. Stała.

- O czym dokładnie śniłeś?

- Ja... – zaczął, lecz nagle zdenerwował się, znalazłszy się w niezręcznej sytuacji. Czuł, jak bardzo zależało jego siostrze na tym, by usłyszeć odpowiedź, a nie chciał jej zawieść. – Hm... Wspinałem się po górze... i sądzę, że go widziałem, ale nie mogłem dotrzeć do niego... potem znalazłem się w takim

wielkim kościele. W powietrzu unosił się taki wielki klucz i sięgałem po niego... Miałem wrażenie, że to jakaś wiadomość. Jakbyśmy mieli znaleźć go tam.

- Sam, skup się. Rozpoznałeś ten kościół?

Sam zmarszczył brew, próbując coś sobie przypomnieć. Wtedy to rozpoznał, teraz jednak przychodziło mu to z trudem.

- To był... Wtedy wiedziałem... ale teraz... był ogromny... strop był tak wysoko... Wejście. Było tam mnóstwo łuków. I te trzy ogromne drzwi.

- Czy nad tymi łukami były jakieś wyrzeźbione postaci? Dziesiątki postaci? – spytała podekscytowana Caitlin.

Oczy Sama rozbłysły. Już sobie przypomniął.

– Tak!

Caitlin wyglądała, jakby nagle coś sobie uświadomiła.

- Znasz to miejsce? – spytał Sam.

- To Notre Dame – odparła.

- Tak! – odpowiedział Sam, zdając sobie sprawę, że ma rację.

Caitlin utkwiała wzrok gdzieś w powietrzu, jakby była pod wrażeniem jego słów. Sam natomiast zastanawiał się, dlaczego było to takie ważne.

- Sądzisz, że to było coś więcej niż sen? – spytał.

Caitlin skinęła głową.

– Tak. O wiele. W świecie wampirów sny zawsze znaczą coś więcej. Są wiadomością. Spotkaniem. Zwłaszcza w przypadku kogoś takiego, jak nasz ojciec. Tata mówił ci, gdzie go znajdziemy. Myślę, że właśnie o to chodziło. Potrzebujemy czterech kluczy. Myślę, że powiedział ci, że drugi klucz znajduje się w Notre Dame.

Sam zastanowił się nad tym. Czuł zaszczyt, że to jemu ojciec zdecydował się pokazać i przekazać tak ważną wiadomość.

- Ale dlaczego zesłał ten sen tobie? – spytała Caitlin, niemal sama siebie. – Dlaczego nie mnie?

- Nie mam pojęcia. Wiesz, może oboje otrzymujemy części wskazówek? Oboje jesteśmy jego potomkami. Być może rozwiążemy to tylko we dwoje?

Caitlin spojrzała na niego.

- Myślę, że masz rację.

Sam poczuł się ważny jak nigdy. Kolejny raz ogarnęła go fala determinacji, by ruszyć na poszukiwania ojca, by towarzyszyć Caitlin w jej wyprawie.

- Muszę go znaleźć, Sam – powiedziała poważnym tonem. – *My* musimy go znaleźć. Zbyt wiele mamy do stracenia. I to nie tylko my. Wielu ludzi na nas liczy. Musisz mi pomóc. Przyłączysz się do mnie?

Sam najpierw poczuł nagły przyływ ekscytacji, ale potem, kiedy pomyślał, co w rzeczywistości oznaczało opuszczenie tego miejsca, aż go skreśliło w dołku. Musiałby opuścić Kendrę. A przecież, wbrew sobie, myśli o niej wciąż go obezwładniały.

- O co chodzi? – spytała Caitlin. – Co się stało?

Sam zawahał się. Spuścił wzrok, unikając jej spojrzenia. Krępował się powiedzieć prawdę.

- Cóż... - zaczął, ale umilkł. Nie wiedział, jak to wytłumaczyć. Czy naprawdę stracił głowę dla dziewczyny? Czy naprawdę zamierzał zawieść z tego powodu własną siostrę? Co pomyśli o nim jego starsza siostra?

- Cóż... hm... widzisz, tego... Ja... poznałem dziewczynę – zaczął.

Zauważył jak wyraz twarzy Caitlin zmienił się. Początkową konsternację zastąpił błysk zrozumienia.

- Sam – powiedziała opiekuńczym tonem – są ważniejsze sprawy. Te poszukiwania... mówimy tu o naszym *ojcu*.

Jednakże już wymawiając te słowa, wiedziała, że wykazała się hipokryzją. Przecież sama była gotowa porzucić

poszukiwania dla Caleba.

- Wiem – powiedział Sam, nadal unikając jego spojrzenia.
– Tylko, że... ta dziewczyna, ona jest inna i... dopiero co się spotkaliśmy... i nie jestem pewien, czy powinienem teraz ot tak, w tej sekundzie, odejść...

Zauważył, że spojrzała na niego z dezaprobatą. Nie wiedział, co innego miał powiedzieć. Chciał wyruszyć z Caitlin. Ale jednocześnie Kendra miała w sobie coś takiego, co sprawiało, że miał na jej punkcie obsesję.

- Musisz zrozumieć – błagał Sam. – Miałaś kiedyś kogoś w swoim życiu, prawda? Jak miał na imię? Caleb? Co się z nim stało?

Sam dostrzegł nagły smutek i rozczarowanie na jej twarzy. Natychmiast pożałował, że o niego zapytał. Caitlin utkwiła wzrok gdzieś w oddali, wyglądając na przybitą.

- Tak – powiedziała cicho. – Miałam. Kiedyś.

Po czym zaległa między nimi głęboka cisza.

- Wybacz – powiedział. – Naprawdę chcę ci pomóc. Tylko, że ta dziewczyna, hm, cóż ma na imię—

- Kendra – odezwał się nagle czyjś głos.

Sam i Caitlin obrócili się i zobaczyli Kendrę, która stała za nimi w błękitnej, królewskiej sukni, spoglądając wyniośle na nich oboje.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Caitlin stała, obserwując, jak Kendra postąpiła krok do przodu i weszła lekceważąco między nią i jej brata. Spojrzała na Caitlin wyzywająco, zachłannie, najwyraźniej dając jej do zrozumienia, by się wycofała. Że Sam był teraz jej własnością.

Caitlin spojrzała na Sama, mając nadzieję, że wykorzysta to, co właśnie tu zaszło, że odepchnie Kendrę na bok – że będzie nieczuły na takie gierki.

Ale niestety, nie był. Caitlin była w szoku, kiedy zauważyła, jak Sam podporządkował się Kendrze, jakby roztaczała nad nim jakąś niewidzialną sieć. Osunął się nawet nieco, jakby zmałał, Kendra zaś wydała się wyższa. Wyglądało na to, że w jej obecności Sam stawał się bezsilny.

Caitlin zmartwiła się. Widziała już jak przechodzili przez to jej przyjaciele w przeszłości. Dla Caitlin było jasne, że Kendra miała Sama w garści.

- Kendra – powiedziała powoli Caitlin lodowatym głosem, spoglądając jej wprost w oczy. – Nie wierzę, że nas sobie nie przedstawiono.

- Istotnie – oznajmiła Kendra zimnym tonem.

- Cóż – powiedziała Caitlin powoli, czując, jak wzbiera w niej złość – stoisz między mną i moim bratem, a byliśmy w trakcie rozmowy.

Kendra zrewanżowała się takim samym spojrzeniem. Caitlin zauważyła błysk oburzenia w jej oczach, jednak Kendra pozostała nieruchomo.

Sam wyszedł zza Kendry i stanął między nimi, jakby przeczuwając zbliżającą się sprzeczkę.

- Nie, to nie tak – powiedział do Caitlin pojednawczym tonem. _ Ona chciała jedynie się przedstawić. Caitlin, to Kendra. Kendra, to Caitlin, moja siostra.

Caitlin zauważyła, że Sam się pocił; denerwował się, zależało mu, żeby polubiły się nawzajem.

Caitlin jednak spoglądała na Kendrę wzrokiem zimnym jak stal, a ta patrzyła na nią z równą niechęcią.

Sam spoglądał raz na jedną, raz na drugą i denerwował się coraz bardziej.

- Mój brat i ja omawialiśmy właśnie podróż, w którą wkrótce wyruszymy – powiedziała lodowato Caitlin. – W gruncie rzeczy, wyruszamy jutro, więc możesz się teraz z nim pożegnać.

Caitlin czuła, że powinna przejąć kontrolę, podjąć kroki, by ułatwić Samowi oswobodzenie się spod widocznie destrukcyjnego wpływu tej kobiety, przy której wydawał się taki bezradny. Postąpiła śmiało, wręcz agresywnie, lecz wiedziała, że nie miała innego wyboru.

Kendra odwróciła się i spojrzała na Sama. Unikał jej wzroku, tak samo jak odwracał swój od Caitlin. Caitlin nigdy jeszcze nie widziała go takim niespokojnym.

- Wątpię – odparła Kendra. – Sam nigdzie się nie wybiera. W rzeczy samej, mamy już wspólne plany na jutro.

- Mamy? – zapytał Sam, a Caitlin usłyszała w jego głosie cień nadziei. Ton jego głosu zdradził jej wszystko, co chciała wiedzieć i zamarło jej serce. Czy poważnie zamierzał pozwolić tej dziewczynie w ten sposób się traktować?

- Zgadza się – powiedziała Kendra. – Mamy.

Caitlin wpatrywała się w Kendrę, kipiąc nienawiścią. Modliła się, żeby Sam zebrał się na odwagę i się jej postawił. Jak długo go znała, Sam zawsze wydawał się mieć z tym problem. Zawsze przyciągał niewłaściwe kobiety, apodyktyczne, lubiące wszystko kontrolować, takie, które były niewłaściwe dla niego. Samantha była najlepszym, ostatnim tego przykładem. A teraz Kendra. Sam miał po prostu pecha na tym polu. Caitlin nie dziwiła się temu zanadto.

Ale mimo to nadal była wściekła. Miała nadzieję, że Sam się zmienił, że był wystarczająco silny, by powiedzieć jej Nie. Że był gotów dołączyć do niej w jej misji.

Jednakże, odwrócił się i spojrzał na Caitlin smutnym, pełnym skruchy wzrokiem. Widziała w jego oczach, że gdzieś w głębi duszy naprawdę chciał wyruszyć z nią, lecz nie był w stanie oprzeć się Kendrze.

- Tak mi przykro, Caitlin – powiedział łamiącym się głosem. – Ja... myślę, że jutro nie będę mógł iść.

Caitlin skinęła głową, zachowując spokój. Jednak głęboko w sercu czuła niewysłowiony ból. Zauważyła zwycięski uśmiešek na twarzy Kendry i poczuła złość. Wiedziała jednak, jak niewiele mogła uczynić. Jej doświadczenia z przeszłości nauczyły ją, że w sprawach serca, ostatecznie, nikt nie był w stanie wpłynąć na związek przyjaciela, ani tym bardziej go kontrolować. Z tą kwestią zawsze w jakiś sposób musiał się uporać sam. Jeśli Sam miał w jakimś zakresie to zmienić, to owe zmiany musiały wyjść od niego.

Caitlin opanowała złość – natychmiast odwróciła się i odeszła, zanim zdążyła zrobić coś pochopnie.

- Caitlin, zaczekaj! – zawołał za nią Sam.

Ale nie zamierzała się zatrzymywać. Podjął decyzję i dla niej było to jasne.

I prawdę powiedziawszy, głęboko w sercu czuła, że nie ma prawa nikogo osądzać. Wiedziała jak to jest być zakochanym, rezygnować z tego powodu z misji. Musiał po prostu pozwolić, by jego własne przeznaczenie się o niego upomniało.

Idąc dalej, uświadamiała sobie coraz bardziej, że ta misja była po prostu wyprawą, w którą miała wyruszyć samotnie.

*

Wróciła do swego pokoju, zamykając za sobą drzwi zdecydowanym ruchem. Chciała być sama, i pragnęła prywatności. To był taki długi i pełen wrażeń dzień. Tak wiele nauczyła się od Aideny, wspięła na wyżyny bitewnego rzemiosła, radząc sobie lepiej niż mogłaby siebie o to podejrzewać. Ponowne spotkanie Blake'a wywarło na niej ogromne wrażenie, ale też przyniosło ból, gdyż jej nie pamiętał – tak samo jak widok Sama. Jakby tego nie było dość

– musiała spotkać Kendrę, pod której wpływem był Sam – co również głęboko ją poruszyło.

Tak wiele sprzecznych myśli i uczuć nią targało, że z ledwością za nimi nadażała. Miała wrażenie, że w tym jednym dniu zmieściło się ich dziesięć.

Kiedy zaszło słońce, rozebrała się i zanurzyła w wannie. Czowała jak każdy jej mięsień się rozluźnił. Ruth siedziała cierpliwie u jej boku.

W głowie kotłowały się różne myśli. O Samie, o tym, jak bardzo się zmienił. O Aidenie. O jej nowych umiejętnościach. O ojcu, o jej misji. O śnie Sama, o unoszącym się kluczu. O Notre Dame. Kiedy te myśli mieszały się ze sobą, Caitlin była zdecydowana, bardziej niż kiedykolwiek, aby wypełnić swoją misję.

Wersal opływał we wszelkie luksusy, jednak czowała, że jej misja wskazywała jej inną drogę. Wszyscy, których znała i kochała, byli tutaj (oprócz Caleba), lecz oni wszyscy byli czymś zajęci. Polly zdawała się tkwić w garści swego chłopaka śpiewaka. Sam miał Kendrę. Blake nawet jej nie pamiętał. Czowała też, że jej trening zaszedł na tyle daleko, na ile mógł w tych czasach i miejscu. Nie wiedziała, co ją tu jeszcze czekało, ale przeczuwała, że nadchodziła pora, by ruszyć dalej.

Wyszła z wanny, wytarła się ogromnym ręcznikiem, po czym ubrała w swobodny strój pozostawiony przy jej łóżku. Był to jedwabny peniuar, złoto-biały, kunsztownie uszyty, a kiedy go założyła, odniosła wrażenie, że nigdy jeszcze nie miała na sobie nic bardziej wykwintnego.

Położyła się na plecach w swoim łóżu z baldachimem, tonąc w niezliczonych poduszkach i westchnęła.

Ruth wskoczyła na łóżko i złożyła głowę na jej kolanach.

Po chwili sięgnęła ręką w stronę nocnego stolik, uniosła i przytrzymała spoczywający tam do tej pory przedmiot.

Zamknięty w puzderku zwój.

Powoli usiadła na łóżku, wpatrując się w nie, trzymając je w obu dłoniach. Powoli przesunęła dłonią po jego krawędziach, bogato inkrustowanych klejnotami. Zamknęła je

w objęciach swych dłoni, próbując poczuć energię ojca. Sprawiało magnetyzujące wrażenie. Czuła, jakby w swych dłoniach trzymała jakąś jego cząstkę.

Ruth podniosła wzrok na Caitlin i zaskomlała, jakby prosząc, by otworzyła puzderko.

W końcu Caitlin zdecydowała się. Nadeszła odpowiednia pora.

Sięgnęła z obu stron, chwyciła zamki i wcisnęła je do środka.

Usłyszała delikatny szcęk. Odsunęła wieczko, które wydało syk, kiedy uwiecznione we wnętrzu od setek lat powietrze wydostało się na zewnątrz.

Zawiasy trzeszczały w miarę, jak otwierała powoli puzderko, a kiedy już to zrobiła, nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Kyle stał obok Napoleona, na czele ogromnej armii jego stronników. Napoleon wezwał cały klan, wszystkich swoich ludzi, w sile setek wampirów, a po drodze podburzali spotkanych na ulicach mieszkańców, zachęcali, by przyłączyli się do nich i razem ruszyli na Bastylię. Nie było to trudne: w powietrzu czuć było ogólne niezadowolenie Francuzów, gniew wobec królewskiej władzy, a Bastylia wydawała się akurat idealnym symbolem, idealnym obiektem ucieleśniającym wszystko to, co królewskie. Im dalej szli, tym liczniejsze tłumy za nimi podążały.

A Napoleon oczywiście słuchał wskazówek Kyle'a.

Kyle uświadomił sobie, jaką zyskał władzę, delektował się uczuciem płynącym z ponownego dowodzenia armią, myślą o zniszczeniach i rozlewie krwi, jakie za chwilę miały nastąpić. Stojąc ze swymi ludźmi na brukowanym placu przed Bastylią, podniósł wzrok i przyglądał się budowli. Tego potężnego bastionu wraz ze zwodzonym mostem i wieżyczkami strzegli ogromni żołnierze, równie odpychający, jak ich zapamiętał. Jednakże, będąc już wcześniej w środku, Kyle znał wszystkie mocne i słabe strony więziennej twierdzy. I wiedział też, jak doprowadzić to miejsce do upadku. W kieszeni miał substancję, która miała przeciwdziałać właściwościom tytanu i uwolnić siedem bestii na dobre.

Uśmiechnął się na myśl o tym. Kiedy już uwolni te stwory, w całym Paryżu zapanuje chaos, jakiego jeszcze żadne miasto nie widziało. Co więcej, był przekonany, że wywoła potężną rewolucję.

Kyle potrzebował tego tłumy, by odwrócić uwagę, przedostać się przez mury i zrobić swoje. Potrzebował też rewolucji, by odwrócić uwagę na jeszcze większą skalę, by dotrzeć do Caitlin i odseparować ją od reszty. Przy takim zamęcie ogarniającym miasto był przekonany, że wydostanie Caitlin spod opieki rodziny królewskiej, że w tym całym

chaosie o wiele łatwiej ją znajdzie i zabije. Aż mu ślinka pociekła na samą myśl. Nie było ani chwili do stracenia.

- TERAZ! – wrzasnął.

Jak na komendę cały tłum zerwał się z miejsca i popędził przez plac w kierunku Bastylii. Rzucił się na mury i po chwili dały się słyszeć pierwsze wystrzały, a zwodzony most uniósł się w górę. Szarżujący tłum zaczął również ostrzeliwać fort. Krew lała się obficie, a przecież ludzie nie dotarli jeszcze do murów.

Kyle wykorzystał zamieszanie. Oddzielił się od tłumu, uniósł w powietrze, przeleciał nad fosą i na drugą stronę. Ukrył się za kamiennym wałem i obserwował, jak wszyscy strażnicy zaczęli gromadzić się przy głównym wejściu. Dostrzegł nadarzącą się okazję. Podleciał do jedyne go strażnika, który został na warcie i jednym kopnięciem pozbawił go przytomności. Zabrał jego klucze i wśliznął się do wnętrza.

Tym razem był już obeznany z budynkiem, dzięki swojej pierwszej wizycie w tym miejscu. Wiedział dokładnie, dokąd pobiec w panujących tu ciemnościach. Zbiegł po kamiennych schodach i nagle uskoczył w bok, do wnęki w murze, którą wcześniej tu widział. Stał i czekał, pamiętając ilu strażników było na dole. Wiedział, że jeśli tu poczeka, przebiegną obok niego, by pomóc bronić bramy.

I miał rację. Chwilę później wyminęły go dziesiątki strażników-wampirów, całkowicie nieświadomych jego obecności. Poczekał jeszcze kilka sekund, aż droga była wolna, po czym ruszył biegiem, kierując się coraz niżej i niżej.

Najpierw dotarł do żelaznej bramy, którą wyrwał z zawiasów jedną ręką bez zatrzymywania się.

Zszedł jeszcze niżej i dotarł do wielkiej, srebrnej bramy. Tym razem wyjął klucz strażnika i otworzył ją. Brama szybko ustąpiła.

Kyle znalazł się w całkowitej ciemności. Schodził coraz niżej, spiesząc się coraz bardziej. Był już w stanie wyczuć

smród siedmiu bestii. Wiedział, że był coraz bliżej, że zbiegał na najniższą kondygnację.

Wreszcie dotarł do końca. Pomieszczenie sprawiało wrażenie otchłani. Zauważył tytanowe kraty. Aż wzdrygnął się przed metalem, nawet stojąc w tak dużej odległości. Ich energia była zbyt silna.

Kyle był jednak przygotowany. Sięgnął do sakwy, wyjął proszek i rzucił w kierunku krat. Sidnius Moroxide. Jedyna substancja, która była w stanie rozpuścić tytan.

Zaczekał kilka chwil, obserwując, jak tytan zmienia kolor z błyszczącego srebrnego na różowy. Kiedy cały się zmienił, Kyle wiedział, że był gotowy. Wyciągnął ręce, chwycił kraty i pociągnął ze wszystkich sił.

Nawet z pomocą proszku musiał włożyć w to wiele sił. Ciągnął z całą mocą, aż w końcu udało mu się wyrwać tysiącletnie kraty z zawiasów.

W tej samej chwili siedem bestii podeszło do niego i stanęło zaledwie kilka stóp dalej, warcząc. Najnikczemniejsze demony, jakie kiedykolwiek widział, heroldowie piekieł, tacy, przy których jego własna rasa zdawała się chmarą wrózek. Ich sękaty mordy miały tysiące lat. Uniosły ogromne pazury i warknęły, gotowe rzucić się na niego, swego wyzwoliciela.

Wiedział, że te stworzenia nie okazywały wdzięczności. Przeciwnie, zabiłyby go gdyby tylko mogły.

Podziwiał w nich to. I chciał, żeby zabijały. Nie chciał jednak sam walczyć z nimi. To by przekreśliło jego plany.

Odwrócił się i ruszył przed siebie pędem, po czym uniósł się w powietrze, wiedząc, że rzucają się za nim w pościg. Leciał coraz wyżej i wyżej ku sklepieniu okrągłej baszty.

Uwolnione bestie były tak szybkie jak myślał i w przeciągu kilku minut wyczuł je za sobą, jakby deptały mu po piętach.

Dobrze, pomyślał Kyle. Są gotowe.

Leciał i leciał, aż w końcu wydostał się na główną kondygnację przez frontowe drzwi, wprost w kierunku

zwozonego mostu. Siódemka ruszyła za nim, jak na to liczył, niczym rój szerszeni; teraz jednak, kiedy ujrzały przed sobą wolność, zdekoncentrowały się. Straciły Kyle'a z oczu i pozbawiły głów wszystkich strażników stojących na posterunku.

Kyle odleciał na otwartą przestrzeń z poczuciem ulgi, że miał je już z głowy. Na jego twarzy gościł ogromny uśmiech. Poniżej, tysiące Paryżan walczyło na śmierć i życie, by wdrzeć się do budynku. Po drugiej stronie zaś, wewnątrz twierdzy, siedem bestii rozdzierało strażników na strzępy. Za kilka minut miały odzyskać wolność i włączyć się z pozostałymi po ulicach, siac zniszczenie na taką skalę, jakiej Paryż jeszcze nie widział.

Kyle był małym chłopcem, kiedy ostatni raz czuł się aż tak rozentuzjasmowany. Dokładnie tego było mu trzeba. Teraz z łatwością mógł znaleźć i zabić Caitlin.

Teraz jego rewolucja mogła wreszcie wybuchnąć.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Caitlin siedziała na łóżku, wpatrując się w otwarte puzderko ze zdziwieniem. Wewnątrz spoczywał delikatny zwój, zwinięty i zapieczętowany woskiem. Na wosku widniało insygnium w kształcie niewielkiego, antycznego krzyża, który Caitlin natychmiast rozpoznała, jako że był identyczny z niewielkim, srebrnym krzyżykiem, który nosiła na szyi. Sięgnęła dłonią i dotknęła swego naszyjnika, spoglądając na symbol na zwoju i poczuła ulgę, że nadal tam był.

Sięgnęła po zwój. Był kruchy, spisany na twardym, żółknącym pergaminie. Wyglądał na bardzo stary.

Ostrożnie przełamała pieczęć i rozwinęła go.

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyła, było to, że pismo kończyło się nagle w połowie rozwijanego przez nią pergaminu. Spojrzała na spód i zobaczyła porwane krawędzie i natychmiast zrozumiała, że zwój był niekompletny, najwyraźniej przedarty w połowie. Miała w rękach tylko górną część.

Przyjrzała się mu i zauważyła, że został napisany starannym, odręcznym pismem. Przypomniawszy jej arkusz, który kiedyś widziała, oglądając kopię Deklaracji Niepodległości: był tak idealny, że trudno było wyobrazić sobie, iż był dziełem ludzkich rąk.

Czuła, jak ręce jej się trzęsą, kiedy tak patrzyła na niego, uświadomiwszy sobie, że to pismo należało do jej ojca. Że naprawdę istniał. Że naprawdę coś jej pozostawił. Że zależało mu na niej na tyle, by to uczynić. Czuła jak serce jej rosło z radości. Była zdecydowana, jak nigdy wcześniej, wypełnić swoją misję – i odnaleźć go. Przeczytała każde słowo z nabożną czcią:

Najdroższa Caitlin:

Jeśli to czytasz, to znaczy, że przezwyciężyłaś już wiele trudności. To znaczy, że dokonałaś wyboru, podażyłaś ścieżką mało uczęszczaną, że wybrałaś trudniejszą drogę. I za to należy ci się moja pochwała. Jesteś prawdziwie córką swego ojca.

Musisz wybaczyć mi wszystkie te zagadki, kody, listy i klucze, ale tajemnica, której strzegę jest zbyt potężna i musi zostać rozbita na elementy, aby inni jej nie rozszyfrowali. Tylko prawdziwie godnemu – tylko tobie samej – pisane jest rozwikłać tę tajemnicę, co ostatecznie i tak się stanie.

Jeśli to czytasz, to znaczy, że masz już jeden klucz. Musisz odzyskać pozostałe trzy, by do mnie dotrzeć.

Skup się teraz na drugim kluczu. Aby go znaleźć, będziesz musiała udać się na Pola Uczonych—

List był rozdarty dokładnie w tym miejscu, w środku zdania.

Caitlin przeczytała go po raz drugi i trzeci, po czym odłożyła na bok.

Odchyliła się, czując w głowie totalny mętlik. Już samo trzymanie tego w dłoni wywierało na niej ogromne wrażenie. Jej misja stawała się bardziej realna, bardziej nagła niż kiedykolwiek wcześniej.

Ale była również zdezorientowana. Pola Uczonych? Gdzie do diaska mogło to być?

Była zdecydowana wyruszyć natychmiast, podjąć swoją misję, skierować się tam bezzwłocznie, gdziekolwiek to było i odnaleźć drugi klucz.

Zanim jednak zdążyła pomyśleć, gdzie to mogło być, nagle odezwało się pukanie do drzwi.

Podniosła się z łóżka, lecz zanim zdążyła do nich dojść, otworzyły się same z siebie.

Do środka wkroczyła Polly, z wielkim uśmiechem na twarzy, promieniejąc ze szczęścia. Miała na sobie wytworny, finezyjny strój, długą, atlasową, zieloną suknię z białym wykończeniem, włosy zaś upięła w kok, a na twarzy widniał starannie wykonany, upudrowany makijaż.

Ruth podbiegła do niej i zaczęła skakać przy nogach.

- O mój Boże, dlaczego nie jesteś jeszcze ubrana? – zaczęła. Koncert jest dziś wieczorem!

Wpadła do pokoju i natychmiast zaczęła przekopywać się przez garderobę Caitlin, jakby zamierzała przygotować jej strój.

Caitlin usiadła na skraju łóżka, zdezorientowana.

- Jaki koncert? – spytała.

- Nie mówiłam ci? Dziś wieczorem będzie śpiewać. Mój chłopak. *Musisz* przyjść. Wszyscy tam będą!

Podbiegła do niej podekscytowana, chwyciła za rękę i zaczęła ściągać ją z łóżka i stawiać na nogi.

- Nie wspominając już o tym, że właśnie podano obiad – kontynuowała Polly. – Każdy koncert poprzedza tu ucztą. Wszyscy cię tam oczekują!

Caitlin wycofała dłoń z uścisku Polly i powoli potrząsnęła głową.

- Przykro mi, Polly – powiedziała. – Ale nie mogę tam iść. W zasadzie to właśnie opuszczam Wersal.

Polly popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- O czym ty mówisz? Ledwie znaleźliśmy trochę czasu, by ze sobą porozmawiać! Co masz na myśli mówiąc, że odchodzisz? Dokąd? Dopiero co tu przybyłaś!

- Przykro mi – odparła Caitlin – ale muszę odszukać ojca. Wracam do Paryża. Do Notre Dame. Mam przecucie, że albo on tam jest, albo jakaś wskazówka, która mnie do niego doprowadzi.

Zauważyła, że Polly zrzedła mina z rozczarowania.

- A nie miałyśmy czasu na rozmowę, gdyż byłaś zaabsorbowana tym śpiewakiem – dodała Caitlin. Czowała, że powinna dać Polly do zrozumienia, jak sama się z tym czuła.

Polly spuściła wzrok, po raz pierwszy od kiedy Caitlin ją poznała wyglądając na zasmuconą.

- Przykro mi – powiedziała. – Nie chciałam zranić twoich uczuć. Tylko... Podniosła wzrok i jej oczy błyszczały ponownie. – Jest *taki* niewiarygodny. *Musisz* go poznać. *Proszę*. Obiecuję, że po dzisiejszej nocy wszystko będzie inaczej. Będziemy spędzać o wiele więcej czasu razem. To dopiero początek. Nie poznał jeszcze nikogo z moich przyjaciół. Chciałabym, żebyś ty była tą pierwszą!

Caitlin westchnęła, nie wiedząc, co robić. Z jednej strony, chciała natychmiast stąd wyjść. Z drugiej strony nie chciała zawieść Polly – ani nikogo innego. Zwłaszcza, kiedy wszyscy okazali jej tyle gościnności. W gruncie rzeczy zbliżał się wieczór i nie widziała żadnej przeszkody w tym, że zaczeka do rana. A patrząc na Polly zrozumiała, jak ważne było dla niej, by poznała tego mężczyznę. Rozumiała to. Gdyby odwrócić tę sytuację, i gdyby chodziło o Caleba, mogłaby czuć to samo.

Przede wszystkim jednak, Polly zawsze umiała trafić w jej czuły punkt.

- W porządku – powiedziała – ale zastanę jedynie na tę noc. Jutro odchodzę.

- Tak! – krzyknęła Polly, skacząc i biegając z podekscytowania po pokoju. Caitlin dziwiła się, ile w niej było jeszcze z dziecka. Polly pospiesznie przerzuciła wszystkie ubrania Caitlin i wybrała długą, elegancką, żółtą spódnicę z czerwonym wykończeniem.

- Ta – powiedziała. – Tak, jest idealna. *Musisz* ją założyć.

Caitlin spojrzała na nią i pokręciła głową. Nigdy jeszcze nie miała na sobie czegoś choć odrobinę przypominającego tę spódnicę. Była strasznie długa, oficjalna i miała tyle materiału. Wyglądała na taką, z której można by uszyć draperie dla całego domu.

- No, nie wiem, Polly – powiedziała. – To nie w moim stylu.

- Nonsens – powiedziała Polly, podbiegłszy do Caitlin i przyłożywszy do niej spódnicę. Aż się zakrztusiła. – O mój Boże! Jest piękna!

Caitlin pomyślała, że daremnie byłoby spierać się z Polly. Najwyraźniej stroje były jej całym światem. Doszła do wniosku, że lepiej było przystać na wybór Polly, zwłaszcza, że jej samej nie zależało na tych wszystkich fantazyjnych ubraniach.

- W porządku, założę ją – powiedziała.

Polly krzyknęła z radości, klaszcząc przy tym w dłonie. Ruth zaszczeła z podnieceniem, dołączywszy do Polly.

A Caitlin uświadomiła sobie, że czekała ją długa noc.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Po wielogodzinnych przygotowaniach – trwających o wiele za długo, niżby Caitlin chciała – Polly w końcu była zadowolona z ich wyglądu. Ponieważ nie mogły obejrzeć się w lustrze, musiały polegać na sobie nawzajem. Według Polly Caitlin wyglądała zachwycająco. Caitlin nie była tego taka pewna. Nigdy nie myślała o sobie w tych kategoriach, bez względu na ubiór.

Lecz spędziła więcej czasu, nakładając makijaż i wciskając się w strój niż kiedykolwiek w życiu. Każdą warstwę materiału pokrywały kolejne, coraz mniej wygodne. W panującym wokół lipcowym upale Caitlin czuła, jak z każdą nową warstwą podnosiła się jej temperatura. Nie miała pojęcia, jak inni to znosili.

Jakby tego było mało, Polly pokryła jej twarz licznymi warstwami tłustego, białego pudru. Caitlin nie mogła zrozumieć, z jakiego powodu obecne pokolenie uważało to za atrakcyjne. A nawet jeśli, to czy jedna warstwa nie wystarczała? Po pierwsze, i tak była blada; teraz najpewniej wyglądała śmiesznie.

Na dodatek, jakby już nie gotowała się w tym upale i chętnie zdarłaby z siebie każdy skrawek materiału, jej strój musiał uzupełniać ogromny, ciężki kapelusz. Caitlin było tak ciepło i ciężko, że mogłaby krzyczeć. Czuła się jak bawidelko, przebrane, by pochwalić się nią przed ludźmi. Nienawidziła tego. Wolała proste, luźne ubranie, które z łatwością mogła na siebie zarzucić i potem zdjąć. Wolała również, by nie zmuszano jej do noszenia makijażu. I nienawidziła spędzać całych godzin na przygotowaniach.

Mimo to, spróbowała przybrać radosną minę. Nie chciała zepsuć Polly nastroju, która jak zwykle kipiała podekscytowaniem.

- O mój Boże, wyglądasz fantastycznie! – powtórzyła Polly. – Cały pałac będzie dziś o tobie mówił! Bez słowa chwyciła ją pod rękę i razem opuściły budynek dla gości.

Mijały idealnie przystrzyżone ogrody, kierując się w stronę głównego, marmurowego pałacu Wersalu. Ruth podążała za nimi.

Kiedy zaczęły wspinać się po marmurowych schodach, natychmiast kilka sług zerwało się z miejsca, by otworzyć przed nimi drzwi. Caitlin nigdy jeszcze nie czuła się tak dostojnie.

Weszły przez drzwi posuwistym krokiem, potem ruszyły marmurową galerią przed siebie, a w oddali kolejni służby otwierali już przed nimi drzwi.

Weszły do wspaniałej, okazałej sali obiadowej. Caitlin nigdy jeszcze nie widziała takich bogactw. We wnętrzu dominował ogromny stół, który na oko mógł pomieścić przynajmniej pięćdziesiąt osób. Otaczały go obszerne, wytworne fotele udekorowane jasnoniebieskim atłasem i białymi poręczami. Na stole zaś ułożono kwiaty i płonące świece. Zastawę zdobiły prawdziwe srebra i prawdziwa porcelana.

Na stole było mnóstwo jedzenia, a każdy gość miał przy sobie talerz wypełniony nim po brzegi. Między uczującymi krzątały się dziesiątki służących, gotowych spełnić każdą zachciankę, bezustannie napełniających winem najwspanialsze kryształki, jakie Caitlin kiedykolwiek widziała. Nad stołem zaś wisiały wspaniałe kryształowe żyrandole, odbijające światło wszędzie wokół.

A to był dopiero początek. Wszyscy ubrani byli w szykowne stroje, których bogactwo przyćmiło wszelkie widziane do tej pory przez Caitlin. Były tam różnego kształtu, koloru i rozmiaru stroje, suknie i kostiumy. Biesiadnicy mienili się kolorami tęczy. Nad nimi górowały ekstrawaganckie kapelusze i jeszcze bardziej ekstrawagancka biżuteria. Zarówno kobiety jak i mężczyźni nosili pierścienie wielkości piłeczki golfowej, długie, skrzące się kolczyki,

wysadzane drogimi kamieniami bransolety. Wszystko dosłownie błyszczało.

Na uboczu, w rogu siedzieli muzycy i grali lekką, przyjemną muzykę na harfie i wiolonczeli, dbając o odpowiedni nastrój wieczery.

Caitlin zlustrowała siedzących. Wielu twarzy nie rozpoznała, było jednak kilku, których znała. Zauważyła Sama siedzącego o wiele za blisko Kendry, która wsparła się na jego ramieniu, gdy ten karmił ją truskawkami w czekoladzie.

Przesunęła wzrok dalej i zobaczyła Blake'a siedzącego przy odległym krańcu stołu, a przy nim piękną, wysoką blond dziewczynę. Caitlin wyczuła, że była człowiekiem, a widząc przy niej Blake'a i to, jacy byli razem szczęśliwi, poczuła, jakby ktoś wbił jej sztylet w serce.

Natychmiast odwróciła wzrok, próbując skupić uwagę na kimś innym. Zauważyła bliźnięta, Taylor i Tylera, a później, i kamień spadł jej z serca, zobaczyła Lily. Była jedyną osobą, której widok pozwolił jej się odprężyć. Z jeszcze większą radością zauważyła, że miejsce obok niej było wolne. Caitlin pospieszyła w tym kierunku z Polly u boku.

- Możemy się przyłączyć? – spytała.

Lily podniosła wzrok i otworzyła szeroko oczy z zachwytem.

- Myślisz, że dla kogo innego je trzymałam? – spytała z uśmiechem.

Caitlin usiadła obok Lily, a Polly po jej drugiej stronie.

Caitlin próbowała nie patrzeć w stronę Blake'a. Odwróciła głowę w przeciwną stronę i zobaczyła Sama z Kendrą. Widok ich obojga splecionych ze sobą również ją zdenerwował, więc odwróciła wzrok i od tego końca stołu. Zaczęła się wiercić, nie wiedząc, gdzie patrzeć. Straciła też cierpliwość i chciała wyjść.

- Gdzie on jest? – zapytała Polly, lustrując wszystkich przy stole w poszukiwaniu jej nowego chłopaka. Miała ochotę go poznać, przekonać się, ile prawdy było w tym całym gadaniu – a potem wyjść. Była zaskoczona, nie natknąwszy się na niego

w drzwiach. Nie czekał, by powitać Polly, ani odprowadzić ją do miejsca przy stole, tak jak robili to inni mężczyźni.

- Będzie śpiewał – powiedziała z wielką dumą Polly – więc nie dołączy do nas przy uczeniu. Przed każdym pokazem musi się odpowiednio przygotować. Potrzebuje czasu dla siebie. Za kulisami. Jest przecież wielkim artystą.

Caitlin spojrzała na Polly i zaczęła się zastanawiać, czy Polly mówiła poważnie. Tak było. Nigdy nie widziała jej tak zadurzonej. Znowu zaniepokoiła się z jej powodu. Wszystko, co Polly jej o nim opowiadała, przyprawiało Caitlin o gęsią skórę, sprawiało, że czuła, jakby coś z nim było nie tak. Wydawał się taki zarozumiały, taki nadęty. Caitlin nie przejęła się zbytnio tym, że miał dać koncert – nadal uważała, że powinien powitać Polly i odprowadzić ją do stołu, zjeść razem z nią, zwłaszcza kiedy Polly była nim tak zachwycona.

Caitlin ponownie miała ochotę powiedzieć Polly, co o tym myśli – lecz, niechętnie, ugryzła się w język. Nie chciała się w to wtrącać, ani zepsuć Polly zabawy, zwłaszcza, że w jej mniemaniu nie przyniosłoby to nic dobrego. W każdym razie postanowiła poczekać z tym, aż sama go pozna.

Pojawiło się kilku służących i zaczęło nakładać przeróżne dania na talerz Caitlin i napełniać jej kielich gęstym, czerwonym płynem.

Caitlin poczuła głód, kiedy zauważyła, co takiego trafiło do jej kielicha: krew. Podniosła do oczu i zobaczyła, że płyn miał jasny odcień czerwieni, niepodobny do żadnych, które do tej pory widziała.

- Oczyszczona – wytłumaczyła Lily.

Caitlin spojrzała na nią.

- Filtrują z niej wszystkie zanieczyszczenia – kontynuowała Lily. – Podobno jest zdrowsza dla waszego rodzaju. Pamiętaj, jesteś w Wersalu: tu wszystko jest ekstrawaganckie.

Caitlin posmakowała i zdziwiła się. Płyn był o wiele delikatniejszy i łatwiej służył w gardle. Zaskoczył ją również natychmiastowy zastrzyk energii i to, jak szybko poczuła się

po nim ożywiona. Jakkolwiek przygotowali tę krew, była zdecydowanie świetnej jakości.

Caitlin wzięła kawałek surowego mięsa ze swego talerza i podała kryjącej się pod jej nogami Ruth. Ta podskoczyła i wyrwała jej z palców i z radością łapczywie połknęła. Popatrzyła na Caitlin, prosząc o więcej, i Caitlin podała jej kolejny kawałek.

Caitlin rozejrzała się dokoła stołu. Biesiadnicy tworzyli bogatą mieszankę wampirów i ludzi. Obie rasy znakomicie porozumiewały się ze sobą i czuć było ogólną harmonię.

- Niezły widok, nieprawdaż? – spytała Lily.

Caitlin skinęła głową. Wszyscy zdawali się pochłonięci pogawędką i wzdłuż całego stołu dały się słyszeć serdeczne śmiechy.

- Zazdroszczę wam takiego życia – powiedziała Lily. – Nasze królewskie przypomina przymusową bezczynność. I to cały czas. Wolałabym być teraz gdzieś indziej, walczyć, podróżować, robić cokolwiek. I gdziekolwiek, byle nie tutaj.

Caitlin była zdumiona, kiedy usłyszała słowa Lily, ponieważ właśnie rozmyślała o tym, jak niezwykle musiało być życie spędzone w tym miejscu.

- Ale przecież tu jest tak pięknie – powiedziała Caitlin.

- Żadne miejsce nie jest piękne, jeśli jesteś w nim uwięziona – odparła Lily.

- Ale przecież nie jesteś tu więziona. Jesteś członkinią królewskiej rodziny. Możesz iść, gdzie ci się spodoba.

- Jestem więźniem własnej klasy – powiedziała Lily. – Nie mogę podróżować z pospólstwem, ani poruszać się po zwykłych drogach, ani też robić tego samemu. Wszystko musi przebiegać oficjalnie. Dworskiej etykiety nie ma końca. Owszem, mogę iść, ale gdzie? Jestem uwięziona w tym życiu.

- Więc dlaczego go nie porzucisz?- spytała Caitlin.

Lily westchnęła.

- Myślałam już o tym. Wiele razy. Może któregoś dnia tak zrobię. Obecnie jednak... zostają złote kajdany, jak myślę.

Lily uśmiechnęła się i podniosła kielich i Caitlin zrobiła to samo. Wzniosły toast i obie wypily kolejną porcję.

- Caitlin! – odezwał się czyjś podekscytowany głos.

To Sam zawołał ją z drugiego końca stołu. Uśmiechał się i jednocześnie był zaskoczony jej widokiem. Wzniósł kielich w jej kierunku.

-To wspaniałe spotkać cię tutaj! – powiedział.

Caitlin uśmiechnęła się i również uniosła swój kielich.

Siedząca obok Sama Kendra popatrzyła gniewnie na Caitlin, nie starając się nawet ukryć nienawiści do niej.

- Mój Boże, skąd go znasz? – zapytała Polly.

Caitlin spojrzała na nią skonsternowana.

- Kogo? Sama?

Polly skinęła głową.

- To mój brat!

Oczy Polly rozszerzyły się.

- Twój brat? Nie miałam pojęcia! O mój Boże! Kiedy go tutaj przyprowadziłam, powiedział, że szuka siostry. Nie miałam pojęcia, że chodziło o ciebie. No, no! Twój brat. Niewiarygodne!

Wyglądało na to, że Polly zaczęła rozmyślać nad tym, okręcając kosmyk włosów wokół palca.

- Cóż, w takim razie – powiedziała – powinnaś go przestrzec.

Caitlin spojrzała na nią z obawą.

- Przed czym?

- Przed tą wiedźmą – powiedziała Polly. – Kendrą. Przyczepiła się do niego tylko po to, by ją przemienić. Próbowiła namówić na to już wszystkich naszych mężczyzn. Wiedzą, że to zabronione, więc nie zrobią tego. Sam gra w

niebezpieczną grę. Nie może jej nigdy przemienić. Powinien przestać ją zwodzić. I wiedzieć, na czym jej tak naprawdę zależy.

Przyglądając się Kendrze ponad stołem, Caitlin czuła, jak wzbiera w niej coraz większa złość. Jej brak zaufania i gniew wobec Kendry ustąpiły czemuś silniejszemu: instynktowi opiekuńczemu wobec brata.

Miała już wstać, obejść stół, wyprosić brata na chwilę i porozmawiać z nim porządnie – ale w chwili, kiedy odsunęła krzesło, rozległ się głośny brzęk kryształu i wszyscy przy stole wstali z miejsc. Jak na komendę, odeszli od stołu w kierunku innej sali.

- Dokąd oni wszyscy idą? – spytała Caitlin.

Zanim jednak Polly zdążyła odpowiedzieć, nagle, otworzywszy szeroko oczy, niemal zaczęła podskakiwać w miejscu z nadmiernego podekscytowania.

- Hurra! Musisz go poznać. Mojego chłopaka! Jest już. Zaraz będzie śpiewał. Chodź szybko – powiedziała, chwytając Caitlin za rękę. – Znajdźmy jakieś dobre miejsce!

Tłum powoli wypełniał salę. Polly poprowadziła Caitlin przez ogromną, oficjalną salę sąsiadującą z obiadową, na tyle obszerną, że z powodzeniem mogła uchodzić za koncertową. Wnętrze wypełniały dziesiątki małych kanap, szezlongów i grubo wyściełanych foteli.

Polly podeszła z Caitlin do niewielkiej kanapy w przednim rzędzie i razem usiadły. Lily również do nich dołączyła. Przed sobą miały podwyższoną scenę pokrytą pięknymi, biało-czarnymi płytami z marmuru, nad którą wisiał ogromny żyrandol. Na krańcach sceny siedzieli muzycy, jeden z harfą, drugi z wiolonczelą i jeszcze jeden ze skrzypcami. Brakowało jedynie śpiewaka.

Caitlin rozejrzała się wokół. Wszyscy podekscytowani i zniecierpliwieni zajmowali właśnie miejsca. Zauważyła Sama i Kendrę siedzących na niewielkiej, dwuosobowej kanapie i trzymających się za ręce. Po drugiej stronie dostrzegła Blake'a siedzącego ze swoją dziewczyną. Zatoczyła wzrokiem koło –

niemal wszyscy zdawali się być w parach. Wszyscy oprócz niej.

Poczuła się skrępowana jak nigdy dotąd. Czowała się już dostatecznie nieswojo. Nie potrafiła powstrzymać się od myśli o Calebie i poczuła jeszcze większy smutek. Chciała stąd odejść jak najszybciej. Miała nadzieję, że wkrótce pojawi się chłopak Polly, da koncert i ona będzie mogła wreszcie odejść.

Jedynym jej pocieszeniem w tej wielkiej sali była siedząca obok niej Lily. Szybko została jej przyjaciółką. Caitlin żałowała, że nie miały więcej czasu na rozmowę. Pomyślała, jak bardzo zmieniło się jej życie: mogłaby się założyć, że to Polly będzie najbliższą przyjaciółką. Wszystko jednak tak szybko się zmieniło.

Zgromadzeni na sali nagle ucichli, kiedy za sceną poruszyła się ogromna atlasowa kotara, a słudzy zgasili kilka świec. Na scenę wkroczył teatralnym krokiem mężczyzna ubrany w długi, czarny, atlasowy surdut z wysokim kołnierzem i białą koszulę z ogromnymi mankietami. Światło było przytłumione i dlatego Caitlin nie mogła przyjrzeć się jego twarzy za dobrze. Widziała jednak, jak teatralnie się zachowywał, jaki był zarozumiały. I jego gęstą, czarną, pofalowaną czuprynę.

Kiedy podszedł bliżej, wprost do krawędzi sceny i stanął niemal przy niej, Caitlin mogła wreszcie przyjrzeć się jego twarzy.

I jej serce zamarło, a całe ciało zastygło w miejscu.

Nie. To nie mogła być prawda.

- Zaśpiewam wam dzisiaj motety Vivaldiego – oznajmił dramatycznym tonem śpiewak.

Odwrócił się i skinął głową na muzyków. Otworzył usta i na jego znak muzycy zaczęli grać.

Caitlin przyglądała się jego twarzy dokładnie, modląc się, aby była w błędzie. Ale nie była. To był zdecydowanie on. Nie mogła opanować zaskoczenia. Była przerażona.

Oto stał przed nią jeden z jej największych wrogów: Sergei. Pomagier Kyle'a. Mężczyzna, który ukradł jej Miecz

w King's Chapel w Bostonie. Mężczyzna, który wbił jej w plecy ostrze. Mężczyzna, który współpracował z Kyle'm, by z jej życia uczynić piekło.

Rozpoznała bliznę idącą w poprzek jego policzka. To był zdecydowanie i absolutnie on. Nie było co do tego wątpliwości.

Poczuła, jak jej całe ciało zaczęło się trząść. Chciała rzucić się do przodu, zemścić się, zabić go gołymi rękoma.

Ale oczywiście nie mogła. Śpiewał, wykonywał swój utwór, a salę wypełniali ludzie, którzy byli wobec niej gościnni. Przyjęli go, bez względu na to, z jakiego powodu. Czy naprawdę nie mieli pojęcia, kim był?

Najgorsze było to, że tuż obok niej siedziała Polly, jej najlepsza przyjaciółka, pałająca uczuciem do tej kreatury. Caitlin nie mogła tego zrozumieć. Polly była najwyraźniej całkowicie nim oczarowana.

Nie wiedziała, co robić. Przede wszystkim, poczuła palącą potrzebę ostrzeżenia Polly. A potem innych. Czuła, że w żadnej mierze nie mógł być zbieg okoliczności. Najwyraźniej Sergei cofnął się w czasie. Prawdopodobnie po to, by jej, Caitlin, szukać. Prawdopodobnie, by szukać też Tarczy. Prawdopodobnie wysłał go Kyle. Prawdopodobnie przeniknął w otoczenie tych ludzi i wykorzystywał ich do swoich celów. Pewnie udałby roztargnienie, brak pamięci. Prawdopodobnie upierałby się, że nie jest osobą, za którą go brała.

Lecz ona dobrze wiedziała. Każdą cząstką swego ciała. Tą blizną, którą zostawił jej na plecach, nerką, w której poczuła pulsujący ból na jego widok. Ta blizna nigdy nie znikła. A to był mężczyzna, który musiał za to zapłacić.

Jednak zmusiła się, każdą cząstką woli, by pozostać na miejscu, gdy on kontynuował pieśń.

Co gorsza, musiała przyznać, pomimo wszystko, że Sergei miał piękny głos. W gruncie rzeczy był to najpiękniejszy dźwięk jaki kiedykolwiek słyszała. Jak głos anioła zesłany z niebios. A ta pieśń, taka spokojna, taka średniowieczna. Brzmiała jak coś, co można by śpiewać w klasztorze.

Jak to było możliwe? zastanawiała się Caitlin. Jak ta ohydna istota mogła stworzyć tak cudowną muzykę? Czy życie była aż tak paradoksalne?

Pomimo wszystkiego, co o nim wiedziała i co wobec niego czuła, Caitlin uświadomiła sobie nagle, że i ją hipnotyzowała ta muzyka. Była dziwna, jakby posiadał jakąś niezmierną moc. Musiała przemóc się, by uwolnić się spod jej wpływu.

W końcu, po chwili, która zdawała się trwać kilka godzin, pieśni dobiegły końca i cała sala wybuchnęła oklaskami. Wszyscy skoczyli na nogi i zaczęli bić brawa. Nie mogła uwierzyć, jak mogli być aż tak ignorancy.

Polly odwróciła się do Caitlin i spojrzała z błyszczącymi oczyma.

- Więc? Podobał ci się? Czyż nie jest fantastyczny? Wprost zachwycający? O mój Boże, czyż to nie było niewiarygodne? Czy go teraz nie uwielbiasz?

Nie czekając na odpowiedź, chwyciła Caitlin za rękę z zamiarem zaciągnięcia na scenę, by przedstawić jej chłopaka.

Tym razem jednak Caitlin stawiała opór.

Polly zatrzymała się i spojrzała na nią zdezorientowana.

- Co się stało? – spytała.

Caitlin próbowała wziąć się w garść, uspokoić.

- Polly, musimy porozmawiać.

- Najpierw musisz go poznać – powiedziała. – Możemy porozmawiać po—

- Nie! – warknęła Caitlin. – Musimy porozmawiać teraz.
Dokładnie w tej chwili!

Polly spojrzała na nią zaskoczona, a Caitlin złapała ją za ramię i pociągnęła w kierunku przeciwnym do tłumu, do innej sali.

Wkrótce stały już same w przyległej, pustej sali.

- Caitlin, co ty wyprawiasz? Muszę się z nim zobaczyć—

- Polly! – powiedziała zdecydowanym głosem Caitlin. – Ten śpiewak, twój chłopak, Sergei – nie jest tym, za kogo go uważasz.

Polly spojrzała na nią zdezorientowana, bezrozumnym wzrokiem.

- Jest bardzo, bardzo złą osobą, Polly – powiedziała Caitlin. – Jest mrocznym i złym wampirem. Lojalnym członkiem klanu Blacktide należącego do Kyle'a. Przybył tu z innego stulecia, prawdopodobnie wysłany, by mnie odszukać. Przykro mi to mówić, ale on ciebie wykorzystuje. Musisz trzymać się z dala od niego.

Pierwszy raz Caitlin zauważyła jak twarz Polly wykrzywił gniew.

- Nie wiesz, o czym mówisz – odburknęła Polly. – Sergei taki nie jest. Pomyliłaś go z kimś innym. Sergei jest idealny. Owszem, jest wampirem, ale pochodzi z dobrego klanu. Nie przybył tu z innego wieku. Był tu od zawsze. Sam mi to powiedział. Pochodzi z Rosji. Jest śpiewakiem. Na nikogo nie nastaje. A już z pewnością nie na ciebie. Wydaje ci się po prostu, że jesteś najważniejsza na całym świecie!

Caitlin zamurowało. Nigdy jeszcze nie widziała, żeby Polly zachowywała się w ten sposób.

- Polly, proszę zrozum—

- Nie. Dobrze wiem. Jesteś zazdrosna. Chcesz go dla siebie. I nie możesz znieść, że jestem szczęśliwa. Co jest z tobą nie tak? Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką.

Nagle wyminęła Caitlin, kierując się z powrotem do sali – a Caitlin złapała jej nadgarstek w ostatniej sekundzie.

- Polly. Mówię prawdę. Proszę. Wiem, że słuchasz tego z bólem serca. Ale musisz mnie posłuchać. Musisz mi zaufać. Trzymaj się od niego z daleka.

Polly spojrzała na Caitlin, popatrzyła jej głęboko w oczy, kipiąc z wściekłości.

- Zabierz swoją dłoń – powiedziała powoli i stanowczo, z takim jadem, że Caitlin odrzuciło.

Caitlin powoli zwolniła uścisk.

- To *koniec* naszej przyjaźni! – powiedziała Polly.

Po czym odmaszerowała do drugiego pomieszczenia, zatraskując z całych sił ogromne drzwi.

Caitlin pozostała na miejscu, czując wielką pustkę. I smutek, widząc, jak na jej oczach rozpadła się jej przyjaźń z jedną z najmiłszych osób jaki знаła. Ta Polly nie była już tą samą osobą, co kiedyś.

Nienawidziła też tego, że nie mogła nic na to poradzić. Że, bez względu na to, co by w tej chwili powiedziała, czy zrobiła, Polly i tak nie posłuchałaby jej. Miłość przesłoniła jej wzrok tak bardzo, że nie potrafiła rozsądnie myśleć.

I martwiła się, że Polly pakowała się w tarapaty. Że wyjdzie z tego ze złamanym sercem.

Caitlin wiedziała jednak, bardziej niż kiedykolwiek, że jej czas w Wersalu dobiegł końca. Została dłużej dla Polly i najwyraźniej popełniła błąd. Czuła, że nie miała już więcej czasu do stracenia. Przyszła pora poszukać ojca.

Kiedy wychodziła z sali, nagle otworzyły się za nią drzwi. Odwróciła się i zobaczyła zbliżającą się do niej Lily.

- Co się stało? – spytała, kiedy podeszła bliżej i razem opuszczały pomieszczenie.

Caitlin była zażenowana. Miała nadzieję, że nie wywołała skandalu, opuszczając wszystkich jak burza. Zastanawiała się też, ile z tego widzieli. Lecz nie mogła już dłużej wytrzymać przy Sergeiu, a nie ufała sobie na tyle, by pozostać tam i nie spróbować się na nim zemścić.

Potrząsnęła głową. Nie była pewna, ile jej powiedzieć.

- Polly i ja... my... miałyśmy pewną różnicę zdań.

Czuła, jak Lily przyglądała się jej.

- Dotyczącą Sergeia, prawda? – spytała.

Caitlin odwróciła się i spojrzała na nią.

- Skąd wiesz?

Lily westchnęła. Zaczęły przemierzać kolejny korytarz.

- Polly zmieniła się całkowicie od chwili, w której go poznała. Z czasem to się stało nieznośne, naprawdę. A on jest przecież takim... padalcem. Takim pyszałkiem. Osobiście, to go nawet nie znoszę. Nie wiem, co ona w nim widzi. Co oni wszyscy w nim widzą. Nawet nie wiem, skąd przybył. Jakby po prostu pewnego dnia już tu był.

- Cóż, ja wiem – powiedziała Caitlin.

Zatrzymała się i odwróciła ku Lily.

- Spotkałam go już wcześniej. W innym czasie i miejscu niestety.

Oczy Lily otworzyły się szeroko.

- Masz na myśli w innym stuleciu?

Caitlin skinęła głową. Lily zaś wyglądała na zafascynowaną.

- To nikczemny wampir. Prawa ręka jeszcze gorszego wampira, Kyle'a. A co gorsza – to ja go przemieniłam.

Oczy Lily otworzyły się jeszcze szerzej z wrażenia.

- To coś, czego zawsze będę żałować. Wiem, że cokolwiek zamierza, nic dobrego z tego nie wyniknie. I w jakiś sposób wykorzystuje Polly.

Lily potrząsnęła głową.

- Próbowałam powiedzieć jej, żeby trzymała się od niego z daleka, ale nie chciała słyszeć. Najdziwniejsze jest to, że on wydaje się jej nie lubić.

Caitlin westchnęła.

- Odchodzisz, prawda? – spytała Lily.

Caitlin spojrzała na nią i zauważyła smutek na jej twarzy. Była zaskoczona, kolejny raz, spostrzegawczością Lily, ale też tym, jak szybko zostały przyjaciółkami.

Caitlin skinęła potakująco.

- Muszę. Muszę odszukać ojca. I Tarczę. Mam misję, z którą zwlekałam już i tak zbyt długo.

- Więc gdzie teraz pójdziesz? – spytała Lily.

Caitlin myślała już o tym. O liście, o słowach ojca nawiązujących do Tarczy, o następnej wskazówce. Cały czas myślała o tym zwrocie. *Pole Uczonych*. Lecz za nic w świecie nie mogła tego rozgryźć.

- Mój ojciec zostawił list. Wskazówkę, gdzie go szukać. Wspominał o miejscu, ale... nie jestem pewna, gdzie to.

- Jakim miejscu?

- Wspominał coś o miejscu zwanym Polem Uczonych.

Oczy Lily otworzyły się szeroko. Caitlin była zaskoczona jej reakcją.

- Znasz je?

- Tak – powiedziała Lily jednym tchem. – Było takie miejsce w Paryżu w średniowieczu. Ale to szyfr. Tak naprawdę to nie pole. Nazwa odnosi się do kościoła, skrawka ziemi wydzierzawionego setki lat temu. Musi chodzić o opactwo Saint Germain Des Pres. To najstarszy kościół w Paryżu.

Aż w głowie jej się zakręciło, kiedy usłyszała słowa Lily. To by miało sens, zważywszy na położenie i wiek budowli. Już w momencie, kiedy Lily podała nazwę kościoła, Caitlin poczuła, że to właściwe miejsce.

- Nigdy nie zdołam ci się odwdziżyć – powiedziała.

- Jest coś jeszcze – powiedziała Lily.

Caitlin spojrzała na nią. Lily wciąż wyglądała na zszokowaną, jakby zobaczyła ducha.

- Ten kod, którego użyłaś: Pola Uczonych. Kiedy byłam mała, powiedziano mi, że pewnego dnia ktoś przybędzie i o to zapyta. Lily odwróciła się i popatrzyła w obie strony tajemniczo. – Kazano mi strzec pewnej tajemnicy. Nie opowiadać o niej nikomu, ani nie pokazywać, dopóki ktoś wyraźnie o to nie zapyta. Powiedziano mi, że ktokolwiek tu przyjdzie i zapyta, osoba ta będzie Wybrańcem. I od tamtej chwili zostałam wyznaczona na strażnika pewnego artefaktu. Tego, który doprowadzi cię dokładnie tam, gdzie chcesz.

Caitlin spojrzała na nią w szoku. Wiedziała, że Lily należała do królewskiej rodziny, ale nigdy by nie zgadła, że strzegła cennego artefaktu. Czy też tego, że jakiś człowiek mógł być na tyle ważny, by powierzono mu pieczę nad największą tajemnicą wampirów. Dotarło do niej, już kolejny raz, jak wyjątkową osobą musiała być Lily.

Caitlin była ciekawa, czym był ów artefakt.

- Co to takiego? – spytała jednym tchem z mocno bijącym sercem.

Lily popatrzyła w obie strony jeszcze raz, upewniła się, że nikt ich nie obserwował, po czym szybko chwyciła Caitlin pod ramię i zaczęła się oddalać.

- Chodź ze mną – powiedziała.

*

Szła obok Lily niekończącymi się, marmurowymi korytarzami, mijając służących stojących na baczność pod ścianą. Kiedy zbliżyły się do kolejnych wielkich, dwuskrzydłowych drzwi, kilku służących zerwało się z miejsca, by je przed nimi otworzyć, pochylając się w szczególnie niskim ukłonie w obecności Lily.

Caitlin spojrzała na nią ponownie i zdziwiła się, jak prawdziwie po królewsku traktowano ją tu, w pałacu.

Zeszły po marmurowych schodach, przeszły kolejny korytarz, po czym znów pokonały kolejne, wiodące na dół schody. W końcu Lily zatrzymała się i obejrzała ponad ramieniem.

Nie było nikogo w zasięgu wzroku.

Wyjęła niewielki klucz zza dekoltu swej sukni, włożyła w zamek i przekręciła.

Przeszły kolejny, długi, marmurowy korytarz. Caitlin poczuła się zdezorientowana, gdyż tym razem korytarz zdawał się zakończony marmurową ścianą. Wyglądało to na ślepy zaułek.

Lily podniosła rękę i przesunęła dłoń wzdłuż muru, jakby czegoś szukając.

W końcu znalazła ukryty zatrask. Nacisnęła i w tej samej chwili ściana otworzyła się, obracając wokół własnej osi i ukazując tajemne przejście.

Caitlin patrzyła na to ze zdziwieniem.

- Nie otwierałam tego przejścia od mojego dzieciństwa – powiedziała Lily. – Nikt oprócz mnie w całym pałacu o tym nie wie.

Lily chwyciła zatkniętą na ścianie pochodnię i razem z Caitlin weszła do środka na tonące w mroku schody.

Na dole panowała wilgoć i mrok rozjaśniany jedynie przez pochodnię, którą Lily niosła przed sobą. Skręcały w kolejne wijące się przejścia, aż zeszły do kamiennych podziemi.

- Kiedyś w tych piwnicach przechowywano wino – powiedziała Lily. – Aczkolwiek od wieków nikt już ich nie używał.

Skręciły w kolejny korytarz i znów wyglądało na to, że był zakończony litą skałą. Lily podniosła dłonie i zaczęła obmacywać ściany przy świetle pochodni, którą trzymała Caitlin. W końcu znalazła skrawek pleśni, zdrapała go i pociągnęła za niewielką gałkę.

Ze ściany wyłoniła się mała szuflada.

Lily wyciągnęła ją i coś z niej wyjęła.

Caitlin podniosła pochodnię i wpadła w zdumienie, zobaczywszy jej zawartość.

Był to duży, srebrny krzyż, większy niż dłoń Caitlin. Kiedy Lily podniosła go i złożyła na jej dłoni, Caitlin poczuła, jaki był ciężki.

- To krzyż Alutic – powiedziała Lily. – Od stuleci przebywał w królewskiej rodzinie. Jest przeznaczony dla ciebie.

Caitlin nie mogła wyjść z podziwu, jaki był ciężki.

- Skąd wiesz? – spytała Caitlin.

- Zapytałaś o Pola Uczonych. Tylko tobie może być przeznaczony. Nie wiem, w jaki sposób pomoże ci on w

twoich poszukiwaniach, ale wiem, że jakoś na pewno.

Usłyszawszy te słowa Caitlin zrozumiała, że to prawda.

- Ale jest jedna rzecz, której nie rozumiem – powiedziała Caitlin. – Mój brat, Sam, śnił o Notre Dame. Sądziłam, że to będzie mój następny krok. Jednak, po przeczytaniu listu i zobaczeniu tego krzyża... wszystko zdaje się wskazywać na kościół Saint Germain Des Pres. Zatem jaki to ma związek z Notre Dame?

- Może to tu miałaś najpierw przyjść. I cokolwiek znajdziesz w tym kościele, zaprowadzi cię do Notre Dame. Nie wiem. Wiem jednak na pewno, że ten kościół jest twoim kolejnym celem.

Caitlin czuła, że i to było również prawdą. Odwróciła się i spojrzała na Lily oczyma pełnymi wdzięczności.

- Nie wiem, jak ci dziękować.

Wyciągnęła ręce i obie padły sobie w ramiona, jak stęsknione za sobą siostry.

- Cokolwiek tam znajdę, być może ponownie zaprowadzi mnie do przeszłości – dodała Caitlin ze zmartwieniem. – Wówczas już nigdy się więcej nie zobaczymy.

Lily uśmiechnęła się. – Zobaczysz mnie. Ludzie również mają wiele żywotów. I zdradzę ci pewną tajemnicę: niektórzy z nas również wiedzą, jak podróżować w czasie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Polly wpadła do sali i zaczęła przepychać się przez tłum, pragnąc jak najszybciej znaleźć się u boku Sergeia. Nie mogła uwierzyć, jak bezczelna i zazdrosna okazała się Caitlin. Sądziła, że była jej bliską przyjaciółką. Teraz widziała, że Caitlin, jak wszyscy na dworze, była po prostu zawistna. Prawdopodobnie obdarzyła Sergeia sympatią i prawdopodobnie chciała go jej po prostu odbić.

Albo to, albo Caitlin nie potrafiła najzwyczajniej znieść tego, że Polly miała tak wspaniałego mężczyznę w swoim życiu. Bez względu na powód, Polly z pewnością nie potrzebowała żadnej rady od niej. Wiedziała, głęboko w sercu, że Sergei był tym jedynym.

Przebisnęła się wreszcie i dotarła w pobliże Sergeia. Był otoczony tuzinem pełnych uwielbienia dziewcząt i Polly natychmiast poczuła ukłucie zazdrości. Przedarła się jeszcze bliżej, tuż do niego, zmuszając go, by na nią spojrział.

W końcu to zrobił. Spojrzał jednak nieco z urazą, jakby mu w czymś przeszkodziła.

Polly czuła jednak, że знаła tego prawdziwego Sergeia, gdzieś w głębi serca, i że odgrywał w tej chwili jedynie przedstawienie, przed publiką, i że obawiał się jawnie okazać jej swoje prawdziwe uczucia.

- Podobał mi się twój koncert – wypaliła.

Sergei uniósł jedynie brew, po czym odwrócił wzrok i zaczął rozmawiać z kimś innym.

Polly wiedziała, że to również była część jego przedstawienia. Wiedziała, że był beznadziejnie w niej zakochany, i że ze wszystkich sił próbował nie pokazać tego po sobie.

W porządku. Polly potrafiła dużo znieść. Zamierzała poczekać, aż ci wszyscy pochlebcy znikną i wtedy z nim

porozmawiać, sam na sam, i dowiedzieć się, co naprawdę czuł.

*

Sergei w końcu opuścił zaplecze sceny, a Polly ustawiła się na korytarzu w ten sposób, że musiał ją zauważyć, wychodząc. Zatrzymał się zaskoczony.

- Czekając na mnie przez ten cały czas? – zapytał.

Polly skinęła głową

- To dla ciebie.

Podniosła rękę i ofiarowała mu pęk kwiatów.

Wziął je bez jednego słowa i odszedł szybkim krokiem.

Polly dołączyła do niego, idąc tuż u jego boku.

W końcu przerwał ciszę.

- Możesz powiedzieć mi jeszcze raz, co sądzisz o moim głosie.

Polly była zachwycona, że chciał poznać jej opinię.

- Był niezwykły.

- Tylko tyle masz do powiedzenia? Tylko niezwykły? Czyż nie był wspanialszy?

Polly próbowała szybko znaleźć w myślach lepsze określenie.

- Był cudowny. Najlepszy, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Sergei skinął głową z czymś w rodzaju aprobaty.

- Wiem – powiedział w końcu. – To był jeden z moich lepszych występów.

Polly myślała szybko, co jeszcze mogłaby mu powiedzieć, szukać jakiejś wymówki, by spędzić z nim więcej czasu. Maszerowała, starając się dotrzymać mu kroku.

- Miałam nadzieję – zaczęła. – Miałam nadzieję, że może uczymy twój występ.

Sergei zatrzymał się nagle, odwrócił i zmierzył ją wzrokiem. Jego płonące oczy zdawały się przewiercać jej

duszę. Nastąpiła długa cisza.

- Co takiego chodzi ci po głowie? – zapytał.

Polly pogłężyła się w myślach. Tak naprawdę to nic nie planowała. Po prostu rozpaczliwie szukała jakiejś wymówki, by spędzić z nim więcej czasu.

Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem – odparła z wahaniem.

Wpatrywał się w nią przez chwilę, która wydawała się wiecznością, po czym westchnął, jakby się na coś zdecydował.

- W takim razie dobrze – powiedział. – Możesz iść ze mną do mojego pokoju, jeśli masz na to ochotę.

Polly stała tak przez chwilę z dudniącym sercem, owładnięta ekscytacją. Czy dobrze usłyszała?

Sergei odwrócił się i poszedł dalej, a ona popędziła za nim.

- Z przyjemnością – powiedziała, idąc obok. – Największą.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sam nie mógł dojść do siebie po koncercie. Nigdy jeszcze nie słyszał muzyki klasycznej i nie mógł się nadziwić, jak wspaniały głos miał ten wykonawca. Co prawda wydawał się szubrawcem, ale jedno trzeba było mu przyznać: rzeczywiście potrafił śpiewać.

Co ważniejsze, noc spędzona z Kendrą była wyjątkowa. Przez cały czas nie przestawała tulić się do niego. Nigdy nie wiedział, czego się po niej spodziewać: raz była gorąca, raz oziębla. Mogło się również wydawać, że kiedy zauważyła Caitlin, Kendra stała się niesamowicie zaborcza i zazdrosna. Od tamtej chwili nie opuściła go niemal na krok.

Nie przeszkadzało mu to wcale. Czuł, że była w nim zadurzona i nic innego nie mogło sprawić mu więcej szczęścia. On również nie odstępował jej na krok.

Kiedy tylko koncert dobiegł końca, chwyciła jego dłoń i wyprowadziła z sali, jak najdalej od wszystkich – a on nie protestował. Nie chciała zostać i rozmawiać ze śpiewakiem. Pragnęła Sama dla siebie. I najwyraźniej miała już plany na wspólny wieczór. Odciągnęła go z figlarnym uśmiechem, a on był tym zachwycony.

Poprowadziła go tylnym korytarzem przez ogromną komnatę i w górę, po schodach.

- Nie widziałeś jeszcze mojego pokoju – powiedziała z uśmiechem. – Jest najokazalszy w całym pałacu. No, może z wyjątkiem tego należącego do Marii. Naturalnie, tak powinno być.

Sam nie mógł się doczekać. Przypomniawszy sobie spędzone z nią chwile po konnej przejażdżce i to jak były wyjątkowe.

Weszli po kolejnych, marmurowych schodach, po czym służący otworzył przed nimi dwuskrzydłowe drzwi, a kiedy weszli do środka, zamknął je za nimi.

Przeszli zaledwie kilka kroków, kiedy Kendra rzuciła się na niego i zaczęła zdzierać z niego ubranie.

Obsypała jego twarz i szyję pocałunkami, a on odwzajemnił się, ogarnięty burzą jej namiętności.

- Sam – wyszeptała mu do ucha, zdjawszy z niego koszulę.
– Zrobisz coś dla mnie?

Sam ledwie panował nad myślami.

- Tak – powiedział, całując jej szyję.

- Cokolwiek? – spytała.

Skinął głową i pocałował ją.

- Chcę już zawsze być z tobą – powiedziała, całując jego szyję.

- Ja również – powiedział Sam, i mówił to poważnie. Nigdy jeszcze nie miał takiej obsesji na punkcie dziewczyny. Nie mógł nie wrócić myślami do Samantha. Tamten związek również był intensywny. Ale w porównaniu z tym był niczym. Kendra była całym jego światem. W gruncie rzeczy, gdyby stanął przed wyborem: ożenić się z nią tu i teraz i spędzić z nią całe życie, to z chęcią by na to przystał.

- Wiem, w jaki sposób możemy spędzić ze sobą wieczność – powiedziała.

- Jak? – zapytał, między kolejnymi pocałunkami.

Oderwała od niego głowę, dłońmi objęła jego twarz i wpatrzyła się w niego. Jej błękitne oczy poraziły go.

- Możesz mnie przemienić – powiedziała.

Sam był zaszokowany jej prośbą. Natychmiast wyczuł, że to było zabronione. Że gdyby to zrobił, zostałby wyrzutkiem. Że oboje byliby skazani wyłącznie na siebie. Przypomniawszy sobie jedyną zasadę, na którą zwrócono mu uwagę, kiedy pojawił się w pałacu – i z pewnością nie chciał jej złamać.

Z drugiej strony, zabrzmiało to tak naturalnie jako idealne rozwiązanie, by mogli być już ze sobą na wieczność. I to ona tego chciała – to ona o to prosiła.

- Ja... – zaczął Sam, nie wiedząc, co powiedzieć. – Nie jestem pewien, czy... to nie jest zabronione.

Kendra oderwała się nagle od niego i zmarszczyła brwi. Przez jej twarz przemknęła burza emocji.

- Oczywiście, że nie jest! – odburknęła. – Ludzie, którzy tak mówią, są jedynie zazdrośni – zazdrośni o to, że nie kochają człowieka, którego *oni sami* mogliby przemienić.

Sam nigdy o tym w ten sposób nie myślał. Może miała rację. Może wprowadzono go jedynie w błąd.

- Ja... – zaczął i przerwał, nadal nie wiedząc, co powiedzieć.

Kendra nagle spuściła wzrok, a w jej oczach zebrały się łzy. Wyglądała na tak smutną, że Sam nie mógł tego znieść.

Powoli skinęła głową.

- Teraz rozumiem – powiedziała. – Nie kochasz mnie prawdziwie tak, jak ja ciebie.

Sam poczuł, że serce mu krwawi. Nigdy nie chciał jej skrzywdzić.

Ujął ją za ramiona, przyciągnął blisko i spojrzał w oczy.

- Kendro, nie mów tak. Kocham cię. Naprawdę.

Już wypowiadając te słowa, wiedział, że były prawdziwe. W jego odczuciu niezwykle było to, że tak szybko obdarzył ją tak mocnym uczuciem. Ale tak właśnie było.

W jej oczach ponownie zabłysła nadzieja.

- Ale nie chcesz spędzić ze mną wieczności? – spytała.

- Chcę – powiedział Sam. Kiedy to powiedział, uświadomił sobie, że istotnie tak było.

- A więc, o co chodzi? – spytała. – Boisz się? Obawiasz o to, co powiedzą inni? Że cię ukarzą?

Sam zmarszczył brwi. – Nikogo się nie boję. I przed nikim nie muszę się tłumaczyć.

Uśmiechnęła się triumfalnie.

- Właśnie takie miałam o tobie zdanie. Właśnie takiego widziałam w tobie mężczyznę.

Im więcej mówiła, tym bardziej Sam był przekonany o jej racji. Dlaczego miałby przed kimkolwiek się tłumaczyć?

- To im *pokaż* – powiedziała. – Udowodnij. Udowodnij mi. Przemień mnie. Uczyni mnie twoją na wieki.

Podeszła do niego i mocno pocałowała w usta. Nie był już w stanie oprzeć się ogarniającemu go pierwotnemu instynktowi.

Odchylił się nagle. Z jego gardła wydobył się ryk, a przednie zęby wydłużyły się bardziej niż mógł przypuszczać.

Rzucił się w przód i zatopił kły głęboko w jej szyi.

Krzyknęła z bólu – ale było za późno. Jego zęby były już głęboko w jej ciele, a kiedy się osunęła, Sam podtrzymał jej głowę swoją dłonią, a drugą docisnął jej ciało do siebie jeszcze bardziej. Nie był w stanie się powstrzymać, czując, jak przepelniały go jej życiodajne siły.

Pił i pił i pił, jakby jutro miało nie istnieć.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Polly leżała w łóżu, u boku Sergeia, nago tak jak i on, pod cienką narzutą. Wsparła policzek na jego ramieniu i podniosła wzrok, przyglądając się badawczo jego twarzy. Leżał z otwartymi oczyma wlepionymi w sufit, z kamiennym wyrazem twarzy.

Miał takie idealne rysy, jakby wyrzeźbione. Zastanawiała się, dlaczego akurat ją spotkało takie szczęście.

Wróciła myślami do cudownie przeżytej z nim nocy. Teraz już, bardziej niż kiedykolwiek, wiedziała, że byli sobie przeznaczeni na wieczność. Zrobiłaby teraz dla niego wszystko.

Podniosła dłoń i pogłaskała go po torsie. W końcu odwrócił się do niej.

- Opowiedz mi o swej przyjaciółce – powiedział.

Polly była zdezorientowana.

- Tej, która wypadła jak burza z sali po moim koncercie.

Caitlin. Polly zdenerwowała się. Dlaczego musiał akurat teraz o niej wspomnieć? Dlaczego musiał zepsuć jej taką chwilę?

- To nikt ważny – powiedziała. – Przykro mi, że tak wybiegła.

- Jak jej na imię? – naciskał Sergei.

- Caitlin – powiedziała Polly.

Polly dostrzegła w jego oczach coś w rodzaju rozpoznania. Coś, co sprawiło, że pomyślała, zaczęła się zastanawiać nad wszystkim, o czym Caitlin jej powiedziała. O tym, że znała go już wcześniej. Czy cokolwiek z tego było prawdą? Nie, oczywiście, to absurd. Ale dlaczego w takim razie pytał teraz o nią?

- I dokąd szła w takim pośpiechu? – zapytał.

Polly wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Kogo to obchodzi?

Nagle Sergei odwrócił się do niej i spojrzał w pełnym skupieniu.

- Mnie – powiedział szorstko. – Inaczej nie pytałbym.

Polly była całkiem zbита z tropu. Nie wiedziała, co takiego zrobiła, że poczuł się urażony. – Przepraszam – powiedziała.

- W takim razie odpowiedz na moje pytania – powiedział z naciskiem.

- Co chcesz wiedzieć? – spytała Polly.

- Gdzie dokładnie udała się twoja przyjaciółka?

Polly ponownie wzruszyła ramionami, namyślając się.

- Nie mam pojęcia. Prawdopodobnie poszła szukać swego ojca, jak sędzę. Ciągle to robi.

- Czy wymieniła jakieś szczególne miejsce?

Polly zaczęła głowić się nad odpowiedzią. Nagle coś sobie przypomniała.

- Cóż, wspomniała coś o jakimś śnie. O jej bracie. O jakimś kluczu w kościele.

Oczy Sergeia rozszerzyły się. Polly zdziwiła się jego nagłym zainteresowaniem. Podniósł się raptownie i chwycił ją gwałtownie za ramiona.

- Jakim kościele?

Przeraził ją. Nie rozumiała, co się dzieje.

- Nie rozumiem. Dlaczego to ma takie znaczenie? Dlaczego jest takie ważne?

Sergei potrząsnął nią brutalnie.

- Mów!

- Notre Dame – powiedziała Polly, nagle wystraszona. – Mówiła coś o Notre Dame.

Nagle Sergei rzucił ją w poprzek łóżka tak, że wylądowała twardo za nim na podłodze.

Później zrzucił z siebie narzutę, ubrał się i ruszył pospiesznie w kierunku drzwi.

Polly wybuchnęła płaczem.

- Co ci się stało? – krzyknęła. – Dlaczego jesteś taki podły? I gdzie idziesz?

Nie mogła zrozumieć, co się działo. Jeszcze minutę wcześniej jej świat był idealny.

Sergei zatrzymał się przed drzwiami, odwrócił i po raz pierwszy uśmiechnął się do niej. Lecz nie było w tym miłości. Uśmiechnął się bowiem złowrogo, z wykrzywioną miną.

- Głupia dziewczucho – powiedział. – Dostałem już wszystko, czego od ciebie potrzebowałem. Jesteś teraz równie dla mnie bezużyteczna, co w chwili, kiedy pierwszy raz cię spotkałem. A teraz twoja przyjaciółka dostanie za swoje.

Po czym wypadł z pokoju, zatraskując za sobą drzwi z hukiem.

Polly podniosła się na łóżku, złożyła głowę w dłoniach i rozpłakała się. I płakała, płakała.

Jedyną rzeczą, jaka przychodziła jej teraz do głowy, kiedy łzy spływały obficie po policzkach, była myśl, jaka była głupia. Ogarniała ją wściekłość na siebie za to, że uwierzyła Sergeiowi. Że jej jedyna i najlepsza przyjaciółka na świecie od samego początku miała rację.

I co gorsza, jak odpłaciła się jej, narażając ją na niebezpieczeństwo.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Sam leżał w wielkim łóżu Kendry nago, rozciągnięty na najwytworniejszych nakryciach, jakie widział w swoim życiu. Ona zaś spoczywała w jego ramionach. Oboje ułożyli się na ogromnej stercie jedwabnych poduch. Czuł się tak, jakby umarł i poszedł do nieba. Nigdy nie był z kimś takim, jak Kendra i miał nadzieję, że zostaną już ze sobą na wieki.

Zakręciło mu się w głowie, kiedy pomyślał o konsekwencjach swego ostatniego czynu. Naprawdę ją przemienił. Leżała sobie, śpiąc z głową opartą na jego piersi, tak spokojnie, a dla całego świata wyglądała tak samo, jak przedtem. Sam wiedział jednak, że kiedy się obudzi, będzie inna. Zmieniona już na zawsze. Przemieniona. Jedną z jego rasy. Dokładnie tak, jak Samantha przemieniła jego.

Przypomniawszy sobie, jak mu było ciężko po przebudzeniu i dopiero teraz to sobie uświadomił. Jednakże, nie on o to prosił. Został tym raczej obarczony. W przypadku Kendry, to ona o to prosiła, błagała, by ją przemienił. I jej życzenie się spełniło.

Zastanawiał się, jaka będzie, kiedy się obudzi. Czy nadal będzie równie mocno go kochać? A może, przy odrobinie szczęścia, nawet mocniej.

Wciąż jednak nie potrafił wyzbyć się nękającego go przeczucia, że zrobił coś złego. Że naruszył święte tabu wampirów. I że będzie musiał za to odpowiedzieć.

Zanim zdążył dokończyć myśl, Kendra nagle otworzyła oczy i usiadła wyprostowana jak struna, natychmiast przebudzona. Utkwiła w nim spojrzenie rozszerzonych, szklanych źrenic. Wyglądały podobnie jak u dzikich zwierząt. Były czujne. Kiedy go świdrowały, zaczął się zastanawiać, czy w ogóle go rozpoznawała?

- Kendra? – zapytał, podnosząc się. – Wszystko w porządku?

Nagle wyskoczyła z łóżka jednym susem i wylądowała w połowie pokoju, całkowicie go zaskakując.

Ubrała się szybko, odwrócona do niego plecami. Poruszała się bardzo szybko, szybciej niż ktokolwiek ze znanych mu osób. To nie było normalne. Najwyraźniej, dysponowała już szybkością typową dla jego rasy.

Powoli zwłóknął się z łoża i zaczął się ubierać, po czym podszedł do niej.

- W porządku? Stało się coś? – zapytał ponownie.

Ona jednak wciąż stała odwrócona tyłem i ubierała się, a on zastanawiał się, dlaczego tak dziwnie się zachowywała.

- Dlaczego nie wrócisz do łóżka? – zapytał.

Nagle odwróciła się i stanęła twarzą do niego. Zauważył dzikość w jej oczach i niemal się przestraszył.

- A po co? – wydusiła.

- Co masz na myśli? – spytał.

- Mam już wszystko, czego od ciebie chciałam.

Sam poczuł, jakby ktoś zdzielił go w brzuch. Nie mógł uwierzyć w jej słowa. Czy naprawdę powiedziała to, co właśnie usłyszał?

- O czym ty mówisz? – zapytał z jeszcze większym naciskiem, a w swoim głosie usłyszał strach.

Nagle ruszyła w kierunku drzwi. Sam chwycił ją za rękę, chcąc zatrzymać w pokoju.

Ona jednak obróciła się na pięcie i dzięki swej nowej sile brutalnie strzepnęła jego dłoń ze swego ramienia.

Był zszokowany. Wpatrywała się w niego z takim zacietrzewieniem, jakiego nie był w stanie sobie wyobrazić. Jej oczy płonęły intensywnym blaskiem.

- Nie waż się już nigdy mnie dotykać – warknęła niskim, gardłowym głosem.

- Kendra – powiedział cicho. – To ja, Sam. Co ci się stało? Nie rozpoznajesz mnie?

Nagle wybuchnęła śmiechem, demonicznym rechotem, wprost w twarz, przedrzeźniając go.

- Oczywiście, że cię poznaję, ty pożałowania godny smarku. Nigdy cię nie kochałam. Jedynie wykorzystywałam. Dałeś mi to, czego chciałam. I na tym koniec. Oszczędzę twoje życie tylko dlatego, że mnie przemieniłeś. Ale jeśli jeszcze raz staniesz mi na drodze, będziesz cierpieć – tak samo, jak twoi sprzymierzeńcy i twoja siostra.

Po czym odwróciła się gwałtownie, chwyciła ogromne, dębowe drzwi i wyrwała je z zawiasów.

Dwójka służących spojrzała na nią w szoku, a ona zamachnęła się drzwiami i zbiła ich obydwu z nóg.

Potem gwałtownie, jak dzikie zwierzę, popędziła korytarzem, pokonując dwadzieścia stóp w jednym skoku, roztrzaskując po drodze żyrandol. Była niczym jednoosobowa machina siejąca zniszczenie.

Sam nie mógł uwierzyć własnym oczom. Spojrzał na zdewastowany korytarz, nieprzytomnych służących i zaczął się zastanawiać ze zgrozą, co stworzył.

Skoczył za nią, goniąc co tchu przez korytarz. Jednocześnie poczuł, jak dotknęły go jej słowa. Czy przez cały czas tylko się nim bawiła? Czy wpadł prosto w jej sidła? I co miała na myśli, wspominając o Caitlin? Jaki miała właściwie plan?

Pobiegł korytarzem, wykorzystując w pełni swoją wampirzą prędkość i przez chwilę ujrzał Kendrę gdzieś na odległym krańcu, prującą przez jakąś salę. Jednocześnie ciskała zgromadzonymi tam ludźmi na lewo i prawo przy akompaniamencie przeraźliwych krzyków, siejąc chaos.

Sam przyspieszył, cały czas podążając jej śladem. Przebiła się przez kolejne drzwi, pokonała kolejny korytarz, aż w końcu dotarła do głównej sali pałacu. Pobiegła wprost do głównego wyjścia.

Przy drzwiach stało około tuzina wartowników, najwyraźniej zaalarmowanych jej obecnością, broniąc

przejścia bagnetami. Kiedy zbliżyła się do nich, skierowali bagnety w jej stronę.

-Ani kroku dalej! – krzyknął jeden z nich.

Na oczach Sama Kendra skoczyła wysoko w powietrze, nad ich głowami i jednym kopnięciem otworzyła potężne, dwuskrzydłowe drzwi. Poleciały w dół, uderzając z łomotem o ziemię.

Wylądowała po drugiej stronie, a odbiwszy się od ziemi, uleciała wysoko, znikając na pograżonym w mroku niebie. Sam chciał polecieć za nią, lecz nagle zauważył coś na horyzoncie i serce mu zamarło.

W kierunku pałacu gnał wielotysięczny tłum rozjuszonych mieszkańców.

Pędzili wprost ku pałacowym schodom.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Caitlin leciała nad francuskim urozmaiconym krajobrazem z Ruth w ramionach, pozostawiając Wersal daleko za sobą. W jej kieszeni spoczywał srebrny krzyż i zwój od ojca. Pierwszy raz w tym miejscu miała wrażenie, że postępowała właściwie. Czuła głęboko w sercu, że robiła dokładnie to, co powinna. Szukała ojca. Szukała Tarczy. Podążając za wskazówkami, czyniąc to, do czego została przeznaczona.

Lecąc coraz dalej i dalej, zaczęła też odzyskiwać przytomność umysłu. Była na siebie wściekła, że nie zrobiła tego wcześniej. Cały czas wiedziała, jaką miała misję: dlaczego nie podjęła się jej już na samym początku?

Pomyślała o Calebie. Jej serce zabiło mocniej na myśl o tym, jak bardzo go kochała i jak źle się czuła, kiedy ją opuścił. Jednocześnie, wypełniając właśnie misję, Caitlin uświadomiła sobie, że gdyby nie odszedł, to może teraz byłaby w swoim nowym domu i nigdy już nie odszukała ojca. Ponownie zdała sobie sprawę, że bez względu na to, jak bolesne były wszelkie doświadczenia, jeśli spojrzeć na nie z perspektywy czasu, wszystkie one wydarzyły się z jakiegoś konkretnego powodu. Nie zawsze potrafiła go dostrzec w chwili wydarzenia. Jednak, im więcej czasu upływało, tym wyraźniejszy stawał się ten powód.

Pędząc w kierunku Paryża, poczuła nerwowe napięcie i zniecierpliwienie na myśl o możliwym spotkaniu z ojcem. Czy mogło tak być, że czekał na nią przez ten cały czas w Paryżu? Tak blisko niej? Że przebywał w kościele Saint Germain Des Pres? Czy też w Notre Dame? Czy był gotów wziąć ją w ramiona, być z niej dumny? Czy zamierzał wręczyć jej Tarczę?

Miała nadzieję, że rzeczywiście będzie z niej dumny, że doceni, jaką kobietą, jakim wspaniałym wojownikiem się stała. Że uszanuje wszystko to, co musiała poświęcić, by go odszukać. Że otworzy przed nią drzwi do innego świata,

przedstawi ją swemu klanowi. I może wreszcie odnajdzie swoje miejsce w świecie i ludzi, do których będzie mogła dołączyć i stworzy nowy dom. Bardzo tego pragnęła.

Pomyślała również o Samie i poczuła ukłucie żalu. Żałowała, że nie było go tu teraz, u jej boku, pomagając jej w wyprawie. Była świadoma jednak tego, że był zbyt zaangażowany w swój związek i nic nie mogła na to poradzić. Czasami ludzie musieli wysnuwać własne wnioski w odpowiednim dla siebie czasie. Miała tylko nadzieję, że wszystko u niego w porządku. Jednak miała również złe przeczucie, sądząc po zachowaniu Kendry.

Ponad wszystko jednak żałowała, że nie było z nią Caleba, że nie było go przy jej boku, jak zwykle w trakcie jej poszukiwań. Rozpaczliwie za nim tęskniła, za jego obecnością, za tym, że nie mogła dzielić się z nim pomysłami. Cokolwiek miała znaleźć, chciała to zrobić z nim. A jeśli znów, z jakiegokolwiek przyczyny, musiała cofnąć się w czasie, desperacko pragnęła, by był wtedy przy niej.

Zdała sobie sprawę również z czegoś innego. Była teraz znacznie silniejsza. Stała się wojowniczką. A częścią tego, co świadczyło o wojowniku był brak obawy przed wyruszeniem w pojedynkę, jeśli zajdzie taka potrzeba, znalezienie własnej ścieżki w życiu. Podążanie nią nawet wówczas, gdy nikt inny nie chciał ci towarzyszyć. Liczyła się twoja siła, i odwaga. I czasami oznaczało to mieć odwagę zrobić coś, czego nikt inny nie robił.

Poczuła przyływ świeżej siły. Czowała, że wszystko to, co trenowała z Aidenem, wszystkie jego pouczenia i walki, które u niego stoczyła, znacznie ją wzmocniły i dodały pewności siebie. Chciała, by Caleb był przy niej, ale czowała się też na siłach podołać swej misji w pojedynkę.

Lecąc dalej zauważyła, że krajobraz zmienił się; gęste lasy francuskiej prowincji ustąpiły miejsca miejskiemu krajobrazowi Paryża. Rozpoznawała mijane poniżej budynki, wysokie kościelne iglice, średniowieczną świątynię i opactwo, oraz bardziej nowoczesne budowle osiemnastowiecznych domów. Z tak wysoka widok ten zapierał dech w piersi.

Jednocześnie, kiedy spojrzała w dół, ogarnął ją niepokój. Pomimo późnej godziny, ulice były przepełnione. Całkowicie zatłoczone. Wzburzone tłumy mieszkańców zmierzały gdzieś, niosąc pochodnie. Napięcie i gniew były niemal namacalne; wyczuwała je dobrze nawet z tak wysoka. Ludzie wrzeszczeli i biegali pogrążonymi w chaosie ulicami, niszcząc mienie, wybijając kamieniami szyby w oknach i wrzucając do domów płonące pochodnie. Tłum najwyraźniej skoncentrował się wokół więziennego budynku Bastylli i stamtąd rozprzestrzenił się na pozostałe ulice. Nie mogła uwierzyć własnym oczom: wyglądało to tak, jakby wybuchła wojna.

Caitlin nie tego się spodziewała. Oczekiwała, że poleci po prostu do Saint Germain Des Pres, znajdzie to, czego szukała i ruszy w dalsze poszukiwania. Nie spodziewała się, że będzie musiała lawirować w rozeźlonym tłumie biegających po ulicach ludzi. Nie chciała nikomu zrobić krzywdy. Z drugiej strony, nie mogła pozwolić, by stanęli jej na drodze.

Przelatując nad lewym brzegiem miasta, zauważyła wysoką, kanciastą wieżę kościoła Saint Germain Des Pres. Wyróżniała się na tle miasta, zwłaszcza z lotu ptaka. Oprócz wysokiej, prostokątnej wieży, kościół połączony był z wielkim klasztorem o długim, spadzistym dachu. Jego mury wieńczyły łuki, nadając budowli piękny, cylindryczny kształt. Wyglądał podobnie do innych średniowiecznych kościołów, które widziała na wsi. Widok tego średniowiecznego dzieła sztuki w takim miejscu, w samym środku miasta, po prostu zdumiewał.

Na szczęście, w tej części miasta tłumy nie były tak liczne. Caitlin wybrała jakąś pogrążoną w mroku alejkę, gdzie nikt nie mógł jej dostrzec, i tam szybko wylądowała.

Trzymając Ruth wciąż na rękach, nie dając jej nawet czasu na rozprostowanie nóg czy załatwienie potrzeby, Caitlin popędziła w kierunku czegoś w rodzaju tylnego wejścia do kościoła. Zauważyła, że potężne, frontowe drzwi były zamknięte i zakratowane. Nie chciała też przechodzić przez zaludniony plac, by nie dawać jakiemuś rozeźlonemu człowiekowi pretekstu do zaczepki.

Zamiast tego, obeszła budynek od tyłu i zobaczyła niewielkie, sklepione drzwi, z których prawdopodobnie

korzystali księży. One również były zamknięte. Caitlin jednak, silniejsza niż kiedykolwiek dotąd, spojrzała na nie tylko, zamknęła oczy, spowolniła oddech i skupiła się na szukaniu więzi z nimi. Kiedy skończyła, usłyszała szcęk i drzwi stanęły otworem. Metoda Aideny w końcu przyniosła rezultat.

Weszła przez otwarte drzwi, dumna z siebie, że nie musiała wyważać ich kopniakiem, po czym zamknęła je za sobą zdecydowanym ruchem, przekręcając w nich mechanizm zamka.

W środku panował mrok, rozświetlony zaledwie kilkoma dopalającymi się przy ołtarzu świecami, prawdopodobnie pozostałością po jakichś wieczornych modłach. Innym źródłem światła rozjaśniającym wewnątrz był księżyc, którego blask wlewał się tu przez ogromne, zdobione witrażami okna, które pięły się wysoko, aż po sam strop.

Podniosła głowę, pochłaniając cały ten widok wzrokiem. Nigdy jeszcze nie widziała tak pięknych witraży. Szkło dominowało nad murami, ciągnąc się w rzędach i kończąc wysokim, sklepionym stropem i kolumnami w stylu romańskim. Na murach widniały namalowane ogromne, o antycznej treści freski. Kamienny budulec również wyglądał staro. Widać było, że ten kościół był inny, że stał tu od zawsze.

Przypomniała sobie, jak Lily powiedziała jej, że był to najstarszy kościół w Paryżu, że miał setki lat. Przypatrując się mu w tej chwili, Caitlin stwierdziła, że rzeczywiście tak było. To wszystko było takie niewiarygodne. Oto trafiła do roku tysiąc siedemset osiemdziesiątego dziewiątego i stała w miejscu, które było jeszcze starsze, sięgające być może końca antyku. Odniosła wrażenie, że z perspektywy czasu była tylko nic nieznaczącym pyłkiem.

Ruszyła wzdłuż nawy, czując, jakby coś przyciągało ją do ołtarza. Jej kroki odbijały się echem od nieskazitelnej podłogi, pokrytej błyszczącymi, biało-czarnymi płytami z marmuru. Setki niewielkich, drewnianych krzeseł ustawiono starannie w rzędach. Wnętrze wyglądało na tak obszerne, że mogłoby pomieścić tysiące wiernych. Wzdłuż bocznych ścian widniały nisze, w których umieszczono niewielkie posągi różnych średniowiecznych świętych.

Kiedy wreszcie dotarła na drugi, odległy koniec, stanęła przed zwykłym, prostym ołtarzem, wbudowanym w ścianę. Stała na nim, na marmurowym cokole, ogromna postać Maryi trzymającej krzyż.

Caitlin wyciągnęła krzyż, który otrzymała od Lily. Podniosła do góry i przyjrzała się mu uważnie. W tej samej chwili wpadła w zdumienie. Wyglądało na to, że jej krzyż był tej samej wielkości, co krzyż spoczywający w dłoni wyrzeźbionej figury.

Kiedy skupiła wzrok jeszcze bardziej, doznała kolejnego wstrząsu. Uświadomiła sobie, że krzyż trzymany przez posąg był wydrążony, pusty. Jakby należało wsunąć w to miejsce inny krzyż.

Czy to możliwe? zdziwiła się Caitlin.

Stanęła na cokole i podniosła dłoń, trzymając w niej swój wielki, srebrny krzyż. Wsunęła go powoli, zastanawiając się, czy będzie pasował. Włożyła go na miejsce i zadziwiona stwierdziła, że pasował idealnie.

Popchnąwszy swój krzyż głębiej tak, by przylegał do wnęki, usłyszała jakiś hałas. Spojrzała w dół i zauważyła, że cokół posągu otworzył się pod nią.

Zeskoczyła i otworzyła skrytkę szerzej. Marmur przesunął się powoli, wydając zgrzyt, uwalniając z sykiem wielowiekowe powietrze i kurz.

Caitlin sięgnęła do środka i chwyciła coś w dłoń. Wyciągnęła to na zewnątrz.

Nie mogła w to uwierzyć. Było to kolejne pudełko ze zwojem, tej samej wielkości i kształtu jak to, w którym spoczywała pierwsza połowa listu od ojca.

Otworzyła je powoli trzęsącymi się rękoma i kiedy zobaczyła, co było w środku, szczeka jej opadła.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Sam stał w wejściu do Wersalu, obserwując niezliczone hordy ludzi wbiegających na schody. I zerwał się z miejsca, by pomóc strażnikom, którzy szamotali się, próbując założyć z powrotem wielkie, dwuskrzydłowe drzwi. Ludzcy strażnicy nie mieli jednak wystarczająco siły, by zdążyć je podźwignąć.

Sam skoczył naprzód i przy pomocy swej nadludzkiej siły podniósł je sam i umieścił z powrotem na miejscu. Szybko przebiegł wzrokiem salę i zauważył ogromną, drewnianą belę umocowaną nad kominkiem. Rozmiarem przypominała pień wiekowego drzewa. Ze dwadzieścia chłopów by trzeba, by ją podnieść.

Sam podbiegł do niej i na oczach zaskoczonych strażników podźwignął ją w pojedynkę, przeniósł przez salę i rzucił przy drzwiach, tarasując wejście.

Rychło w czas. Chwilę później odezwało się dudnienie setek pięści walących w drzwi ludzi próbujących wtargnąć do wnętrza.

Dzięki Samowi, wyglądało na to, że drzwi wytrzymają. Przynajmniej przez jakiś czas.

Wkrótce do stojącego przy drzwiach Sama dołączył Aiden, bliźnięta i wszyscy pozostali członkowie klanu. Z całego pałacu zbiegli się również strażnicy. Na sali pojawiła się Polly i Lily, a nawet Maria Antonina. Wszyscy wstrząśnięci z powodu panującego zamętu.

- Co się stało? – zapytała Maria.

- Pani, otrzymaliśmy wiadomość o szturmie na Bastylię – wrzasnął jeden ze strażników jak szalony. – Miasto pogrążyło się w chaosie. Ludzie niszczą wszystko na ulicach. Dotarli już tutaj. To rewolucja!

Sam zauważył przerażenie na twarzach Marii i jej świty.

Aiden wystąpił do przodu i zmobilizował swój zespół.

- Taylor i Tyler, bronicie wschodniego skrzydła – zarządził, i bliźnięta zerwały się do biegu.

- Cain, ty kryjesz wejście zachodnie. Ja zajmę się utrzymaniem tych drzwi w miejscu. Lily, proszę odprowadź Marię do jej komnaty. Będzie was strzec reszta moich ludzi.

Sam podszedł do niego. Aiden odwrócił się i spojrzał na niego, a Sam poczuł w jego spojrzeniu dezaprobatę.

- Leć pomóc swej siostrze – rozkazał mu Aiden z przyganą. – Już wystarczająco ją skrzywdziłeś.

Sam pomyślał o Kendrze i jej złowieszczych słowach o Caitlin i ogarnęły go wyrzuty sumienia.

Nagle podbiegła do nich Polly.

- To wszystko moja wina! – krzyknęła. – Sergei mnie oszukał. Chciał wiedzieć, gdzie ona się udała. Powiedziałam mu o Notre Dame!

Aiden potrząsnął głową. – Dołącz do Sama. Caitlin będzie potrzebować każdej pomocy. I nie ważne co się wydarzy, upewnijcie się, że nic nie przeszkodzi jej w zdobyciu Tarczy.

Sam odwrócił się do Polly. – Popelnilem błąd – powiedział. – Muszę to jakoś naprawić. Muszę spróbować uratować Caitlin.

- Ja również – powiedziała Polly. – Idę z tobą.

Drzwi zatrzęsły się, kiedy jeszcze więcej ludzi zaczęło się do nich dobijać.

- RUSZAJCIE! – wrzasnął Aiden.

Sam zerwał się do biegu i uniósł w powietrzu, czując za sobą Polly. Pofrunął wysoko, przez otwarte okno, i dalej w mrok.

Wkrótce oboje unosili się wysoko w powietrzu, gnając w stronę horyzontu.

Sam był zdecydowany zrobić wszystko, co możliwe, by uratować siostrę.

A jeśli oznaczało to śmierć Kendry, niech tak się stanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Caitlin rozwinęła nowy zwitek trzęsącymi się rękoma. Serce zabiło jej mocniej, kiedy uświadomiła sobie, że była to druga połowa listu od taty.

Szybko wydobyla pierwszą połowę, rozwinęła ją i przyłożyła do drugiej. Kiedy złożyła je razem, zauważyła, że podarte krańce pasowały do siebie idealnie, i że nareszcie miała przed sobą cały list.

Przeczytała cały list od początku.

Najdroższa Caitlin:

Jeśli to czytasz, to znaczy, że przezwyciężyłaś już wiele przeciwności. To znaczy, że dokonałaś już wyboru, podażyłaś ścieżką mało uczęszczaną, że wybrałaś trudniejszą drogę. I za to należy ci się moja pochwała. Jesteś prawdziwie córką swego ojca.

Musisz wybaczyć mi wszystkie te zagadki, kody, listy i klucze, ale tajemnica, której strzegę jest zbyt potężna i musi zostać rozbita na elementy, aby inni jej nie rozszyfrowali. Tylko prawdziwie godnemu – tobie samej – pisane jest rozwikłać tę tajemnicę, co ostatecznie i tak się stanie.

Jeśli to czytasz, to znaczy, że masz już jeden klucz. Musisz odzyskać pozostałe trzy, by do mnie dotrzeć.

Skup się teraz na drugim kluczu. Aby go znaleźć, najpierw będziesz musiała udać się na Pola Uczonych—

Caitlin podniosła drugą połowę listu:

—i do Notre Dame, by odzyskać klucz. Sztylet wskaże ci drogę. I nie zapomnij: wyspa to spore miejsce.

Wkrótce będziemy razem.

Kocham cię.

Twój ojciec.

Przeczytała list drugi i trzeci raz, kompletnie zdumiona. Sztylet wskaże drogę? Jaki sztylet?

Sprawdziła zawartość marmurowej skrytki jeszcze raz, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyła. Sięgnęła głębiej, przeczesując palcami jej ściany.

I wtedy to wyczuła. Coś przymocowano do tylnej ścianki.

Pociągnęła mocno i w dłoni został jej mały, srebrny sztylet. Była w szoku. Prawie go przegapiła.

Miała już sztylet i zakładała, że będzie musiała go użyć w Notre Dame, aby odnaleźć klucz.

Tylko co miał na myśli, pisząc, że wyspa to spore miejsce?

Wszystkie wskazówki zdawały się kierować do Notre Dame – ostatniego przystanku w jej podróży. Jednakże było w tym liście coś, co nie dawało jej spokoju. Był zbyt oczywisty, zbyt jasny. Czowała, że zawierał jakąś wiadomość, której nie potrafiła rozpoznać.

Przynajmniej wiedziała, gdzie powinna teraz się udać.

Kiedy wstała, gotując się do wyjścia, nagle rozległo się walenie do drzwi, po którym wszędzie wokół niej poleciało szkło z rozbijanych witraży.

Usłyszała głośne krzyki. Odgadła, że to motłoch dotarł do kościoła. Ludzie, w samym środku swojej rewolucji. Patrzyła z żalem, jak to piękne, drogocenne, antyczne szkło rozpadało się na drobne kawałki i spadało wszędzie dokoła.

Lecz to nie była jej wojna. Ani jej rewolucja. Caitlin miała prowadzić inną wojnę. O wiele bardziej niebezpieczną.

I to w Notre Dame był jej początek.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY

Caleb szybował po nocnym niebie, zdecydowany jak najszybciej dołączyć do Caitlin. Nienawidził samego siebie. Nie potrafił zrozumieć, jak mógł być taki głupi, taki naiwny. Tak łatwo dał się zwieść.

Co gorsza, opuścił Caitlin nadaremnie. Zepsuł ich wyjątkową chwilę, moment, w którym miał się jej oświadczyć, wspiąć się na wyżyny miłości, po to, by gonić za iluzją. Z powodu fałszywego przekonania, że jego syn był wśród żywych.

Nie zamierzał wybaczyć Serze tego, co zrobiła. Nigdy. Za to, że zniszczyła mu życie – kolejny już raz.

Lecz co ważniejsze, nie mógł wybaczyć sobie, że był aż tak głupi. Powinien posłuchać Caitlin i nie ruszać się z miejsca.

Zamknął oczy, szybując dalej, i przed oczyma ponownie zobaczył ten obraz: kiedy wrócił do swego zamku, zastał go pustym. Bez Caitlin. Biegał po pustych pokojach, aż w końcu uzmysłowił sobie, że Caitlin go opuściła.

Od tamtej chwil nie przestawał przeczesywać nieba, szukać jej dosłownie wszędzie. Teraz zaś przeczesywał Paryż, każdą dzielnicę.

Nagle otrzymał jakiś znak, jakby przeszedł go prąd. Sygnał Caitlin. Jej obecności. Jej cierpienia. Czuł je każdą cząstką swego ciała. Była w tarapatkach, był tego pewien. Potrafił już wyczuć, skąd ten sygnał do niego docierał. Z głębi samego miasta.

Zmienił kierunek i poleciał w stronę innej części Paryża z podwójną prędkością i wzmożoną determinacją. Był zdecydowany odnaleźć ją za wszelką cenę i naprawić wyrządzone zło.

Tym razem miało być inaczej. Tym razem naprawdę mogliby zacząć wszystko od nowa. Naprawdę zostać ze sobą na wieczność. Był przekonany, że nic nie mogło stanąć im na drodze.

A kiedy wreszcie nadeszłaby ta chwila, którą mieliby tylko dla siebie, zamierzał zadać jej pytanie, które nurtowało go od samego początku.

Zapytałby ją, czy zostanie jego żoną.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Caitlin pokonała krótką odległość, lecąc z Saint Germain Des Pres nad Sekwaną, później nad wysepką Ile de la Cite. Zatoczyła koło nad tą niewielką, wydłużoną wyspą, lecąc powoli i wchłaniając każdy widok. Była tam oczywiście, górująca nad całym otoczeniem, Notre Dame – największa budowla na wyspie. Sprawiała przytłaczające wrażenie. Sama myślała o tym, że to w jej wnętrzu miała coś znaleźć, onieśmielała ją.

Okrzyżowała wyspę jeszcze raz, starając się zwrócić uwagę na otoczenie i zauważyła, że Notre Dame nie była jedyną budowlą. Dostrzegła tam również rzędy średniowiecznych domów, kręte alejki, brukowane uliczki i inne bliżej nieokreślone budynki. Spojrzała w dół, by sprawdzić, czy i tu dotarły tłumy, jako że wydawało się, że były wszędzie w całym Paryżu. O dziwo, nie było. W zasadzie plac przed Notre Dame był zupełnie pusty. Wydało jej się to dziwne. Dlaczego miałoby wznieść rewoltę w każdej dzielnicy Paryża, tylko nie w jego najszlachetniejszym miejscu? Kto tak naprawdę nimi dyrygował?

Zanurkowała w powietrzu jeszcze niżej i przyjrzała się wszystkiemu uważniej. Panowała niesamowita cisza. Czyżby to była pułapka?

Wylądowała na wielkim, pustym, kamiennym placu przy kościele i posadziła Ruth na ziemi. Kościół tonął w świetle dziesiątek pochodni. Caitlin spojrzała na ten gmach z podziwem. Był masywny, miał ogromne, sklepione drzwi i dziesiątki posągów umieszczonych powyżej. Tak wiele kościołów odwiedziła już w trakcie swej podróży: przyszedł jej na myśl Duomo we Florencji, św. Marka w Wenecji oraz dziesiątki innych – jednakże nigdy jeszcze nie była w tak dużym, jak ten. Nie sposób było zapomnieć i o tym, że to w tym miejscu miała początek jej podróż: czy to miało jakieś znaczenie? Czy wracała do punktu wyjścia?

Podeszła wprost do frontowych drzwi i spróbowała otworzyć je, naciskając klamkę, tak na wszelki wypadek.

Ku jej zdziwieniu, drzwi otworzyły się.

Odwróciła się i obejrzała, wyczuwając jakieś niebezpieczeństwo. Ale niczego nie zauważyła.

Odwróciła się i weszła do kościoła. Jego bezkres i rozmiary poraziły ją. Kościelne ławy ciągnęły się daleko, jak okiem sięgnąć, a nawa główna zdawała się nie mieć końca. Po obu stronach stały potężne, kamienne kolumny przypominające solidne pnie drzew pnących się wysoko ku niebu, zwieńczonych licznymi łukami. Między nimi zwisały ogromne kandelabry pełne świec.

Na końcu nawy znajdował się olbrzymi ołtarz ukoronowany dziesiątkami posągów. Caitlin zdziwiła się, jak można było odprawiać tu religijne obrzędy – to miejsce było tak obszerne, że wydawało się, iż pomieści całe miasto.

Poprawiła chwyt dłoni na sztylcie i zaczęła zastanawiać się, gdzie do diaska miała rozpocząć swe poszukiwania. Znów wyczuła niebezpieczeństwo i obróciła się na pięcie, ale nikogo nie zobaczyła. Odniosła nagle wrażenie, że zaczęła liczyć się każda sekunda.

Zamknęła oczy i wezwała swe wewnętrzne moce. Pozwoliła, by przejęły nad nią kontrolę, by ją poprowadziły. Siłą woli uspokoiła się, wyciszyła, wsłuchiwała się w otoczenie, by wyczuć, gdzie mógł znajdować się klucz. Wiedziała, dzięki treści listu, że należało go tylko znaleźć i że sztylet miał odegrać w tym jakąś rolę. Poza tym jednak, nie miała pojęcia, gdzie szukać.

Po kilku minutach pochwyciła coś zmysłami i poczuła silny impuls, nakazujący jej zejść na niższą kondygnację kościoła.

Uświadomiła sobie, że skręciła w lewo, pokonała wielki marmurowy korytarz, po czym skręciła w kolejny. Minęła ciąg posągów stojących przy murze, aż w końcu zauważyła, że dotarła do niewielkich i wąskich schodów.

Podążyła wijącymi się schodkami w dół, które doprowadziły ją do przepastnej, nisko sklepionej, podziemnej krypty. Panował tu pełen powagi nastrój, podkreślony migoczącym światłem nielicznych świec. Caitlin zrozumiała, że było to swego rodzaju mauzoleum. Wszędzie wzdłuż ścian, daleko jak okiem sięgnąć, znajdowały się sarkofagi. Wyglądało to na idealne miejsce spoczynku dla jakiegoś pradawnego klanu wampirów.

Caitlin zdała się na swoje zmysły i poczuła, jakby coś zaczęło ją prowadzić. Podążyła wydłużonym korytarzem, w wilgotnym i zatechłym powietrzu, mijając sarkofagi. W końcu poczuła przymus, by zatrzymać się przed jednym z nich.

Przyjrzała się mu, lecz nie zauważyła nic niezwykłego.

Miała już ruszyć dalej, ale Ruth przysiadła przy grobowcu i zaczęła skomleć, nie dając jej odejść. Caitlin spojrzała na sarkofag ponownie.

Kiedy obejrzała dokładnie misternie wykonaną pokrywę, wyrzeźbioną na niej niewielką postać rycerza, kontury jego splecionych dłoni na kamieniu, jego zbroję, pas, coś sobie uświadomiła. W pasie znajdował się otwór, wycięcie w kamieniu. Wystarczająco duże, by zmieścił się tam sztylet.

Podniosła swój niewielki, inkrustowany klejnotami sztylet i delikatnie włożyła go do otworu. Pasował idealnie. Ośmielona tym odkryciem, wepchnęła sztylet do końca.

Nagle opadła kamienna dźwignia i w dłoni posągu otworzyła się mała przegródka. Caitlin ogarnęło zdumienie. Na dłoni posągu spoczywał niewielki, złoty klucz.

Podniosła go i zbadała wzrokiem, zachwycona, że go odnalazła.

Ale poczuła się też nieco zbita z tropu.

To nie mógł być drugi klucz. Ten ani na jotę nie przypominał poprzedniego: był mały i złoty, a nie wielki i srebrny. Wyglądało na to, że ten klucz miał inne przeznaczenie.

Nagle usłyszała jakiś hałas, gdzieś wysoko, w górnej części kościoła.

Szybko schowała klucz do kieszeni, chwyciła Ruth i wybiegła z krypty. Wbiegła po schodach na górę, z powrotem do głównej nawy Notre Dame. Rozejrzała się, chcąc sprawdzić, skąd nadciąga niebezpieczeństwo, lecz niczego nie zauważyła.

Nagle ktoś wyważył główne drzwi kościoła kopniakiem i, ku jej zgrozie, do wnętrza wpadł ogromny, niesforny i rozwrzeszczany tłum.

Caitlin wyczuła natychmiast, że ten motłoch różnił się od reszty. Miała przed sobą wampiry. A na ich czele stała postać, którą Caitlin rozpoznała z ksiązek do historii: sam Napoleon. Była zdziwiona, kiedy odkryła, że on również należał do jej rodzaju – i że stał na czele całego klanu, setek wampirów nacierających wprost na nią.

Zdała sobie sprawę, że to jednak była pułapka. Czekali, aż się tu pojawi i znajdzie to, czego pragnęli. Teraz zaś, kiedy zablokowali wyjście, byli zdecydowani zabić ją raz a dobrze. Wciągnęli ją w zasadzkę.

Kiedy tłum ruszył do ataku, Caitlin zaczęła szybko myśleć. Zamknęła oczy i przywołała swą pierwotną moc. Swój gniew. Skupiła się na swych nowych mocach, wiedząc, że była w stanie odeprzeć całą armię. Po prostu to *wiedziała*.

Kiedy zaatakowały ją setki wampirów, Caitlin nagle sama *na nie* natarła. W ostatniej sekundzie, tuż przed zderzeniem, skoczyła w powietrze, wyżej niż wydawałoby się to możliwe, i chwyciła ogromny, wiszący pięćdziesiąt stóp nad ziemią kandelabr. Natychmiast wspięła się po jego łańcuchu, szybka jak błyskawica, zmierzając wprost w kierunku stropu. Pomyślała, że stamtąd przebije się przez jedno z wielkich, przesłoniętych witrażem okien i ucieknie przez dach.

Ale kiedy zbliżyła się tam, nagle jedno z tych okien roztrzaskało się na kawałeczki.

Podniosła wzrok i zobaczyła przed sobą, spoglądające w dół i warczące, jedno z najnikczemniejszych stworzeń, jakie kiedykolwiek widziała.

Nagle sześć innych okien rozprysło się na wszystkie strony. Caitlin zauważyła, że było ich razem siedem – ogromnych, olbrzymich, szpetnych wampirów. Które zablokowały jej drogę na dach.

Caitlin była osaczona z obydwu stron. Nie miała wyboru. Musiała stanąć do walki.

Nie czekała ani chwili dłużej. Chwyciła łańcuch z kandelabrem i wyrwała ze stropu. Ogromny, żelazny kandelabr, szeroki na dwadzieścia stóp, runął w dół razem z Caitlin, wprost na stojący tam tłum.

Wylądował na dziesiątkach napoleońskich wampirów, miażdżąc je swoim ciężarem.

Caitlin rozwinęła skrzydła tuż przed uderzeniem o ziemię, zawisała w powietrzu, po czym wylądowała miękko tuż obok. Chwyciła kandelabr za koniec jego łańcucha i przy użyciu swych herkulesowych sił, zaczęła obracać nad głową. Zataczała coraz szersze kręgi, pozbawiając przytomności kolejne dziesiątki sprzymierzeńców Napoleona. Stała się morderczą maszyną destrukcji i nikt nie był w stanie podejść do niej na odległość pięćdziesięciu stóp.

Wtedy jednak usłyszała nieziemski krzyk i zauważyła siedem złowrogich stworów opadających w jej kierunku. Wzmocniła uścisk na łańcuchu, zatoczyła ostatnie koło i cisnęła kandelabrem, mierząc w jednego z nich.

Trafiła idealnie. Pozbyła się go, posyłając w tył i wciskając w stojący tam mur.

Jednak pozostało jeszcze sześć stworów i zanim zdążyła zareagować, jeden z nich runął na nią i mocno kopnął, odrzucając na drugą stronę kościoła. Stworzenie dysponowało siłą, z jaką jeszcze nigdy się nie spotkała. Wyrznęła o mur setki stóp dalej, nie mogąc złapać tchu.

Caitlin czuła, że była w stanie poradzić sobie z żołnierzami Napoleona. Ale nie widziała możliwości pokonania sześciu takich stworzeń w pojedynkę.

Mimo to, skoczyła na nogi gotowa podjąć walkę. W samą porę. Jeden z nich zamachnął się właśnie ręką, celując w

głową, a kiedy Caitlin zrobiła unik, jego wielka pieść wbiła się w ścianę. Caitlin sięgnęła do jego pasa po miecz i jednym ciosem odrąbała mu głowę.

Z mieczem w dłoni Caitlin starła się z kolejnym stworem, który rzucił się już w jej kierunku. Uchyliła się w porę, wykręciła i przecięła go na dwoje.

Ale wciąż było ich jeszcze czterech. Nie była na tyle szybka, by poradzić sobie z nimi wszystkimi na raz. Poczowała silne kopnięcie od tyłu, prosto w nerki i poleciała w przód, waląc głową o ścianę.

Wstała, jednak wszystko rozmywało się jej w oczach, a te stworzenia, wraz z dziesiątkami napoleońskich wampirów nie ustawały w natarciu. Potrzebowała trochę czasu, by zebrać siły, ale go nie miała. Zbliżali się szybko, a ona po prostu już nie mogła więcej znieść. Nadeszła ta jedna z niewielu chwil w jej życiu, kiedy czuła, że to koniec. I zdała się na los.

Dokładnie w tym momencie roztrzaskało się kolejne z wielkich okien i w jej kierunku runął następny wampir.

Kiedy znalazł się w zasięgu wzroku, poznała go.

I otworzyła oczy szeroko ze zdziwienia. Przybył Caleb.

Zanurkował w powietrzu i w samą porę pochwycił ją i wzniosł się z powrotem w powietrze, zanim jeden ze stworów opuścił stopę na leżącą Caitlin, miażdżąc ziemię i wykopując w niej wielką dziurę.

Caleb pofrunął z nią wysoko, na jeden z wyższych balkonów Notre Dame i posadził bezpiecznie na miejscu. Później odwrócił się i wyskoczył na zewnątrz, ścierając się z jednym z tych stworzeń w powietrzu. Zaczęli mocować się ze sobą, aż w końcu Caleb zyskał przewagę i cisnął przeciwnika w poprzek kościoła, roztrzaskując go o mur.

Nagle jednak podskoczyły do niego pozostałe trzy stwory, które ściągnęły go w dół na ziemię.

Caitlin doszła już do siebie. Poczowała, jak wracają jej pierwotne siły, zwłaszcza na widok Caleba w niebezpieczeństwie. Przeskoczyła przez balustradę i runęła w dół na ratunek, czując się silniejsza niż kiedykolwiek dotąd.

Lecąc w dół, zobaczyła, jak te trzy wampirze monstra grzmotnęły Calebem o ziemię, uderzając go i kopiąc po głowie – i wezbrała w niej furia, jakiej jeszcze nigdy w życiu nie doznała. Czowała jak krąży w jej stopach, rękach i wyżej, w głowie – i poczuła ożywienie płynące z pierwotnego, bojowego szału.

Zwiększyła prędkość, lecąc w dół, zmierzając wprost na jedno z tych stworzeń. Nie zwolniwszy ani trochę, opadła na niego, a kiedy w ostatniej sekundzie odwrócił ohydny twarz w jej stronę, uderzyła tak mocno, że przełamała mu szyję na pół.

Potem odwróciła się na pięcie i łokciem zdzieliła kolejnego stwora w twarz, powalając go do tyłu. Zanim zdążył wstać, podskoczyła do niego i kopnęła w krtań z taką siłą, że odrzuciło go w powietrze w poprzek kościoła. Spadł na ogromny szpikulec, nadziewając się na niego.

Został już tylko jeden stwór. Kiedy ją zaatakował, zamknęła oczy i uwolniła nowe moce. Używając jedynie umysłu, uniosła go w powietrze, po czym cisnęła nim przez kościół i na zewnątrz przez okno z prędkością dźwięku.

Caleb spojrział na nią zdumiony.

Wampiry Napoleona również były w szoku, kiedy zobaczyły, że ktoś zdołał zabić te paskudne stworzenia. Caitlin stanęła twarzą do nich i zaryczała, gotowa rzucić się i na nich, lecz w tym momencie odwróciły się i pierzchły w popłochu. Napoleon uciekł razem z nimi. Nie miał ochoty mierzyć się z Caitlin po tym, czego tu, przed chwilą, był świadkiem.

Caitlin sięgnęła po Caleba i postawiła na nogi. Uśmiechnął się do niej i już wiedziała, że wszystko z nim w porządku.

- Ocaliłaś mnie – powiedział z uśmiechem. – Nie powinno być odwrotnie?

Uśmiechnęła się do niego.

- Ty też mnie uratowałeś – powiedziała.

Zanim jednak zdążyli się pozbierać, nagle rozległ się kolejny łoskot.

Odwrócili się, by sprawdzić, co to i w odległym krańcu kościoła zauważyli kilka następnych roztrzaskanych okien. Nie mogła w to uwierzyć. Kto to mógł być tym razem?

Do środka wlecieli Kyle, Sergei i Kendra. Rozdzielili się w powietrzu. Każde z nich dzierżyło niezwykłą broń, z którą ruszyli do ataku na Caitlin i Caleba.

W tym samym momencie otworzyły się wielkie drzwi kościoła i do wnętrza wtargnęły setki kolejnych wampirów, wszystkich najwyraźniej oddanych Kyle'owi.

Caitlin nie przejęła się tym. Czekwała na tę walkę. Nienawidziła Kyle'a, Sergeia i Kendry z siłą zarezerwowaną dla niewielu osób. Kiedy zobaczyła Caleba stojącego obok z dumnie uniesioną głową i gotującego się do starcia, wiedziała, że podzielał jej uczucia.

- Pora, byś zapłacił za śmierć mojego syna! – wrzasnął Caleb i skoczył w powietrze wprost na Kyle'a.

- Najwyższa pora, by cię w końcu zabić na dobre! – ripostował Kyle.

Starli się obaj w powietrzu, wydając straszliwy dźwięk, łoskot uderzających o siebie ciał, który rozbrzmiał echem wokół, i z wysuniętymi kłami zaczęli mocować się ze sobą.

Caitlin nie marnowała czasu. Rzuciła się wprost na Sergeia, ciesząc się myślą o zemście w walce z tym, który nigdy wbił jej miecz w plecy i który wzgardził jej przyjaciółką.

- Zapłacisz za wszystko!- wrzasnęła.

Sergei warknął.

- Już zapomniałaś? Jesteś moim stwórcą! – odwrzasnął. – Jeśli ktokolwiek mu tu zapłacić, to tylko ty!

Starli się w powietrzu. Sergei rzucił się jej do gardła, jednak Caitlin zauważyła to. W ostatniej sekundzie zrobiła unik, zablokowała jego uderzenie i razem z nim runęła w dół, uderzając mocno o ziemię. Chwyciła go za gardło i zaczęła dusić, gotowa pozbawić go życia w jednej chwili za to, co jej uczynił, za to, co zrobił Polly, za wszystko, co zrobił, by

pomóc Kyle'owi. Trzymała go w stalowym uścisku, i czuła, że wygrywa – kiedy nagle poczuła okropny ból w plecach, kopnięcie, które pozbawiło ją tchu i zmusiło do tego, by zwolniła uścisk.

Przeturlała się na bok i zobaczyła Kendrę, która spoglądała na nią z góry, warcząc przeciągle. Kendra wydobyła niewielki, srebrny sztylet i rzuciła się z nim wprost do serca Caitlin. Była szybka i przebiegła. Caitlin udało się uniknąć ciosu, lecz dosłownie w ostatniej chwili.

Caitlin obróciła się na pięcie i uderzyła Kendrę mocno, powalając na ziemię.

Ale wtedy natarł na nią ponownie Sergei, waląc mocno i poniewierając po ziemi. Caitlin dałaby radę każdemu z osobna, lecz ich dwójka razem zaczynała być dla niej zbyt dużym wyzwaniem. Obejrzała się i zobaczyła, że Caleb nadal walczył z Kyle'm, mocując się na ziemi, na zmianę zdobywając przewagę i ją tracąc. Walczyli zaciekle, zadając ciosy pięściami, łokciami, dusząc się nawzajem. Toczyli ze sobą zażartą walkę, którą można było porównać do starcia herosów.

Za nimi Caitlin zauważyła setki innych wampirów pędzących w jej kierunku. Wiedziała, że nie wygra. Nie byli po prostu w stanie walczyć z nimi wszystkimi – i jeszcze tą trójką – na raz. Ponownie odniosła wrażenie, że przegrają, że mogło to być miejsce ich ostatniego spoczynku.

Nagle usłyszała kolejny brzęk rozbijanego szkła w oknach.

Pojawiły się następne dwa wampiry, zmierzając w jej stronę. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

To Sam i Polly, oboje spadali wprost na nią.

W sama porę. Dokładnie, kiedy Kendra przygotowywała się już, by mocno kopnąć Caitlin w nerki, Sam zanurkował między nie i zaskoczył Kendrę, waląc ją z łokcia w gardło. Poleciała do tyłu i walnęła mocno o mur.

A kiedy Sergei skoczył na nogi, zamierzając stopą zmiażdżyć głowę Caitlin, nadleciała Polly i kopnęła go mocno, obiema stopami w klatkę piersiową, posyłając w powietrze.

Sergei przeleciał przez kościół i grzmotnął w ołtarz, rozbijając go na drobne kawałki.

Caitlin skoczyła na nogi, uradowana ich widokiem i wdzięczna za pomoc.

- Caleb! – krzyknęła i w trójkę zerwali się z miejsca.

Podbiegli bliżej i zaczęli na zmianę kopać mocno Kyle'a tak długo, aż w końcu zrzucili go z Caleba.

Caleb rzucił się na Kyle'a, chwycił go za gardło i zaczął dusić. Wyglądało na to, że w końcu dopnie swego.

Caitlin obejrzała się i dostrzegła nadciągające masy; zauważyła również, że Kendra i Sergei powoli zaczęli do siebie dochodzić.

- Caleb! – wrzasnęła. – Zostaw go! Nie ma czasu! Musimy iść!

Ale najwidoczniej było to starcie, na które Caleb długo czekał. Zaciskał palce ze wszystkich sił, aż żyły wyskoczyły mu na czoło, a Kyle spurpurowiał. Caitlin wydawało się, że nigdy go nie puści.

- CALEB!

W końcu, z ociąganiem, Caleb zwolnił uścisk. Splunął na twarz nieprzytomnego Kyle'a.

- Innym razem! – prychnął.

Caitlin zwróciła się do Sama i Polly.

- Znalazłam klucz – powiedziała. – Lecz nie będzie tu do niczego pasował. Trzeba poszukać w innym miejscu.

- Leć! – powiedział Sam. – Odszukaj to miejsce. Zabierz Caleba. Ruszaj już! Zostaniemy tu i ich powstrzymamy.

- Nie pozwolimy wam samym z nimi walczyć! – krzyknęła Caitlin.

- Musicie – powiedział Sam. – Tu już nie chodzi o ciebie. To dotyczy naszej misji. RUSZAJ! Misja jest ważniejsza.

Caitlin wiedziała, że miał rację. Nadarzyła się okazja i musiała z niej skorzystać. Nie miała sekundy do stracenia.

- Ale jak wy we dwójkę chcecie walczyć z nimi wszystkimi? – spytała z niepokojem.

Sam uśmiechnął się i na jej oczach zaczął się przemieniać. Po niecałej sekundzie wyglądał dokładnie jak Kyle.

- Mam kilka pomysłów w zanadrzu – warknął głosem Kyle'a. Zrobiło się upiornie.

Caitlin zdała sobie sprawę, że nic im nie będzie.

Odwróciła się, chwyciła dłoń Caleba, sięgnęła w dół po Ruth i razem skoczyli w powietrze, odlatując w kierunku otworu w stropie.

Obejrzała się ostatni raz i zobaczyła Sama, wyglądającego jak Kyle, wydającego rozkazy ludziom Kyle'a, zwodzącego ich podstępem – i wiedziała, że nic złego im się nie stanie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Caitlin i Caleb wylecieli przez otwór w stropie katedry na pogrążone w mroku niebo. Przelecieli razem nad niewielką wysepką Ile de la Cite. Caitlin zachodziła w głowę, starając się wybrać kierunek, dokąd teraz, dokąd miał zaprowadzić ich złoty klucz. Myślała wciąż o liście, wertowała słowa ojca w myślach wciąż na nowo.

Nie zapomnij, wyspa to spore miejsce.

Nie dawało jej to spokoju od chwili, kiedy przeczytała list. *Wyspa to spore miejsce. Wyspa to spore miejsce.*

Może na wyspie było jakieś inne miejsce – pomyślała nagle – w którym mógł znajdować się ten właściwy klucz? Gdzieś w pobliżu Notre Dame?

Jej przeciwnicy – Kyle, Sergei i Kendra – zdołali infiltrować jej klan i odkryć, że należało udać się na spotkanie z nią do Notre Dame. Ale nikt przecież nie widział drugiej połowy listu. I nikt nie zdawał sobie sprawy, że wskazywał na coś innego. Ostatni cel. Ostatnie miejsce. Uświadomiła sobie, że przecież wszyscy sądzili, że to Notre Dame było ostatecznym punktem poszukiwań. A nie wiedzieli, że było coś jeszcze.

- Dokąd teraz? – spytał lecący obok Caleb.

Caitlin zanurkowała nagle nisko w powietrzu i zaczęła uważniej przyglądać się wszystkiemu. Caleb podążył w jej ślady.

Było tu wiele wijących się alejek i średniowiecznych zabudowań. Kiedy doleciała na drugi koniec, zauważyła, że wyspa zwięzła się ku krańcowi, a dalej zobaczyła coś, co ją zatrzymało w miejscu.

Był tam jeszcze jeden kościół. Nie tak okazały jak Notre Dame, ale mimo to duży oraz nadzwyczaj piękny. Nic innego

na wyspie nie dorównywało mu choćby w najmniejszym stopniu. Caitlin była pewna, że to tutaj znajdowało się to, czego szukała.

Wyspa to spore miejsce.

Wskazała na kościół.

- Tam – powiedziała.

Zanurkowała wraz z Calebem i razem wylądowali przed kościołem. Był to masywny gmach z wapienia, sięgający wysoko do nieba i zbiegający się w jednym punkcie. Miał bogato zdobioną fasadę, udekorowaną ze wszystkich stron gargulcami. Do środka prowadziły pojedyncze, wysokie, sklepione drzwi, a kiedy przed nimi stanęła, dotarło do niej, że to o to miejsce chodziło.

- Znasz ten kościół? – zapytała Caleba.

Caleb spojrzał na nią.

- Tak. To katedra Saint Chapelle – powiedział. – Święte miejsce dla naszego rodzaju. Stoi tu od setek lat. Mało który człowiek o nim wie. Znają tylko Notre Dame.

Caitlin odwróciła się do niego.

- Czuję, że to tu. Cokolwiek mam tu znaleźć, czuję, że to właściwie miejsce. Mój ojciec napisał, że na wyspie jest sporo miejsc. Sądzę, że chciał mi przekazać, iż Notre Dame nie jest jedynym miejscem na wyspie, w którym miałam szukać. Że nasza ostatnia wskazówka znajduje się tuż obok Notre Dame.

Podeszli do drzwi, zamierzając je otworzyć, kiedy nagle drzwi same otworzyły się na oścież, strasząc ich.

Stanął przed nimi wysoki, niezwykle uroczy wampir, odziany w białą szatę z kapturem. Kobieta zsunęła kaptur, ukazując swe jasnoniebieskie oczy oraz długie, brązowe włosy.

Spojrzała wprost na Caitlin i uśmiechnęła się.

- Caitlin – powiedziała. – Oczekiwaliśmy ciebie. Witaj.

Caitlin wymieniła spojrzenie z Calebem. Kobieta ustąpiła im z drogi, więc weszli do środka,

Po czym zamknęła za nimi drzwi i kraty zrobione z metalu, którego Caitlin jeszcze nigdy nie widziała, trzy grube pręty zakrywające całe drzwi.

- Tytan – powiedziała. – Nie do pokonania dla wampira. Nikt nie może nas tu zaatakować. Jesteście zupełnie bezpieczni. Możecie już odpocząć.

Caitlin odczuwała jej pozytywną, kojącą aurę. Wiedziała, że słowa kobiety były prawdziwe. Po raz pierwszy od nie wiadomo jak długiego czasu Caitlin mogła się rozluźnić. *Nareszcie była bezpieczna.*

- Lecz wciąż zostało nam niewiele czasu – powiedziała kobieta. – Ufam, że masz klucz?

Caitlin spojrzała na nią zdziwiona. Zastanawiała się, skąd wiedziała.

Kobieta uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Oczywiście, że wiem. Należymy do ludu twego ojca. Obserwujemy wszystkie twoje poczynania.

Caitlin wydobyła mały, złoty klucz z kieszeni i podała kobiecie.

Kobieta cofnęła swe dłonie gwałtownie.

- Nie, nie chcę go. Ty musisz go zatrzymać. Tylko ty możesz go użyć.

Po czym nagle odwróciła się i odeszła szybkim krokiem długim, marmurowym przejściem przy głównej nawie kościoła.

Caitlin i Caleb podążyli za nią przez ogromny, pusty gmach, a ich kroki poniosły się echem wszędzie wokół.

Caitlin podniosła wzrok i zobaczyła pnące się wysoko sklepienie, zwężające się ku końcowi w jeden punkt, bezkresny rząd zwieńczonych łukiem i zdobionych witrażami okien, wysokich na dziesiątki stóp i poczuła się przytłoczona pięknem tego miejsca. Miała wrażenie, jakby znaleźli się wewnątrz ogromnego mauzoleum.

Idąc wzdłuż nawy, zastanawiała się, dokąd zmierzali. Caleb odwrócił się nagle w jej stronę.

- Przepraszam cię – powiedział cicho na tyle, by nie usłyszała go kobieta. – Za Serę. Za to, że cię zostawiłem. Za wszystko. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

Jego słowa sprawiły jej niewypowiedzianą radość. Jej sercem zawładnęły uczucia. Nie ufała sobie na tyle, by w tej chwili coś powiedzieć, więc wyciągnęła tylko dłoń.

Caleb chwycił ją, a dotyk jego skóry był taki przyjemny. Jego obecność dodała jej otuchy, kiedy tak szli razem wzdłuż nawy.

- Ten kościół zbudowano setki lat temu – powiedziała kobieta. To bardzo wyjątkowe miejsce dla naszej rasy. Powstało specjalnie po to, by przechowywać tu jeden z najważniejszych i najcenniejszych skarbów świata. Oprócz wielu innych, mamy tu również części Krzyża wraz z prawdziwą Koroną Cierniową.

Kobieta skręciła w kolejny korytarz, później zeszła po szerokich, marmurowych schodach.

Znaleźli się w podziemiach kościoła i Caitlin aż dech w piersiach zapało. Był to najpiękniejszy widok, jaki w życiu widziała. Był tam nisko sklepiony strop pomalowany na żywy, niebieski kolor, przeplatany błyszczącymi, złotymi łukami. Miejsce to wyglądało jak skarbiec i w świetle pochodni wręcz płonęło. Było naprawdę widowiskowe. Caitlin poczuła się, jakby weszła do grobowca króla Tutenchamona.

- Tu w podziemiach przechowujemy najcenniejsze artefakty. Aby pomieścić je wszystkie, zbudowano specjalną srebrną skrzynię. Zajęło to całe dwadzieścia lat. Wewnątrz niej znajdziesz to, czego ci trzeba.

Kiedy poszli dalej, pomieszczenie rozszerzyło się i Caitlin ujrzała przed sobą dziesiątki stojących i czekających wampirów, wszystkich ubranych na białą, wszystkich skrytych pod białymi kapturami. Była zaskoczona. Każdy z nich trzymał w dłoni srebrny kielich, każdy wypełniony białą cieczą.

Po środku stał jeden wampir, mężczyzna z długą, siwą brodą i przenikliwymi, zielonymi oczyma. Wpatrywał się w Caitlin i Caleba łagodnie, trzymając w dłoniach po małym srebrnym kielichu dla nich obojga.

Kobieta dała im sygnał, by zbliżyli się do niego.

Podeszli wprost do mężczyzny, a Caitlin poczuła, że zaczyna się trząść. Czy był tu jej ojciec?

- Wypijcie – powiedział cicho.

Oboje wzięli kielichy i wypili biały płyn.

Caitlin natychmiast poczuła ożywienie. Rozpoznała tę ciecz. Była to biała krew klanu jej ojca. Zaczęło kręcić się jej w głowie.

Mężczyzna odstepił na bok i ich oczom ukazała się ogromna, jarząca się srebrem skrzynia.

- Twój klucz – wyszeptał.

Caitlin wręczyła mu z powrotem pusty kielich, podeszła bliżej, przyklękła i wsunęła swój klucz w niewielki zamek w skrzyni.

Obrócił się z niewielkim szcękaniem. Powoli uniosła ciężką pokrywę.

Wewnątrz, pośród sterty klejnotów spoczywała kolejna skrzynia, z jeszcze mniejszym otworem.

Caitlin zdumiała się.

- Wybaczcie – powiedziała. – Mam tylko ten jeden klucz.

Mężczyzna potrząsnął głową. – Masz jeszcze inny.

Caitlin zaczęła głowić się, lecz nadal nie miała pojęcia, o czym mówił.

Wskazał na jej szyję.

Sięgnęła dłonią i nagle przypomniała sobie o antycznym, srebrnym krzyżu, który nosiła na szyi. Czy mogło chodzić o niego?

Zdjęła go ostrożnie i wetknęła w zamek mniejszej skrzyni.

Była w szoku, kiedy zauważyła, że pasował.

Przekręciła go i zamek otworzył się.

Wewnątrz małej skrzyni znajdował się wielki, srebrny klucz. Dokładnie takiego samego rozmiaru, co ten, który otrzymała w Watykanie. Natychmiast zrozumiała, że był to drugi klucz, którego potrzebowała, aby dotrzeć do ojca.

Była zachwycona.

Ale jednocześnie poirytowana. Miała nadzieję znaleźć wszystkie trzy klucze naraz, znaleźć tu, w tym miejscu, również swojego ojca.

Wzięła klucz, podniosła się, stanęła przy Calebie i, czując coraz większe zawroty głowy, odwróciła się twarzą do mężczyzny.

- Zostały już tylko dwa klucze – powiedział. – Wówczas będziesz mogła otworzyć bramę, otrzymasz Tarczę i spotkasz się ze swym ojcem. Jesteśmy z ciebie dumni. On również.

- Jednak twój ojciec czeka na ciebie w innych czasach, w innym miejscu. Przykro mi, że to nie tu. Czy zechcesz cofnąć się w czasie ponownie? Czy będziesz kontynuować swoją podróż?

Caitlin odwróciła się do Caleba, ale знаła już odpowiedź. Była gotowa, a po jego minie poznała, że on również.

- Zatem klękajcie.

Oboje uklękli, trzymając się za ręce.

- Pokłońcie głowy.

Zrobili tak, a Caitlin poczuła, jak jej serce zaczęło mocniej bić. Tak wiele pytań pozostało bez odpowiedzi. Gdzie zmierzali? Czy mieli być razem? Co z Samem? I Polly? Z Ruth? Miała wiele pytań, które tak bardzo chciała zadać Calebowi.

Czuła, jak cały klan zebrał się wokół nich, jak kilkoro położyło dłonie na jej głowie.

- Dziś tu składamy wasze ciała na spoczynek – zabrzmiał chór wampirzych głosów. – Caitlin i Caleba, na

zmartwychwstanie w nowy dzień. Najwyższą łaską Boga obdarowani.

Podbiegła do niej Ruth i zaskowyczała. Kiedy słowa modlitwy rozbrzmiały drugi raz, a potem trzeci, Caitlin poczuła, jak jej świat rozplywa się we mgle.

W ostatniej chwili, zanim znikł zupełnie, odwróciła się do Caleba i zauważyła, że on również na nią popatrzył. Spojrzała mu głęboko w oczy i wiedziała, po prostu wiedziała, że następnym razem zostaną już ze sobą na zawsze.

- Kocham cię – powiedziała.

- A ja ciebie – odpowiedział.

I to były ostatnie słowa, jakie usłyszała zanim poczuła, że stała się lżejsza, coraz bardziej oszołomiona, unosząc się w górę - aż jej cały świat ogarnął mrok.



ZARĘCZONA

(część 6 Wampirzych Dzienników)

W Zaręczonej (szóstej części Wampirzych Dzienników) Caitlin i Caleb uświadamiają sobie, że znów cofnęli się w czasie – tym razem wylądowali w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym, w Londynie.

Londyn w roku tysiąc pięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym jest miejscem burzliwych wydarzeń, pełnym paradoksów: z jednej strony jest to okres oświecenia, finezji, rodzący dramaturgów pokroju Szekspira, zaś z drugiej jest sceną aktów barbarzyństwa i okrucieństwa, codziennych publicznych egzekucji, tortur i nadziewania głów więźniów na włócznie. Jest to również czas przesądów i wielkiego zagrożenia dla całego społeczeństwa. Brak warunków sanitarnych powoduje, że na ulicach szerzy się, przenoszona przez szczury, dżuma.

W takich warunkach Caitlin i Caleb kontynuują poszukiwania ojca, trzeciego klucza i mitycznej tarczy, która może ocalić ludzki rodzaj. Ich misja prowadzi przez gąszcz najbardziej wyjątkowej średniowiecznej architektury Londynu oraz najbardziej oszalałymi zamków brytyjskiej wsi. Ich droga wiedzie z powrotem do serca Londynu, gdzie być może spotkają Szekspira i zobaczą jedną z jego sztuk na żywo. Spotykają Scarlet, małą dziewczynkę, która być może zostanie ich córką. A przez ten cały czas, kiedy wreszcie są ze sobą, miłość Caitlin do Caleba pogłębia się – i Caleb może w końcu

znaleźć odpowiednią chwilę i miejsce, by oświadczyć się Caitlin.

Sam i Polly również cofają się w czasie. Skazani na podróż we własnym towarzystwie, żywią do siebie coraz głębsze uczucia i wbrew ich woli, ich wspólny związek rozkwita.

Ale nie wszystko dobrze się układa. Kyle również powraca, jak i jego zły pomocnik, Sergiei, i obaj są zdecydowani zniszczyć wszystko, co dobre w życiu Caitlin. Wydarzenia zaczynają przypominać wyścig do mety. Caitlin jest zmuszona podjąć jedną z najtrudniejszych decyzji w życiu, by uratować drogie sobie osoby, ocalić swój związek z Calebem - i przez ten cały czas utrzymać się przy życiu.



ZARECZONA

(część 6 Wampirzych Dzienników)



Posłuchaj cyklu Wampirze Dzienniki w formacie audio!

Już dostępne na:

[Amazon](#)

[Audible](#)

[iTunes](#)

Książki autorstwa Morgan Rice

KRÓLOWIE I CZARNOKSIEŻNICY

POWRÓT SMOKÓW (CZĘŚĆ #1)
POWRÓT WALECZNYCH (CZĘŚĆ #2)

KRĄG CZARNOKSIEŻNIKA

WYPRAWA BOHATERÓW (CZĘŚĆ 1)
MARSZ WŁADCÓW (CZĘŚĆ 2)
LOS SMOKÓW (CZĘŚĆ 3)
ZEW HONORU (CZĘŚĆ 4)
BLASK CHWAŁY (CZĘŚĆ 5)
SZARŻA WALECZNYCH (CZĘŚĆ 6)
RYTUAŁ MIECZY (CZĘŚĆ 7)
OFIARA BRONI (CZĘŚĆ 8)
NIEBO ZAKŁĘĆ (CZĘŚĆ 9)
MORZE TARCZ (CZĘŚĆ 10)
ŻELAZNE RZĄDY (CZĘŚĆ 11)
KRAINA OGNI (CZĘŚĆ 12)
RZĄDY KRÓLOWYCH (CZĘŚĆ 13)
PRZYSIĘGA BRACI (CZĘŚĆ 14)
SEN ŚMIERTELNIKÓW (CZĘŚĆ 15)
POTYCZKI RYCERZY (CZĘŚĆ 16)
ŚMIERTELNA BITWA (CZĘŚĆ 17)

THE SURVIVAL TRILOGY

ARENA ONE: SLAVESRUNNERS (Book #1)
ARENA TWO (Book #2)

WAMPIRZE DZIENNIKI

PRZEMIENIONA (Część Pierwsza)
KOCHANY (Część Druga)
ZDRADZONA (Część Trzecia)

PRZEZNACZONA (Część 4)

POŻĄDANA (Część 5)

ZARECZONA (Część 6)

ZASŁUBIONA (Część 7)

ODNALEZIONA (Część 8)

WSKRZESZONA (Część 9)

UPRAGNIONA (Część 10)

NAZNACZONA (Część 11)

O autorce

Morgan Rice jest autorką bestsellerowej serii 11-stu książek o wampirach WAMPIRZE DZIENNIKI (kolejne w przygotowaniu), skierowanej do młodego czytelnika; bestsellerowej serii thrillerów post-apokaliptycznych THE SURVIVAL TRILOGY, złożonej z dwóch książek (kolejne w przygotowaniu) i bestsellerowej serii fantasy KRAĞ CZARNOKSIĘŻNIKA, obejmującej trzynaście książek (kolejne w przygotowaniu).

Powieści Morgan są dostępne w wersjach audio i drukowanej, a przekłady książek są dostępne w języku niemieckim, francuskim, włoskim, hiszpańskim, portugalskim, japońskim, chińskim, szwedzkim, holenderskim, tureckim, węgierskim, czeskim i słowackim (w przygotowaniu tłumaczenia w innych językach).

[PRZEMIENIONA](#) (Księga 1 cyklu Vampire Journals), [ARENA ONE](#) (Księga 1 cyklu Survival Trilogy), [WYPRAWA BOHATERÓW](#) (Księga 1 cyklu Krag Czarnoksiężnika) oraz [POWRÓT SMOKÓW](#) (Księga 1 cyklu Kings and Sorcerers) dostępne są nieodpłatnie na Google Play.

Morgan chętnie czyta wszelkie wiadomości od was. Zachęcamy zatem do kontaktu z nią za pośrednictwem strony www.morganricebooks.com, gdzie będziecie mogli dopisać swój adres do listy emaili, otrzymać bezpłatną wersję książki i darmowe materiały reklamowe, pobrać bezpłatną aplikację, otrzymać najnowsze, niedostępne gdzie indziej wiadomości, połączyć się poprzez Facebook i Twitter i po prostu pozostać w kontakcie